



UUK

JOANNA CHMIELEWSKA

DZIKIE BIAŁKO



Warszawa 1989

Karolek Olszyński stał w ogonku po koszyk w samoobsługowym sklepie spożywczym przy ulicy Puławskiej i zastanawiał się, czy Wydział Architektury Urzędu Miejskiego w Lublinie pozwoli mu ulokować pralnię w nieprzepisowej odległości od budynku szpitala. Odległość była za mała dokładnie o 52 centymetry. Zmierzył to osobiście naczelnny inżynier pracowni, przejeżdżający przez Lublin w drodze powrotnej z urlopu, zainteresowany tematem nie mniej niż Karolek i pełen nadziei, że istniejące zawsze w terenie niedokładności wypadną na ich korzyść. Niestety, nie wypadły. Gdybyż przynajmniej brakowało czterdziestu dziewięciu centymetrów, a nie pięćdziesięciu dwóch! 49 to jest mniej niż połowa, a zatem można zawsze zaokrąglić w dół, 52 natomiast połowę przekracza i wymaga zaokrąglenia w górę, co daje cały metr, a metr jest w ogóle niedopuszczalny. Gubią ich te trzy centymetry. Na projekcie pojawi się obrzydliwa liczba 29, mniejsza niż ustalone normami 30, rzuci się wszystkim w oczy i cały lubelski Wydział Architektury z zajądłą uciechą wczepi się w nią pazurami i zębami, tym bardziej, że niczego innego do wczepienia się nie znajdzie. Jeden głupi metr. Nawet niecały. Pół metra. Trzy centymetry mniej i już byłoby zero, bo zaokrągliłoby się w dół. . .

Karolek doskonale wiedział, że tych trzech centymetrów nie pozbędzie się w żaden sposób, ale postanowił zostawić sobie odrobinę nadziei. Przestał myśleć o ogrodzeniu terenu, które nie pozwalało przesunąć pralni nieco dalej, i o elementach prefabrykowanych, które nie pozwalały jej zwęzić, poniechał rozważań nad osobowością pracowników lubelskiego Wydziału Architektury i zainteresował się sytuacją w ogonku.

Ogonek co chwila coś korkowało. Ze swego miejsca na zewnątrz Karolek nie mógł dojrzeć wnętrza sklepu, którego drzwi dodatkowo osłonięte były kotarą, nie wiedział, co tam korkuje i na jak długo, ale myśl o porzuceniu niemrawej kolejki i rezygnacji z zakupów nawet nie zaświtała mu w głowie. Kategorie polece-

nie żony zobligowało go do zaopatrzenia domu w produkty spożywcze, a drugiej takiej okazji z pewnością już by nie znalazł. Wstąpił do tego sklepu po drodze ze Służewca, gdzie przebywał służbowo i był bezwzględnie zdecydowany odwalić obowiązek przed powrotem do pracy. Zmarnować trochę więcej czasu, ale mieć już z głowy.

Przed nim stała dama w sile wieku, tępo wpatrzona w przestrzeń, kiwająca na palcu kluczyki od samochodu. Ocknęła się z zapatrzenia, kiedy podszedł do niej bardzo elegancki pan tej samej generacji.

— Jeszcze tu stoisz? — zdziwił się. — Myślałem, że już dawno weszłaś...

Dama wydała syk, tak podobny do syku pary pod ciśnieniem, że Karolek spojrział na nią z żywym zainteresowaniem. Nie powiedziała ani słowa, tylko kluczyki w jej palcach zaczęły się kiwać gwałtowniej.

— Co tu chcesz kupić? — spytał pan rzeczowo.

Kluczyki na moment znieruchomiały.

— To co jest — mruknęła dama i po chwili dodała: — Ludzie nieśli dżem pomarańczowy.

Pan skrzywił się z dezaprobatą.

— Trucizna — zawyrokował stanowczo.

Karolek zainteresował się żywiej i nadstawił uszu.

— O Boże — powiedziała dama bez żadnej intonacji.

— Trucizna — powtórzył pan. — Wszystkie konserwowane dżemy to trucizna, ile razy mam ci to powtarzać? W dodatku ze skórek pomarańczowych nasyconych chemikaliami. Śmierć dla wątroby.

— Są kurczaki — zauważyła dama po kolejnej chwili milczenia.

— Te kurczaki to świństwo. Bezwartościowe mięso, sztucznie pędzone.

— Chude kurczaki...

— Co z tego, że chude? Wszystkie są hodowane na hormonach, nie mają żadnego smaku...

— Mają — przerwała dama z nagłym ożywieniem. — Rybny. Od mączki rybnej.

— Nic podobnego. Kurczaki karmione mączką rybną idą na wędzenie.

Dama na moment zamknęła oczy, otworzyła je i wzięła głęboki oddech.

— Jest także pasztet — zakomunikowała beznamiętnie. — Mleko, masło, sery, jaja, wszystko co uzyskujemy od krowy. Poza tym chciałabym kupić kawior, krewetki i filet jagnięcy...

Kolejka ruszyła nagle i Karolek, ku wielkiemu swojemu żalowi, stracił następny fragment rozmowy. Znalazł się we wnętrzu sklepu, przemocą wcisnął dalej i państwo w średnim wieku znów byli przed nim. Dama proponowała nabycie stojących na półce klopsików w różnych sosach.

— Paskudztwo — zawyrokował pan krótko.

— Dlaczego? — jęknęła dama tonem rozpaczliwego protestu. Karolek sam omal nie zadał tego pytania. Zamierzał kupić klopsiki.

— Dlatego — odparł pan, stawiając po tym słowie wyraźny dwukropek. — Sama woda i bardzo mało mięsa. Mięso jest najgorszego gatunku. Są do niego dodawane substytuty z mięsa rybiego...

— Substytut to jest zastępca adwokata — wymamrotała dama buntowniczo, odwracając głowę, jakby wołała, żeby pan jej słów nie słyszał. Dźwięczało w nich coś jakby zdesperowana gorycz. Pan jednakże miał najwidoczniej doskonały słuch.

— Owszem, zastępca adwokata — zgodził się. — Może być także zastępca czegoś innego, w tym wypadku wartościowego białka mięsnego. Żeby to się w ogóle nadawało do jedzenia, wsadzają w pikantny sos. Wymyślili pieczarki, żeby podnieść cenę...

Energicznym gestem dama chwyciła wolny koszyk i ruszyła w głąb sklepu. Pan pośpieszył za nią. Karolek spoglądał za nimi i niecierpliwie czekał na koszyk dla siebie, koniecznie pragnąc posłuchać dalszego ciągu pouczającej konwersacji. Temat nie był mu obcy, budził lekki niepokój, poza tym zaintrygował go niezmiernie ton pana, bardzo spokojny, obiektywny, rzeczowy, wyzbyty jakichkolwiek elementów wzruszeń. Oceniający artykuły spożywcze elegancki pan najwidoczniej nie miał do nich żadnego osobistego stosunku. Takiego tonu w zestawieniu z taką treścią Karolek jeszcze nigdy w życiu nie słyszał, tym bardziej zatem za nic w świecie nie chciał uronić ani słowa.

Dogonił interesującą parę przy nabiale. Pani sięgała po twarożek w trumienkach.

— Nie zamierzasz chyba tego kupić? — rzekł pan z naganą. — Wszystkie wzdęte.

Dama cofnęła rękę. Karolek z powątpiewaniem przyjrzał się trumienkom i również zrezygnował z zakupu. Razem znaleźli się obok mrożonek.

— Spójrz na kolor — powiedział pan, oglądając mrożone filety z morskuszka. — Najgorszy gatunek. Stare.

— To co, że stare? — zirytowała się dama.

— Śmierdzące rybą.

— Młode pachną różami?

Karolek stłumił chichot. Pan był jak kamień.

— Nie różami, ale nie mają tego zapachu zjełczałego tłuszczu rybiego. Kup, jak chcesz, ale zobaczysz, że sama do ust nie weźmiesz.

Dama zawahała się, zajrzała do zasobnika, jednym palcem odwróciła mrożoną paczkę na drugą stronę, przyjrzała się jej, machnęła ręką i poszła dalej. Przy macy, nie wiadomo dlaczego, państwo zaczęli mówić o marchwi. Stojąc tuż obok i symulując wnikliwie badanie makaronu, Karolek słuchał chciwie.

— Środki ochrony roślin i nawozy sztuczne — mówił pan. — Cała ta piękna marchew jest trująca, zabójcza dla organizmu. . .

— Należy w ogóle zrezygnować z marchwi? — przerwała dama złym głosem.

— Nie, dlaczego? Trzeba po prostu kupować marchew, po której widać, że rosła w warunkach naturalnych.

— A można wiedzieć, po czym to poznać?

— Szkodliwa marchew jest piękna, wielka, wyrosnięta. Takiej trzeba unikać. Trzeba szukać tej brzydszej. Małej. Byle jakiej. . .

— Robaczywej — podsunęła dama usłużnie.

— Nawet trochę robaczywej. Im gorsze i mniej zadbane gospodarstwo, tym zdrowsza marchew.

W pamięci Karolka pojawiły się nagle nikłe strzępy wiedzy o różnych, wstydliwie tuszowanych, aferach. Trujące truskawki, rakotwórcze pomidory, niejadalne pomarańcze, banany z wirusami. . . Tkliwie i z rozrzewnieniem wspomniął czereśnie z któregoś tam roku, co do jednej, sztuka w sztukę, robaczywe. Nadzwyczajne, z tego wynika, że były to najzdrowsze czereśnie świata, że też nie zjadł tego wtedy więcej. . .

Państwo, znalazłszy się przy kasie, przerwali rozmowę i zapłacili za nabytą macę. Karolek zajrzał do swojego koszyka i uprzytomnił sobie, że maca, po którą również sięgnął, w żadnym stopniu nie zaspokoi wymagań małżonki. Zawahał się, spojrzął niepewnie na kasjerkę, znów zajrzał do koszyka, z determinacją zawrócił i jeszcze raz udał się w Kiedy ponownie zbliżył się do kasy mając w koszyku trujący dżem, podejrzaną masło, wzdęty twarożek i bezwartościowego kurczaka; widoczni za szybą państwo w sile wieku wsiadali do zaparkowanego na chodniku samochodu.

Jadąc tramwajem w kierunku miejsca pracy, niewidzącym wzrokiem wpatrzony w okno Karolek popadł w głębokie zamyślenie, a w jego duszy jął się wykluwać jakiś dziwny niepokój. . .

Do bram budynku biurowego wolnym krokiem zbliżał się drugi członek tego samego zespołu, Lesio Kubajek. Dnia tego Lesio nie zaszczycił jeszcze miejsca pracy swoją obecnością. Wczesnym rankiem odprowadzał na lotnisko kuzyna wracającego do Australii i po odlocie samolotu zatrzymał się przez kilka chwil najpierw na widokowej galerii, a potem w barze, gdzie przy kieliszku koniaku ze wzruszeniem rozpamiętywał ogrom i różnorodność świata. Południe nadbiegło szybko, Lesio opuścił port lotniczy i ruszył w kierunku biura, oczyma duszy wciąż widząc jakieś niezmiernie odległe kraje, jakąś całkowicie nieznaną i oszałamiającą barwną faunę i florę, jakieś obce miasta, lądy i morza, łodzie krajowców i egzotyczne knajpy. Te ostatnie szczególnie sprawiały, iż ów nieznaną wielki świat, tak szeroko otwarty przed kuzynem z Australii, wydawał mu się nieodparcie pociągający. Wysiadł z autobusu w pobliżu biura i dążył ku codziennej prozie

coraz wolniej, nogi jego bowiem wykazywały zdecydowaną tendencję do zбочenia w jakimkolwiek innym kierunku.

Być może wielki świat i nogi razem wzięte wygrałyby konkurencję z pracownią, gdyby nie to, że na ulicy przed Lesiem ukazała się nagle piękna Barbara, od lat przedmiot jego uwielbień, równie upragniony jak nieosiągalny. Barbara wyszła ze sklepu i również zmierzała do biura. Jestestwo Lesia błyskawicznie oderwało się od wielkiego świata i przestawiło na Barbarę, stanowiącą sobą widok bardziej upojny niż najwspanialsza knajpa galaktyki, nie wspominając nawet o florze i faunie. Nogi zrezygnowały z zastrzeżeń co do kierunku, przyśpieszyły i Lesio dogonił ozdobę swego życia i pracowni przy windzie. Zdażył wpaść do środka nim drzwi się zamknęły.

— Dżentelmen z mojej rodziny wsiadł do samolotu i fiuuuuut. . . ! Odleciał na antypody — rzekł smętnie.

Barbara błysnęła wściekle błękitnym okiem i nie odezwała się ani jednym słowem.

— Australia — ciągnął Lesio, zmieniając ton na tkliwy, czego powodem była nie obecność wymienionego kontynentu gdzieś po drugiej stronie globusa, lecz obecność Barbary w windzie — Australia! Kangury! Fale oceanu! Papuasi, surfing, Melbourne, Sydney. . . Jakiż wielki, a zarazem jakiż mały jest ten świat. . .

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Barbara opuściła ją wciąż bez słowa, obdarzywszy Lesia jeszcze jednym złym spojrzeniem. Lesio szedł za nią, z lubością obserwując ponętą kibić i wytrwale snując dywagacje geograficzne. Razem wkroczyli do pokoju.

W pokoju siedział ostatni członek zespołu, Janusz, a przed nim, wsparty o stół Barbary, stał Włodek-elektryk. Janusz patrzył na Włodka z wyrazem twarzy pełnym niesmaku, Włodek zaś z posępną rozpaczą wbijał wzrok w podłogę u swoich stóp. Wchodzącej pary nie obdarzyli najmniejszą uwagą.

Barbara zajęła swoje miejsce w milczeniu, Lesio był w nastroju towarzyskim i rozmownym.

— Cześć, panowie! — rzekł w progu. — Jak wam się podobają atole koralowe? Wieńce kwiatów, rekiny, szczęki. . . ? Hawaje na horyzoncie, palmy, papugi. . .

Janusz spojrział na niego z roztargnieniem, Włodek wydał z siebie cichy jęk, załamał ręce i zastygł w pozie znamionującej najgłębszą boleść. Lesiowi z miejsca wyleciały z głowy atole koralowe, a opisy przyrody zamarły na ustach. Tknęło go złe przeczucie i nawet chciał spytać, co się stało, ale jakoś nie umiał na poczekaniu znaleźć dla tego pytania odpowiednio delikatnej formy, która z niejasnych przyczyn wydała mu się niezbędna. Zamilkł zatem i zagapił się na Włodka.

W tym momencie do pokoju wszedł wracający z miasta Karolek. Od pierwszego rzutu oka zorientował się, że coś tu zaszło. Ujrzał stropionego Janusza, skamieniałego w rozpacz Włodka i zatrwożone nieco oblicze Lesia, popatrzył

na nieruchome plecy Barbary i zaprzatające go dotychczas artykuły spożywcze umknęły mu z myśli. Szybko zamknął za sobą drzwi.

— Co się stało? — spytał żywo. — Martwicie się służbowo, czy prywatnie?

Zatrzymał przy tym wzrok na Lesiu, którego miał najbliżej. Lesio bezradnie rozłożył ręce.

— Nie wiemy — rzekł tonem beznadziejnego smutku.

Karolka odpowiedź ta nieco zaskoczyła. Przecisnął się do swojego stołu, usiadł na krześle, odłożył pod ścianę siatkę z zakupami i uważniej przyjrzał się współpracownikom, tym razem zatrzymując wzrok na Włodku. Po czym odwrócił się do Janusza.

— Ty, o co tu chodzi? Co się stało? Czy on jest chory? Może mu coś dać?

— Owszem — wymamrotał Włodek grobowo. — Po pysku. . . Pierwszą myślą Karolka było przypuszczenie, że Włodek nawalił z którymś projektem i gwałtowny niepokój zastąpił niewinne zaciekawienie. Chwycił długą linijkę, przechylił się przez stół i energicznie popukał w ramię Janusza.

— Powiesz coś wreszcie, czy nie? Naprawdę mam go walić po pysku? Nie chce mi się! Mówże, co się stało?

Janusz z pewnym wysiłkiem oderwał wzrok od Włodka i zwrócił się do Karolka.

— A bo ja wiem? — powiedział niechętnie. — Wychodzi na to, że jesteśmy ostatnie świnie. Zbrodniarze. Bydło, cepy i niedouczzone żłoby. Truciele, jakbyś wolał. Cholera, a myślałem, że to tylko takie głupie gadanie. . . A tu masz. . .

— Co mam? — zdenerwował się Karolek. — Ja nic nie mam! Nic w ogóle nie rozumiem, nie możesz mówić po ludzku? Dlaczego świnie, dlaczego niedouczzone żłoby?

Janusz skrzywił się, pomacał za sobą na stole, znalazł paczkę papierosów, pomacał dalej w poszukiwaniu zapalek, włożył papierosa do ust i zapalił. Karolek czekał w napięciu. Janusz zdmuchnął zapalną.

— Jeden człowiek dostał białaczki — zakomunikował niepewnie i zamilkł.

— No? — powiedział niecierpliwie Karolek, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu. — I co?

— No i z tego wynika, że to leci piorunująco. Głupie gadanie się potwierdza. Człowiek dostał białaczki, dowód jak byk. Koniec.

— Jaki koniec, co za koniec?! Nic nie rozumiem! O czym ty w ogóle mówisz?!

— O wielkiej płycie.

Karolek zastygł na moment z oczami utkwionymi w pochmurnej twarzy Janusza. Wielka płyta. . . ?

— Czekał, nie kojarzę — wyznał z zakłopotaniem. — Powiedz dokładniej. Co ma wspólnego wielka płyta z białaczką i poza tym, co to za człowiek?

— Nie wiem.

— Rencista — wtrącił ponuro Włodek.

— Rencista, słyszysz. I mieszkał w budownictwie wielkopłytkowym. To ma wspólnego.

— I był zupełnie głuchy — dodał Włodek głosem bardziej znękanym. Karolek doznał wrażenia, że jego rozwój umysłowy cofnął się nagle w jakąś zamierzczłą przeszłość. Przestał rozumieć język, jakim posługiwał się od dzieciństwa. Pojawił się tu jakiś dziwny problem, tak straszliwie skomplikowany, że nie sposób go nawet sprecyzować, nie mówiąc o rozwikłaniu. . .

Lesio słuchał w milczeniu, a w jego chciwej emocji duszy legły się rozmaite uczucia. Kłębowisko ich rośło, dokonując skokami przewrotów, które wydobywały na wierzch to dumę, iż uczestniczy w jakichś potężnych, acz trochę niezrozumiałych wydarzeniach, to oburzenie na wpychanie go przemocą w rolę zbrodniarza, której to roli akurat wcale nie miał w planach, to melancholię, z przyjemnością poddającą się grozie tajemniczych przeznaczeń. Nie był jeszcze pewien, co z tego wszystkiego chciałby wybrać. . .

— Albo natychmiast przestaniecie rozmawiać jak debile, albo osobiście zrobię wam coś złego — odezwała się nagle z gniewem Barbara. — Ty mów po kolei od początku. A ty zamknij gębę! Dostyć już namieszaleś jak na jeden dzień!

Gestem brody wskazała kolejno Janusza i Włodka. Janusz odwrócił się tyłem do swojego stołu, a przodem do kolegów, obrotowe krzesło wydało z siebie przeciągły pisk. Lesio wstrzymał na chwilę przewroty swojego wnętrza, oderwał oczy od Włodka i zafascynowany wzrok skierował na Barbarę, której widok dostarczał mu upojnych doznań niezależnie od okoliczności. Barbara zapaliła papierosa i wsparła brodę na zwiniętej pięści, gniewnie wpatrzona w Janusza.

— Wielka płyta jest szkodliwa dla zdrowia — oznajmił Janusz ponuro.

— No owszem, jest — zgodził się Karolek. — Ciągłe się o tym słyszy. Zdaje się, że mieszkanie w wielkopłytkowym powoduje reumatyzm.

Janusz machnął ręką.

— Reumatyzm to mięta. To jest w ogóle nic, sama przyjemność. Okazuje się, że ostatnio robili badania i wykryli gorsze rzeczy. Czekać, gdzie ja to mam. . .

Obejrzał się i znalazł na stole kartkę, pokrytą pismem maszynowym.

— Słuchaj, co robi, o. . . Powoduje zatrucie metalami rzadkimi. Wydziela z siebie promieniowanie radioaktywne. . .

— O Boże! — jęknął Karolek. — Więc jednak. . . ?

— No jednak, nie ma siły, naukowcy sprawdzili. Po pewnym czasie białaczka murowana. No i masz, jeden już jest, on go zna.

Machnął kartką w kierunku Włodka, który bez słowa pokiwał głową. Karolek poczuł się jakoś dziwnie nieswojo.

— Ten głuchy rencista. . . ?

— To, że głuchy, nie ma znaczenia. Wyjątkowo nie idzie o decybele. Ale ten, owszem.

— Co to są metale rzadkie? — spytał przysłuchujący się uważnie Lesio.

— Nie wiem. Może rtęć, wszystko jedno. Grunt, że szkodliwe.

— Ogłuszyłeś mnie jak cepem — powiedział bezradnie Karolek. — Ja też myślałem. . . . Czekać, a czy jest pewne, że on mieszkał w wielkopłytywym?

— Granitowo. Zdaje się, że na Ursynowie, tam nie ma innego. Ty, na Ursynowie?

Włodek przyświadczył cicho i grobowo.

— Nonsens! — powiedziała ostro Barbara. — Ursynów za krótko stoi. Jeżeli już teraz ma białaczkę, musiał jej dostać od czegoś innego. Na to się nie zapada tak z dnia na dzień!

— Jak to nie z dnia na dzień! — oburzył się Lesio, w którym zaczęły właśnie brać górę upodobania katastroficzne. — Na to się zapada w jednej chwili! Wystarczy się raz napromieniować i cześć!

— Czym napromieniować, ty głupcze?! Co to jest, budynek mieszkalny czy reaktor atomowy?!

— No właśnie! — ożywił się Janusz. — Czyś ty tu czegoś nie naknocił? . . .

Karolek zdołał zebrać myśli i opanować nieco oszołomienie.

— Ile tam tego jest? — spytał Janusz.

— Czego?

— Tego promieniowania. Janusz zajrzał do kartki.

— Nie wiem. Niedużo chyba. Ilości śladowe. Nie wiem czego, chyba tych metali, niejasno sformułowane. Tyś to rozgryzł? — zwrócił się do Włodka. — Wiesz ile?

Włodek bez słowa wzruszył ramionami. Karolek z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Ona chyba ma rację. Ilości śladowe, to nie może działać z dnia na dzień, musi latami, tak jak na przykład w rentgenie. W rentgenie ludzie pracują po kilkanaście lat i nic, chyba że ktoś jest wyjątkowo mało odporny.

— To wtedy co?

— Nic, przestaje pracować w rentgenie.

— Skąd wiesz?

— No przecież robię szpital onkologiczny!

— A, rzeczywiście. A gdyby nie przestał pracować, to co?

— Nic, zapadnie na białaczkę. Czy tam na coś podobnego, to ma różne formy.

— Po jakim czasie?

— No przecież nie w tydzień! Po paru latach. Powiedzmy po trzech, ale to zupełnie wyjątkowy przypadek.

Janusz zastanawiał się przez chwilę, spoglądając to na kartkę, to na Karolka, po czym odwrócił się do Włodka.

— Kiedy zamieszkał na Ursynowie? — spytał podejrzliwie.

— W zeszłym roku — wyszeptał Włodek posepnie.

— No to czego trujesz? Mówiłem, że niemożliwe! Może i ma tę białaczkę, ale wyraźnie widać, że nie od Ursynowa! Tego, chciałem powiedzieć, nie od wielkiej płyty! Szkodzić szkodzi, ale przecież nie w tym stopniu!

Włodek oderwał się nagle od stołu Barbary, postąpił krok naprzód i załamał rękę.

— Jołopy! — wyjęczał ze zgrozą. — Czy wam rozum odjęło? Tu jest jak byk napisane, to są notatki z badań! Poufnie dostałem! Zatrucie metalami i promieniowanie! W rentgenie kilkanaście lat, a w tym świństwie całe życie! Kto to wytrzyma?! A dzieci...?! Wielka płyta to zbrodnia!!!

— Ale czekajże, właściwie dlaczego? — przerwał mu zdenerwowany Karolek. — Co za różnica, czy budynek jest z małych elementów, czy z wielkiej płyty? Wszędzie są konstrukcje betonowe, to w czym rzecz? Fason ma robić różnicę, czy co?

— Jak fason, zgłupiałeś? Produkcja!

— Co produkcja?

Włodek wydał z siebie kolejny żalony jęk i nagle jakby przywiądnął. Janusz sięgnął po nowego papierosa.

— Płyty z elektrociepłowni, rozumiesz — wyjaśnił. — Produkują tę cholerną wielką płytę na pyłach z elektrociepłowni. To w nich są te trujące substancje.

— O rany boskie, co ty mówisz?! Biorą to zamiast kruszywa?!

— Stosują jako dodatek, albo w ogóle biorą jako całość. Wszystkie wielkie płyty na tym robią. Zbrodniczy proceder!

Karolek zamilkł. Zaskoczony i wstrząśnięty wpatrywał się w Janusza, wciąż niepewnego opinii o sobie.

— Zaraz, ale to przecież nie my — odezwał się nagle z urazą Lesio. — Nie my robimy wielką płytę!

Włodek ożywił się na nowo.

— Ale my z niej projektujemy! — wytknął, oskarżycielsko potrząsając palcem w kierunku Janusza. — Stosujemy ją! Dobrowolnie, w kilometrach sześciennych kubatury! Projektujemy z materiału, który musi wykończyć społeczeństwo! Stosujemy elementy rakotwórcze! Dla ludzi!!! Jesteśmy zbrodniarzami!!!

Przez dość długą chwilę nikt z nikim nie mógł dojść do porozumienia, ponieważ wszyscy mówili równocześnie. Sumienie Janusza ugięło się pod presją. Lesio usiłował zwrócić powszechną uwagę na fakt, że Włodek jest elektrykiem, nie decyduje o stosowaniu wielkiej płyty, a zatem niech się nie podszywa. Barbara gwałtownie żądała uściślenia informacji i wskazania ich źródeł. Włodek upierał się przy swoim, posuwając tak oskarżenia, jak i samokrytykę poza wszelkie racjonalne granice.

Karolek pierwszy otrząsnął się z szoku i odzyskał przytomność umysłu.

— Ja nie!!! — wrzasnął kategorycznie, przekrzykując pozostałych.

— Może i jesteście monstra moralne, ty i oni, ale ja nie! Wybij to sobie z głowy! Ja robię szpital ze zwyczajnej cegły!

— Ja też nie! — przyłączył się do niego natychmiast Lesio z wielką godnością. — Mam pawilony handlowe, nietypowe, wylewane. O żadnej płycie mowy nie ma!

— Robię wytwórnię asfaltu i warsztaty — zauważyła Barbara jadownicę, acz znacznie już ciszej, bo reszta zamilkła. — Nikt tam nie mieszka, nie mówiąc już o tym, że nie z wielkiej płyty. I ty też nie — dodała, wskazując Janusza. — Masz dwa nietypowe ośrodki zdrowia. A przedtem wszyscy robiliśmy bazę turystyczno-wypoczynkową, głównie z kamienia. A jeszcze przedtem wielkiej płyty w ogóle nie było.

— Z tego widać, że możesz się odczepić od nas i od siebie — uzupełnił Karolek. — Żłób, być może, jesteś, ale zbrodniarz odpada. O ile sobie przypominam, nigdy w życiu nie robiliśmy niczego z wielkiej płyty.

Janusz otworzył usta, zamknął je, popatrzył na Karolka, niechętnym spojrzeniem obrzucił Włodka i jakby się zawahał.

— Nie? — spytał niepewnie po chwili.

— Nie — odparła cierpko Barbara.

— Jesteście pewni...?

— Zwracam ci uwagę, że z wielkiej płyty robi się typowe — przypomniał Karolek. — Robiłeś kiedyś coś typowego?

— Owszem, ogrodzenie. Ale faktycznie, nic więcej. Znaczy, tego... Znaczy, że co...?

— Znaczy, że zbrodniarze i mordercy siedzą w typowym — zawyrokował Lesio. — U nas nie. Możemy się z nimi nie zadawać.

Zgroza, która już zaczynała zakradać się do serc i umysłów, znikła nagle z atmosfery i tylko Włodek prezentował sobą niemiły dysonans. Nie zwracając na niego uwagi, Karolek zapragnął wyjaśnić wcześniejsze słowa Janusza.

— Ty, a dlaczego niedouczony żłób? Wszystko inne rozumiem, tylko tego żłoba nie.

Janusz gniewnie dmuchnął dymem z papierosa.

— A bo, rozumiesz, nic w gruncie rzeczy o takich sprawach nie wiemy — odparł z irytacją. — Ja na przykład nie wiedziałem. Słyszysz się rozmaite plotki i takie tam inne, ale co z tego? Pojęcia nie mamy o materiałach budowlanych i sam słyszysz, on to dostał poufnie. I co? i dalej nie wiem, co z tego wynika. A może to jednak jest prawda? To co mamy robić, zamknąć oczy, zatkać uszy i na oślepić robić świństwo? To jest niedopuszczalne. To jest bałwaństwo. Dno, rozumiesz?

Karolek zgodził się z nim bez wahania. Przez chwilę wspólnie rozpamiętywali swój brak wiedzy i sposoby zaradzenia złu. Demonstracyjna odmowa w razie otrzymania zlecenia na budynek z wielkiej płyty wydawała się niezłym posunię-

ciem, odpowiedniego zlecenia jednakże nie było na horyzoncie. Pomysł starania się o nie wyłącznie w celu odmówienia przyjęcia nie obudził entuzjazmu.

Znacznie większą przychylnością obdarzono myśl zbuntowania tych z typowego. Powinni mianowicie postawić sprawę twardo i zaprzeć się zadnimi łapami. Nie dotkną wielkiej płyty, dopóki produkcja nie wycofa morderczych pyłów, mogą nawet robić projekty, ale nie wykończą i nie oddadzą żadnego aż do chwili zyskania pewności, że akcja trucicielska uległa zagładzie. Ten sukces wydawał się osiągalny i pogoda ducha wzrosła zdecydowanie.

Włodek jednakże nie zamierzał rezygnować.

— Głupy — rzekł z posępnym ogniem. — Denne głupy. Skowronki na nieboskłonie. Dla was może się i znajdzie jakieś wyjście, ale ja? Czy wy wiecie, co ja robię?

Retoryczne pytanie w najwyższym stopniu zaintrygowało cały zespół, któremu wydawało się dotychczas, iż doskonale wie, co Włodek robi. Sami mu tej roboty dostarczali. Ulegając energicznej presji, Włodek wyłuszczył rzecz obszernej.

— Pod wszystkimi liniami wysokiego napięcia rosną rośliny. Otóż to. Ziemia się znajduje. Grunta orne. Uprawa roli. Wiecie, co tam jest? Metale ciężkie!

Nikt nie był w stanie ocenić na oczekaniu informacji. Obfitość pojawiających się w sprawie metali zaczynała być nieznośna. To rzadkie, to ciężkie... Włodek z załamanyimi rękami, w rozgoryczeniu kiwał głową.

— Metale ciężkie! — powtórzył ze zgrozą. — Miedź! Pas szerokości kilkudziesięciu metrów jest nasycony miedzią. To ja... .

— Przecież nie robisz linii wysokiego napięcia! — zaprotestowała z irytacją Barbara.

— Ale korzystam z nich! Bez linii wysokiego napięcia mnie w ogóle nie ma! Wy możecie zaprotestować przeciwko pyłom w cemencie, a ja? Przeciwno czemu mam protestować? Mój zawód jest zgubą ludzkości!

— Co ci tak zależy, żeby koniecznie robić za mordercę? — zdziwił się Karolek.

— W pasie szerokości dwudziestu metrów obok każdej szosy znajduje się ołów — rzekła równocześnie Barbara zimnym głosem. — Żrą ten ołów wszyscy, bydło i ludzie. Robię właśnie wytwórnię mas bitumicznych. Uważasz, że co? Mam ten projekt wyrzucić za okno, czy publicznie spalić na placu Defilad?

Lesio dokonał nagle wyboru. Katastrofizm do niego przemówił i myśl, że on sam, człowiek, zdawałoby się, przeciętnie przyzwoity, nic o tym nie wiedząc, dzień w dzień oddaje się poczynaniom zbrodniczym na skalę wszechświatową, nadzwyczajnie przypadła mu do gustu. W natchnieniu podniósł się z krzesła.

— Głowica! — rzekł głosem złowieszczym, czyniąc rękami zamaszysty gest. — Zatrucia pokarmowe! Rakotwórcze ściany, podłoga i sufit! Cherlawe dzieci. Pajęczyna linii wysokiego napięcia, pajęczyna szos, ha...! Pajęcza sieć!

Radioaktywny pajak wysysa, wysysa, padają ludzie, zwierzęta i ptactwo w locie. . . Spaliny i decybele, w domach metale rzadkie, w polu metale gęste, zatrute wody, zatrute powietrze, zatrute chleb, zatrute mleko, ginie flora, ginie świat! Cóż pozostaje. . . ?

— Karaluchy? — podsunął niepewnie Karolek po chwili milczenia.

— Bakterie! — poprawił Lesio z naciskiem. — Wirusy i bakterie. Łysa ziemia pokryta grubą warstwą wirusów i bakterii. . .

Apokaliptyczna wizja, wbrew spodziewaniom, wywarła skutek odwrotny od zamierzonego, łysa ziemia okazała się niestrawna. Włodek rozplótł załamane dłonie i włożył je do kieszeni fartucha.

— Powietrza nie zatruwam — oznajmił z urazą. — I w ogóle florze, jako takiej, przewód wysokiego napięcia nie szkodzi.

— Dostyc mam tej katastrofy i końca świata — zakomunikował Janusz prychnąwszy wzgardliwie. — Nie ma tak, żeby nie było żadnego wyjścia! Złapię paru tych z typowego i pogadam z nimi. Instalacji elektrycznych zlikwidować się nie da, ale w ogóle można pomyśleć. . .

Zapał do wprowadzania zbawiennych korekt zapłonął w mgnieniu oka. Ogólna dyskusja wybuchła. Co prawda, w pierwszej chwili jedynym ratunkiem ginącego świata wydawało się całkowite zniweczenie cywilizacji, stopniowo jednak wyłoniły się projekty nieco mniej radykalne. Krok za krokiem okazywało się, iż porzucenie wszelkiej nadziei byłoby niesłuszne, jakieś szansę istniały.

— Pod Liniami wysokiego napięcia można sadzić choinki na Boże Narodzenie — tłumaczył Lesio Włodkowi. — Zająć cały pas i te. . . Co to było? Aha, metale ciężkie. I metale ciężkie też z głowy.

— Zgłupiałeś, nie można ziemi ornej poprzegradzać pasami lasu!

— A na co ci ta ziemia orna, skoro tam wszystko zatrute?! No dobrze, to niech będzie len. Lnu nie jadamy!

— A kanarki? Siemię lniane to jest pokarm dla kanarków. . .

— Nie stwarzaj trudności. Dla kanarków weźmie się z samego skraju. Niedużo potrzeba, co taki kanarek zje. . .

Janusz i Karolek, wróciwszy do kwestii materiałów budowlanych zakłopotali się na nowo.

— Żużel wielkopieczowy — odczytał Janusz ze swojej kartki. — Coś zawiera, jakieś wzory tu są podane. Nie wiem, co to znaczy, ale zdaje się, że też promieniuje.

— No nie! — zdenerwował się Karolek. — Opanuj się, w końcu nic nam nie zostanie. Żużlobetonu używamy od wieków!

— Trzeba dać jakiemuś chemikowi. O, Barbara! Przepiszę ci to i niech twój mąż rozszyfruje!

Barbara nie odezwała się, ale Janusz od razu przystąpił do przepisywania wzoru.

— Zdaje się, że robiłeś kiedyś oborę z żużlobetonu — przypomniał Karolek. — Czy ja się mylę? Już dość dawno. . .

— Co, oborę. . . ? — Janusz podniósł się z krzesła i położył kawałek kalki z wzorem przed nosem Barbary. — Masz, daj swojemu chłopu. A jakże, robiłem, czekaj, kiedy to było? Już chyba przeszło dziesięć lat temu. . .

— I jak się w niej te krowy chowają?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Oddałem projekt i cześć. Nawet nie pamiętam, gdzie to było.

Musisz sobie przypomnieć! Sprawdź w archiwum u Matyldy.

— I jak sprawdzę, to co?

— No jak to co, trzeba tam pojechać i obejrzyć te krowy. Musimy w ogóle wszystko sprawdzić własnymi oczami, bo powiem wam, że mnie się to wydaje podejrzane.

— Co ci się wydaje podejrzane?

— Prawdę mówiąc, wszystko. Wielka płyta i te pyły, zgadzam się, to jest coś nowego, ale taki żużel? Gdyby i żużlobeton działał szkodliwie, połowy społeczeństwa już by nie było. Tymczasem żyjemy. . .

— To jest długofalowe — przerwał z naganą Włodek. — Nie bądź; świnia, nie ograniczaj się do nas. Chodzi o przyszłe pokolenia.

— Masz na myśli, że my jakoś przetrwamy, ale nasze dzieci już nie?

— Dzieci i wnuki. Prawników w ogóle nie będziemy mieli.

— No to ludzkość wymrze i będzie fajnie! — ogłosił Lesio beztrasko.

— Głupi jesteś! — zirytował się Włodek. — Wymrą tylko niektórzy. Ci z cegły i z kamienia zostaną. A skąd wiesz, co to za rodzaj ludzi? Może wymrą właśnie uczciwi i przyzwoici, a zostaną tylko tacy niepożądani charakterologicznie? To jest selekcja nienaturalna!

— Nie ma siły, panowie, jadę do tej obory! — zdecydował Janusz. — Krowy przez ten czas odwały już parę pokoleń, obejrzą prawnuki tych pierwszych. Wy załatwicie resztę, Karolek, ty promieniowanie. . .

— Ja — zaniepokoił się Karolek.

— Ty. Masz tę swoją onkologię. Barbara ma chemika. Każdy dowiaduje się ile może, jutro wolna sobota, w poniedziałek będziemy mieli wyniki. Do roboty, ale już!

W poniedziałek pierwszy przyszedł do pracy Karolek. Zdążył rozłożyć swoje rzeczy i ubrać się w służbowy fartuch, kiedy do pokoju weszła Barbara. Na powitanie wydała z siebie niewyraźne mruknięcie.

— Witaj! — zawołał żywo Karolek, odwracając się ku niej. — No i co?

Barbara rzuciła na stół rulon kalki, pogrzebała w torbie, wyjęła z niej papierysy i zapałki, powiesiła torebkę na poręczy krzesła i wzruszyła ramionami.

— Banda idiotów — oznajmiła ze wzgardą i wyszła do szatni.

Zaintrygowany niezmiernie Karolek patrzył na drzwi, które zamknęły się za nią, próżno usiłując odgadnąć sens odpowiedzi. Barbara wróciła po chwili ze swoim fartuchem.

— Zbyszek cię szuka — mruknęła, wkładając ręce w rękawy.

Karolek natychmiast przypomniał sobie swoją pralnię i zrezygnował z porozumienia z Barbarą. Znalazł naczelnego inżyniera w jego gabinecie. Naczelnny inżynier siedział nad planem zagospodarowania terenu i porównywał go z większym fragmentem planu miasta.

— Dobrze, że jesteś — rzekł z troską na widok Karola. — Nic się nie da zrobić.

— Nie przepuszczą? — zaniepokoił się Karolek.

— W ogóle mowy nie ma. Siedzi tam ten łysy biurokrata i nie daruje nam jednego centymetra. Trzyma się kurczowo przepisów i trochę mnie pociesza, że bruździ wszystkim, nie tylko nam. Podobno dostał kota na tle szkodliwości przekraczania dopuszczalnych norm, co nawet ma nieco sensu, ale akurat nie w tym wypadku. Niemniej musielibyśmy go zabić, żeby ta pralnia mogła przejść.

— To nawet byłby dość ciekawy motyw zabójstwa — zauważył Karolek z wyraźnym zainteresowaniem. — Trochę kłopotliwe, ale... To co robimy?

— Myślałem nad tym ogrodzeniem. Gdyby tak je przesunąć o pół metra...

— O pięćdziesiąt dwa centymetry — uściślił Karolek.

— O pięćdziesiąt pięć, dla równego rachunku. Na koszt inwestora, podejmuje się zaoszczędzić mu to na instalacjach, mam już pomysł. Tylko jedno mnie gryzie, mianowicie nie wiem, do kogo to należy.

— Ogrodzenie?

— Cała ta działka. Obejrzałem to. Willa jednorodzinna, duża, nietypowa.

— Prywatna własność?

Naczelnny inżynier z zakłopotaniem popatrzył w okno i wystukał sobie z paczki papierosa. Potem spojrzął na Karolka.

— Nie wiem — rzekł bezradnie.

— Jak to? — zdziwił się Karolek. — Przecież byłeś tam?

— No byłem i próbowałem się dowiedzieć. Nikt mi nic nie odpowiedział. Wychodziło, że jest to własność miasta, ale nie wiadomo, kto użytkuje. Do Urzędu Miejskiego dotarłem dopiero pod koniec pracy, była tam tylko jedna dziumdzia, nic nie wiedziała i nawet nie umiała poszukać.

— Trzeba było może wejść do tej willi?

— Zamknięte na mur ze wszystkich stron.

— Może to w ogóle pustostan?

— Firanki w oknach i kwiatki. Widać jak byk, że użytkowane.

— No to musi istnieć użytkownik! — zawyrokował Karolek stanowczo. — Masz rację, że przesunięcie ogrodzenia stanowi dla nas jedyne wyjście. Trzeba znaleźć tego użytkownika i namówić go, żeby się zgodził. Kto pojedzie szukać?

— Ja sam — zdecydował naczelny inżynier z nagłym przyływem energii. — Denerwuje mnie ta zmowa milczenia. Mam być w Lublinie w tym tygodniu, specjalnie pojadę wcześniej i sprawdzę. Może się uda.

— Musi się udać. Jedyne rozwiązanie. Przyjmuję, że wyjdzie i robię na bazie przesuniętego ogrodzenia.

— Ryzykowne — powiedział naczelny inżynier bez przekonania. — Może jeszcze się wstrzymaj. . .

Pokręcił głową, popatrzył na Karolka i machnął ręką.

— No, niech będzie, rób. To rzeczywiście jedyne rozwiązanie. . . W pokoju, oprócz Barbary, siedział już i Lesio.

— Cześć — powiedział Karolek — Janusza nie ma?

— Jest — odparł Lesio. — Poszedł do HIPCIA. Dowiedziałem się różnych rzeczy. Ona nie chce słuchać.

Oskarżycielskim gestem wskazał Barbarę, która nawet nie uniosła głowy znad deski. Karolek był pełen niecierpliwości.

— To mów do mnie. Czego się dowiedziałeś?

— Ho, ho! — poinformował Lesio natychmiast, przy czym w tonie tego wyczerpującego komunikatu zawarty był wachlarz uczuć od smętnej melancholii do niebotycznej zgrozy. — Ho, ho! Ho, ho! Ho, ho, ho. . .

Karolek nie zdążył zareagować, bo w tym momencie do pokoju wrócił Janusz. Od progu zamachał trzymany w ręku papierem.

— No to mamy — oznajmił zgryźliwie. — Inwestor przysłał pismo, że chce płyty. Może dostać odpady z fabryki domów i mam się do nich przystosować. Jeszcze nie odmówiłem, bo chcę to zrobić z większym hukiem. Co wy na to?

— Nie mówmy o wszystkim razem, bo się pogubimy — zgromił go Karolek. — Mnie się wydaje, że coś tu źle wyszło i chyba popadliśmy w przesadę. . .

— Oj, nie! — przerwał mu Lesio ostrzegawczo, kręcąc głową. — Oj, nie! Oj, nie!

— Oj, tak! — wysyczała jadownicę Barbara znad swojej deski.

— Sam nie wiem — rzekł z zakłopotaniem Janusz. — Zdaje się, że jestem skołowany. Ty masz rację, mów, wiesz coś więcej?

— Tylko ogólnie — wyznał Karolek, odkręcając krzesło tyłem do ściany, a przodem do współpracowników. — I z jakim wysiłkiem zdobyte. . . ! To nie do wiary, jak oni nic nie wiedzą, ci fachowcy!

— Coś ci jednak powiedzieli?

— No, owszem. Czeka, żebym nie pomylił. . .

Wygrzebał z kieszeni notes i znalazł odpowiednią kartkę.

— Popioły lotne są gorsze niż żużel — zakomunikował.

— Jakie popioły lotne?

— No te, pyły wielkopieczowe. To się nazywa popioły lotne. Spiekają to na bryły, potem kruszą i używają jako kruszywa. Wydziela to z siebie więcej promienio-

wania niż żużel. Co do żużla natomiast, to jest tak... Zaraz. O, mam! W naturze istnieje promieniowanie jako takie, rozumiesz, kosmiczne, z gleby i różne inne...

— Z jakiej gleby?

— Nie wiem z jakiej, o rany, rozmaitej. W ziemi znajdują się pierwiastki promieniotwórcze i z nich się bierze. Krótko mówiąc, z natury człowiek podlega promieniowaniu i w ciągu trzydziestu lat dostaje trzy i siedem dziesiątych jednostek...

— Jakich jednostek?

— Nie wszystko ci jedno? Jakichś tam jednostek. A od mieszkania w żużlu, też przez trzydzieści lat, dostaje od dwa i pół do trzy i sześć dziesiątych, czyli prawie drugie tyle. Od pyłów dostanie o jedną czwartą więcej. Tyle mi się udało wydoić z fachowców.

— I co dalej?

— A co ma być dalej?

— No jak to co, jak to działa! Szlag trafia od razu, czy dopiero po tych trzydziestu latach?

— Tego nikt nie wie. Powiedzieli, że różnie. Ale wygląda na to, że ci badani po trzydziestu latach ciągle jeszcze byli żywi...

— I dobrze się czuli?

— Nie było mowy o tym, że źle. Ale...! A te krowy? Miałeś sprawdzić krowy w twojej oborze! I co? Byłeś tam?

Siedzący tyłem do swojej deski, a przodem do Karolka Janusz westchnął i odwrócił krzesło bokiem.

— Byłem, dlaczego nie...

— I co? Jak się te krowy chowają?

— Jak krowy, to nie wiem. Ale pieczarki po prostu doskonale.

— Jak to...?

— A tak to. Krów to tam w tej oborze nie ma i nigdy nie było. Noga krowy, można powiedzieć, nie przekroczyła tego progu. Projekt zamówiła spółdzielnia produkcyjna, która się rozwiązała akurat w momencie zakończenia budynku. Porozdzielali się i obora przypadła jednemu, który sobie wykombinował, że pieczarki to o wiele lepszy interes.

— Bój się Boga, obora na czterysta krów...! — wykrzyknął Karolek ze zgrozą.

— I z szykanami. Taśmociągi do żarcia, automatyczne zmywanie, boksy porodowe jak w klinice rządowej... Jak się okazuje, pieczarkom to nie przeszkadza. Zaopatrzyły go już w willę i dwa samochody, z czego jeden biały mercedes. Mowę mi tam odjęło, a on, ten właściciel, tłumaczył, że na co mu krowy i świnie, co to dla niego po mleko i mięso do miasta skoczyć, ma ugadanego kierownika Delikatesów, a pieczarka jeść nie woła. Na dowód pokazywał mi gospodarstwo obok, gdzie całe siano zgniło, bo go nikt nie przewracał...

- To niby czego to miał być dowód?
- Że przy gospodarstwie to taka ciężka praca. Nikt po prostu nie da rady. Całą wieś oplotkował, u sąsiada prosiaki na śmierć zamarzły, bo hodowane były w stodołę, a stodoła z natury jest przewiewna. Tam, rozumiesz, jak się ta spółdzielnia rozwiązała, każdemu przypadło co innego, jemu obora, a temu obok same stodoły. On już swoją gospodarkę sprzedał, a ten co kupił też się nie będzie przemęczał. Owce zaczyna hodować.
- A owczarnia?
- Jedną stodołę przerabia. Prosiaki futra nie mają, a owca w kozuchu. Przetrzył.
- To ci wyszła bardzo pouczająca wycieczka — stwierdził Karolek, ochłonięwszy z wrażenia. — Czy to jest obraz przeciętnej wsi?
- Pojęcia nie mam. Dawno na wsi nie byłem. Ale w kwestii działania żużło-betonu na krowy tyle samo wiem co i przedtem. Dobrze chociaż, że ty masz jakieś wyniki.
- Z moich wyników wynika, że w piątek popadliśmy w przesadę. Dwa razy tyle promieniowania co w naturze, to nie może być bardzo szkodliwe. Ja się nie czuję mordercą.
- W takim razie ja też nie. Ale za to zaczynam czuć się ofiarą. . .
- No, no, panowie — wtrącił się Lesio głosem złowróżbnym. — Nie tak zaraz. Nie jest różowo. Nie jest, nie jest.
- Janusz i Karolek obdarzyli go natychmiastowym zainteresowaniem. Lesio oderwał wzrok od rysunku na swojej desce i spojrzał na wszystkich po kolei.
- Płyta płytą — rzekł — żużel żużłem. A najwięcej szkodzi PCW.
- Skąd wiesz?
- Hydraulik mi powiedział.
- Jaki hydraulik?
- Zwyczajny. Rezerwuar mi przeciekał, przyszedł w sobotę i zatkał. Pogawędziliśmy sobie na różne tematy. On mówi, że najszkodliwsze jest PCW. Rakotwórcze.
- Powiedzieć to każdy może wszystko! — zirytował się Janusz.
- Udowodnił to jakoś? Sprawdziłeś?
- Sprawdziłem. Zadzwoiłem do mojej ciotecznej szwagierki. . .
- Co to jest cioteczna szwagierka? — zainteresował się Karolek.
- Cioteczna siostra mojej żony. Ona jest czymś tam od żywienia. Nie wiem czym, ale zrobiła z tego doktorat. Otóż chomiki. . .
- Przerwał na chwilę, przyjrzał się swojemu rysunkowi i poprawił fragment.
- Otóż chomiki, wyobraźcie sobie — ciągnął powoli i rozwlekle — trzymane w klatkach z PCW. . . wszystkie jak jeden dostały nerwicy. . .
- To co to ma wspólnego z rakiem? — spytał nieufnie Karolek.

— Z rakiem nic. Oprócz tego pochorowały się na coś jeszcze, zdaje się, że na tarczycę. Ale za to chomiki, które wiodły żywot w klatkach z żużlobetonu, zapadły na owrzodzenie żołądka. To też nie ma nic wspólnego z rakiem. . .

Janusz i Karolek przyglądali mu się przez chwilę w milczeniu, usiłując jakoś pogodzić tę informację z wszystkimi poprzednimi.

— A ludzie. . . ? — spytał niepewnie Karolek.

— Co ludzie?

— No, ludzie w tych klatkach. . .

— Nie trzymali ludzi w klatkach. Ale człowiek i chomik to prawie jedno i to samo, nie? Też ssak, delikatne zwierzątko i nawet cechy charakteru miewa podobne. Można z niego wnioskować.

Janusz starał się jakoś uporządkować myśli.

— No dobrze, czekaj, ale mówisz, że nerwica i owrzodzenie. To gdzie tu rak?

— Nie ma raka — odparł Lesio surowo. — Nic ci na to nie poradzę. Nie wymagaj za wiele.

— Za skarby świata nie wiem, co o tym myśleć — wyznał Karolek. — Jeszcze wam nie mówiłem, ale słyszałem takie rzeczy o żywności. . .

— E, tam! — przerwał gniewnie Janusz. — Coś mi się widzi, że niepotrzebnie wpadliśmy w panikę. To przez Włodka wszystko, przyleciał tu z gębą jak Piotrowin i, zatruwamy ludzkość, powiada. Uwierzyłem mu w pierwszej chwili niepotrzebnie. . .

— Potrzebnie, potrzebnie! — przerwał z kolei Lesio, wracając do złowieszczonego tonu. — Oj, potrzebnie! A ołów. . . ?

— Co ołów?

Lesio oderwał oko i dłoń od rysunku.

— Orgia ołowiu — rzekł tajemniczo. — Spożywamy ołów. Ona produkuje ołów. . .

Oskarżycielskim gestem wskazał Barbarę. Barbara, pochylona nad deską, robiła wrażenie, jakby nagle ogłuchła. Janusz przypomniał sobie, że na temat ołowiu miał się wypowiedzieć chemik.

— A, właśnie! — rzekł z ożywieniem. — Barbara, co twój mąż. . . ?

— Odejdź ode mnie z moim mężem, dobrze? — warknęła Barbara, podrywając gwałtownie głowę znad deski.

Zaskoczony zespół zamarł. Wszyscy znali temperament gwiazdy pracowni i wszystkim równocześnie nasunęło się niepokojące przypuszczenie, iż z nie znanych nikomu przyczyn zabiła swego męża, co uniemożliwia uzyskanie od niego jakichkolwiek informacji, zaś gniew jej mimo to jeszcze nie minął, co wywołuje obecny stan. Barbara odsunęła nagle krzesło od stołu, zapaliła papierosa, wydmuchnęła z furią potężny kłęb dymu i spojrzała na Karolka.

— Oni chcą żreć! — powiedziała dobitnie.

— Co ty powiesz? — zdziwił się Karolek na wszelki wypadek.

Uczucia Barbary, przełamawszy widać jakąś barierę, wybuchły teraz niczym gejzer.

— Chcą zjeść! Rozumiecie?! Chcą zjeść codziennie! Wszyscy trzej! Co mam im gotować codziennie, „Życie Warszawy”...?!

— „Trybuna Ludu” większa — podsunął Lesio nieśmiało i delikatnie.

— Oni chcą mięso...!!!

— Nie zwracaj uwagi — poradził pośpiesznie Janusz. — Ludzie mają różne głupie wymagania. Najlepszy sposób, to udawać, że się nie widzi i nie słyszy.

Barbara ziała ogniem, nie zważając na słowa pociechy. Zespół z ulgą porzucił myśl o mężobójstwie, od razu pojawił się, w czym problem. Najwidoczniej mąż i synowie Barbary z bezrozumnym uporem domagali się codziennych posiłków, co nawet świętego mogłoby wyprowadzić z równowagi. Zgodne, chóralne wyrazy współczucia i pełnia zrozumienia już po kilku minutach zdołały ułagodzić nieco jej uczucia, które, znalazłszy ujście, przestały uniemożliwiać kontakty międzyludzkie. Ozdoba biura odzyskała zdolność uczestniczenia w życiu zespołu.

— Stado kretynów jesteście — oznajmiła złym głosem. — Ten katastrofista narobił zamieszania, a wy od razu daliście się wziąć na lep. Wcale nie ołów jest najgorszy, tylko siarka. A siarka znajduje się w powietrzu i nasze projekty nie mają na nią najmniejszego wpływu!

— A asfalt...?

— Asfalt nie ma tu nic do rzeczy! Asfalt sam z siebie niczego nie zatruwa. To spaliny.

— Samochodowe...?

— No pewnie! Spaliny wydzielają takie coś tam z siarką, ponadto przy ścierniu okładzin hamulcowych wytwarza się pył azbestowy, który działa rakotwórczo...

— No, nareszcie mamy raka! — westchnął Karolek z ulgą.

— Ołów też jest, zawarty w spalinach. Tworzy jakiś tam związek i osadza się we wszystkim dookoła. Poza tym, który to się wygłupił z tą rtęcią? Rtęć to wcale nie jest metal rzadki, tylko przeciwnie, metal ciężki. Metale rzadkie, to jest lit, sód i coś tam jeszcze. A od asfaltu się odczepcie, bo asfalt nawet ściąga do siebie te wszystkie trucizny i gdyby nie wiatr, wszystko siedziało by na szosie. Wiatr rozwiewa i dlatego się rozchodzi. Asfalt jest użyteczny.

Na wieść, że przynajmniej jeden z projektowanych elementów w miejsce szkody przynosi jakiś pożytek, cały zespół doznał takiej ulgi, że omal nie porzucono na zawsze okropnego tematu. W tym momencie jednakże przecknęła się nagle grymaśna dusza Lesia.

— No tak... — rzekł smętnie właściciel duszy. — Tu siarka w kapuście, tam pietruszka z ołowiem i coś takiego? Cóż to jest? Co to dla nas azbesty i spaliny, skoro mamy wielką płytę? Promieniuje ta nasza kochana sierotka, promieniuje...

— No nie, ja cholery dostanę! — powiedział z wściekłością Janusz. Zerwał się gwałtownie i wybiegł z pokoju.

W dalszym ciągu na nowo wybuchłej dyskusji wziął udział siłą przez niego przywleczony Włodek, który wszak sam osobiście rozpętał aferę. W kilka chwil później grono dyskutantów powiększył naczelny inżynier, przybyły do Janusza po projekt wstępny zieleni. Nie zdążył wyjawić celu przybycia, zanim bowiem otworzył usta, przywalała go lawina gwałtownych, namiętnych, chaotycznych i zgrozę budzących pytań. Nie odpowiedział na żadne, zaprezentował natomiast powątpiewanie w zdrowe zmysły zespołu. Zmobilizowano się zatem i przedstawiono mu całą sprawę obszernie, wyczerpująco i z wyeksponowaniem akcentów pesymistycznych, dusza Lesia bowiem miała akurat wyjątkowy przyływ apokaliptycznego natchnienia.

Naczelnny inżynier wysłuchał wszystkiego w milczeniu.

— Jednorazowa dawka całkowicie śmiertelna, to jest sześćset rentgenów — rzekł wreszcie sucho. — Maksymalna dopuszczalna to jest pięćdziesiąt rentgenów w ciągu czterech dni. Pod warunkiem, że po tych czterech dniach promieniowanie się skończy i już nie powtórzy.

— Skąd wiesz?

— Z wojska. Akurat mnie tego przypadkiem uczyli.

— Czy te tam jednostki, o których on gada, to są właśnie rentgeny? — spytał Janusz. — To jest jedno i to samo?

— Mniej więcej to samo.

— To o co właściwie chodzi? Pięćdziesiąt, mówisz, a tu przez trzydzieści lat tylko trzy i sześć dziesiątych. To o co ten krzyk?

— Z tego by wynikało, że wielka płyta jest w ogóle nieszkodliwa — zauważył z ulgą Karolek. — Przez trzydzieści lat ludzki organizm zdąży się przystosować.

— Nic podobnego! — przerwał ostro naczelny inżynier. — To jest, nie tak, inaczej chciałem powiedzieć. Skąd wyście wzięli te swoje trzy i sześć dziesiątych, to jest jakaś przeciętna z przestarzałych badań. Nie to jest groźne!

— Tylko co?

— Tylko to, no, jakby wam tu powiedzieć. . .

Naczelnny inżynier zakłopotał się nieco. Nie mógł sobie przypomnieć, czy to, co wie, nie jest przypadkiem tajemnicą wojskową. Postąpił kilka kroków i przysiadł na stole Lesia, gorączkowo szukając w pamięci okoliczności, w jakich zdobywał swoją wiedzę. Był zdania, że powinien się nią podzielić, na ile tylko to będzie możliwe. Pamięć odmówiła usług, zawahał się i machnął ręką.

— Co tam! — rzekł z determinacją. — Wola boska. Najgroźniejsze jest natężenie promieniowania. Te trzy i sześć to jest pić na wodę, natężenie bywa do piętnastu razy większe, zależy skąd ruda, z jakiej kopalni węgiel i tak dalej. To już nie są żadne hocki-klocki, to się może skumulować i wtedy szkodzi, chociaż

nikt jeszcze nie wie dokładnie jak. Może choroba popromienna, może rak, może jakieś zwyrodnienia genetyczne...

— Jak cudownie nas pocieszasz! — powiedziała zgryźliwie Barbara.

— A wam trzeba było pociechy?

— Nam było trzeba konkretów — oznajmił stanowczo Janusz.

— Teraz już widać, że to się potwierdza. Co za zbrodnicze bydlę wymyśliło ten popiół do betonów?

— Nie rozprasza się na drobiazgi! — zgał go Karolek. — Trzeba uściślić, bo, myślny realnie, całkowicie produkcji nie zatrzymasz, bez wielkiej płyty stanie całe budownictwo mieszkaniowe. Więc jeżeli tu piętnaście, a tu zero, to trzeba wiedzieć, które brać, no wiecie, o co mi chodzi...

— Masz na myśli, skąd węgiel i skąd ruda? — upewniła się Barbara. Naczelny inżynier nie wytrzymał, wziął udział w rozważaniach. Nie umiał dokładnie odpowiedzieć na pytanie Karolka, pamiętał tylko, że najgorszy jest popiół z elektrowni Łagisza. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się owa elektrownia, ani też jakie są przyczyny fatalnej jakości jej popiołu, niemniej decyzja, by go nie używać, zapadła natychmiast. Ulga, jaką sprawiła prostota wyjścia, zamieniła się w przygnębienie, kiedy uświadomiono sobie, iż decyzja ma zakres kameralny i dla całego kraju nie jest, niestety, wiążąca.

— No nie wiem, rzucić robotę, jeździć po wszystkich producentach, badać te cholerne popioły i co dalej? — powiedział rozdrażniony Janusz. — Mojego akurat zarządzenia nie będą honorować, to co? Lać ich po mordzie?

— A jeszcze musisz mieć przy sobie Geigera — przypomniał z troską Karolek.

— I tym Geigerem walić...?

— Żebyś na głowie stanął, nic nie zrobisz — przepowiedziała z rozgoryczeniem Barbara. — Będą udawali, że ci nie wierzą, bo im plan zawalisz.

— I tyle zyskasz, że sam się pochorujesz — dodał Lesio proroczo. — Nie wiem, co ci zwyrodnije w pierwszej kolejności, ale pokaż nam to. Ewentualnie zrobi się zdjęcie i opublikuje w prasie.

Janusz zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju nerwowymi krokami, objając się o kanty desek.

— Ależ to jest niemożliwe, cholery można dostać! Coś trzeba zrobić! W prasie, jasne, to się powinno opublikować w prasie! W radiu! W telewizji!

— Idiota, kto ci opublikuje!? — zirytował się naczelny inżynier, któremu Janusz wlał na nogę. — Taka wiadomość może mieć nieobliczalne skutki!

— A brak wiadomości nie będzie miał nieobliczalnych skutków...?! Wyrowadzony z równowagi Karolek rozsypał piórka do tuszu, które Janusz rozdeptał. Naczelny inżynier, chowając przed nim nogi, przewrócił kosz na śmieci. Milczący i bardzo błądy Włodek, nie mogąc opanować drżenia rąk, pogniół i podał na drobne kawałeczki pismo inwestora, dotyczące zastosowania wielkiej płyty

w projekcie Janusza, czego nikt nie zauważył. Wzburzony Lesio wsparł się łokciem na tubie plakatówki i wycisnął ją z dużym impetem na świeżo ukończony rysunek oraz na ścianę.

Całkowita bezsilność doprowadziła zespół do dna przygnębienia. Naczelnny inżynier opuścił pokój w stanie rozstroju nerwowego, kompletnie zapomniawszy o projekcie wstępnym zieleni. Włodek wyszedł za nim z opuszczoną głową, powłócząc nogami i siejąc wokół siebie drobne, białe strzępki. Wyczerpany wybuchem i poobijany o meble Janusz poniechał wreszcie gwałtownych gestów i padł na swoje krzesło. Barbara, usiłując zażyć czegoś w rodzaju soli trzeźwiących, trzęsącymi się rękami wylała na siebie pół butelki acetonu.

Jako pierwszy odzyskał równowagę Karolek, który zamiótł podłogę, bo śmieci z przewróconego kosza Janusz rozkopał po całym pomieszczeniu. Prostota, a zarazem skuteczność tego czynu ukończyła odrobinę jego uczucia.

— A jednak! — powiedział stanowczo, wracając na swoje miejsce. Ja się nie poddam. O tych artykułach spożywczych powiem wam kiedy indziej, a teraz uważam, że trzeba coś zrobić. Skoczyć do tych z typowego, niech się dowiedzą, co robią, skoczyć do wykonawcy, pogadać z tymi od żywienia... No, rozumiecie! Grunt, żeby jakoś zacząć...

* * *

Tydzień usilnych starań przyniósł rezultaty dość marne. Ci z typowego ostro zaatakowani przez Janusza, zareagowali niewdzięcznie, po większej części nie dając mu wiary. Naciśnięci mocniej, zgodzili się zadziałać, co znalazło wyraz w jednym opóźnieniu projektu, kilku ostrzegawczych uwagach, umieszczonych na rysunkach i skierowanych do wykonawcy, potwornej kłótni, wynikłej z kontrowersji na tle stosunku do społeczeństwa, które, zdaniem dyskutantów, zasługiwało na wszystko, od noszenia na rękach poczynając, a na totalnej zagładzie kończąc, i wreszcie w ogólnym zdenerwowaniu i upadku ducha. Dwóch pracowników, nie bacząc na potrzeby biura, zażądało urlopu, jeden przestał się Januszowi kłaniać na ulicy, a jeden, w ramach starań o odzyskanie równowagi, spędził noc w izbie wytrzeźwień. Reszta kontynuowała pracę, nie dając się odwieść od pełnienia obowiązków służbowych.

Instytut Techniki Budowlanej w osobie pracującej tam przyjaciółki Barbary poufnie zawiadomił, że oni też o tym wszystkim wiedzą, ale nic nie mogą poradzić, ponieważ zabroniono im występować oficjalnie. Kto zabronił, nie wiadomo. Prywatnie udało im się wywrzeć wpływ na dyrektora technicznego jednego z zakładów produkujących wielką płytę i tenże dyrektor we własnym zakresie bada radioaktywność dostarczanych mu surowców, co gorsze kierując do produkcji płyt ogrodzeniowych. W chwili obecnej mógłby już swoimi płytami ogrodzić dookoła

całą Europę. Lada chwila ten przyjemny stan rzeczy ulegnie likwidacji, ponieważ dyrektor techniczny wyleci z roboty za negatywny wpływ na wysokość premii.

Wśród innych nagabywanych osób zasadniczą reakcją stanowiło niedowierzanie, połączone z nagłą tendencją do zamiany większych mieszkań w nowych blokach na mniejsze w starym budownictwie. Ponadto osobisty stosunek znajomych i przyjaciół przeistoczył się z życzliwego w pełen rezerwy, przy czym zjawisko to dotyczyło wszystkich bez wyjątku członków zespołu.

W czterech ścianach służbowego pokoju zagnieździła się czarna troska. Ciężar jej zwiększył naczelny inżynier, przynosząc kolejną odrażającą wieść, nieco odmiennej natury.

— Jest Karol? — spytał, zaglądając wczesnym rankiem do pokoju.

— Jestem — powiedział Karolek, odwracając się żywo.

— A co...?

Naczelny inżynier był tak zdenerwowany, że musiał podzielić się doznaniem z jakimś szerszym gronem. Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Chciał powiedzieć wszystko od razu, wyrzucić z siebie szalejące uczucia, na samym wstępie podać sedno kwestii i wszystkie te chęci razem dały wysoce interesujący efekt.

— Te anemiczne larwy — rzekł stłumionym głosem. — Tchórzliwe wymoczki. Ameby bez charakteru. Wydrążyć parę dziur w ziemi... Trutnie trują... Trudności...

Urwał, czując, że nie może jakoś zapanować nad treścią tego, co mówi. Na ześle jego wypowiedź uczyniła wrażenie zoologiczno-przyrodniczej, przy czym dziury w ziemi wywołały skojarzenie z dżdżownicami. Wszyscy, jak jeden mąż, oderwali się od pracy, zwracając głowy ku niemu z nadzwyczajnym zaciekawieniem.

Naczelny inżynier uczynił wysięk.

— Mątko brużdżą, a przez trutnia się wszystko rozpada — powiedział rozpaczliwie. — Skunksy głupie...

Znów urwał, gorączkowo szukając słów, które pozwoliłyby mu wyplątać się wreszcie z tej zoologii. Nie mógł znaleźć żadnych. Bezradnie spojrzął na Karolka.

Karolek od początku rozumiał, że wszystko to razem skierowane jest do niego i dotyczy kolejnej fazy pertraktacji w sprawie projektu pralni. Zastanawiał się z szaloną intensywnością. Zanim naczelny inżynier wymyślił następne antypatyczne zwierzę, Karolek odgadł.

— Młode kijanki w Urzędzie Miejskim znalazły użytkownika! — podsunął, mimo woli również poddając się sile przyrody. — A on się nie zgadza! Tak? A inwestor się boi?

— Tak jest! — powiedział z wielką ulgą naczelny inżynier.

— Z tym, że to nie jest takie proste, a nawiasem mówiąc, stare kijanki, a nie młode...

— W skrócie, ropuchy?

— Ropuchy, zgadza, się. Ile się z nimi naużerałem, tego ludzkie słowo nie wypowie. Czy ty sobie wyobrażasz, że te idiotki zaślaniały się tajemnicą służbową?!

— Przed nami? — zdumiał się Karolek.

— Przed nami. Amok je opętał, czy co, jakieś zaćmienie umysłowe, tajemnica służbowa, rozumiesz? Właściciel działki!

— Z tego wynika, że właściciel nietypowy?

— W pewnym stopniu, ale żeby chociaż wojsko! Skąd, komitet partii. Budynek należy do miasta, użytkuje go komitet partii i to ma być tajna informacja. Chyba mnie szlag trafi.

— Teraz już nie — uspokoiła go Barbara. — Skoro nie trafił cię na miejscu. . .

— A może. . . Ale nie to jest najgorsze. Partia go użytkuje dosyć dziwnie, tego już dowiedziałem się prywatnie i poufnie od tamtejszego dzielnicowego. Młody chłopak, przywoity, uczciwy i cholera go trzaska na to użytkowanie. Zatrzymajcie to przy sobie. . .

— Zaczyna to brzmieć po prostu sensacyjnie — zauważył Janusz, bardzo zaintrygowany.

— No! — ponaglił Karolek. — Jak użytkuje?

— Pozostaje w dyspozycji jakiegoś mandaryna wojewódzkiego, albo i wyżej. A praktycznie biorąc, synek tego mandaryna ma tam melinę i urządza sobie ubawę. Cholera go wie zresztą, co z tym robi, wynajmuje różnym ludziom, trzyma jakieś towary, coś przywozi, nie wiem, dzielnicowy już był taki napęczniały, że puścił z miejsca i dwie godziny szlochał mi w kamizelkę. Byłem w tym Komitecie, dowiedziałem się, że wszystko zależy od towarzysza Głucha i nawet dostałem telefon do towarzysza Głucha. . .

— Czekaj! — przerwał Karolek. — Już rozumiem, widzę trutnia. A gdzie skunks?

— Dwa skunksy — odparł gniewnie naczelny inżynier. — Jeden inwestor, skontaktowałem się z nim od razu, żeby zaczął załatwiać z towarzyszem Głuchem, i właśnie mi oddzwonił, że mowy nie ma. Nawet nalegał nie będzie, on ma żonę i dzieci. A towarzysz Głuch drugi, boi się gadać nawet przez telefon, dopadłem go. . . Głupi truteń odmawia zgody na wydzielenie pół metra terenu dla szpitala, więc bij człowieka głową w ścianę. . .

Cały zespół był doskonale zorientowany w kwestii brakujących Karolkowi pięćdziesięciu dwóch centymetrów. Wszyscy spojrzeli teraz na niego z zainteresowaniem i troską. Karolek siedział błądy.

— Już zrobiłem zagospodarowanie terenu — rzekł głucho. — Branże dostały podkłady. Ogrodzenie jest przesunięte, tak jak mówiliśmy, o pięćdziesiąt pięć centymetrów. . .

Naczelny inżynier zrobił się również błądy.

— Matko rodzona moja. . . — wyszeptał martwym głosem. Kamienna cisza zapanowała w pokoju. Przerwało ją pytanie Janusza.

— Jaki ten truteń? Młody? Naczelnny inżynier wzruszył ramionami.

— A diabli go wiedzą. Chyba młody. Zaraz. Tak, oczywiście, jasne, że młody. Bo co?

— Bo może mu tak wyperswadować w cztery oczy? Staruszka uszkodzić głupio, ale młodego, czemu nie...?

— No...? — ożywił się Karolek.

Naczelnny inżynier beznadziejnie pomachał ręką.

— Myśl jest niezła, ale do kitu. Po pierwsze, nie wiadomo, kto to jest... — Jak to?

— Towarzysz Głuch to taki totumfacki, a mandaryn jest wyżej. Nie mówi się o nim. Dzielnicowy nawet nie zna jego nazwiska. A po drugie, nawet jeśli mu dasz po mordzie anonimowo, to już sam cel perswazji wskaże sprawców. Nie, to na nic, co wam się wydaje, przecież ja od razu zacząłem szukać dróg. Urzędowe nie prowadzą do niczego. Nic się nie da zrobić, leżymy. Teoretycznie powinniśmy przeprojektować całe skrzydło szpitala. Projekt techniczny zatwierdzony, roboczy w połowie...

— Jeszcze możemy zabić tego faceta z Wydziału Budownictwa — przypomniał przygnębiony Karolek.

— Chyba w końcu trzeba będzie — przyświadczył naczelnny inżynier, nie słuchając. — Rany boskie, ile roboty...!

— Dlaczego? — zdziwił się Lesio. — Gazurką zaprawić i po krzyku, wielka mi robota.

Skołowany nieco Karolek spojrzał na niego niepewnie.

— Ale to chyba... Trzeba tak jakoś... No, żeby nie padło na nas żadne podejrzenie...

— O czym wy mówicie? — zdenerwował się naczelnny inżynier. — Jakie podejrzenie, o co wam chodzi?!

— Oni szukają innych dróg nieurzędowych, skoro twierdzisz, że urzędowe odpadają, a zwykle mordobicie do bani — wyjaśniła uprzejmie Barbara. — Ja ich popieram.

— Ja też — przyłączył się Janusz. — Z tym, że nie wiem, czy nie lepsze byłoby porwanie. Przetrzymać jakiś czas... Ktoś go chyba musi zastępować?

— Oczywiście! — ożywił się znów Karolek. — Parę tygodni wystarczy, a potem się go wypuści. Humanitarne...

Sprawa usunięcia z drogi pedantycznego biurokraty z Urzędu Miejskiego w błyskawicznym tempie nabrała rumieńców. Jego zastępca mógł się okazać bardziej ugodowy. Lesio przypomniał zachęcająco, że jest lato, zatem kwestia locum nie nastreczy trudności, jako kazamaty mogą wystąpić altanki na działkach. Naczelnny inżynier usiłował się wtrącić, sam nie bardzo wiedząc, przeciwko czemu protestuje.

— Mam myśl!!! — krzyknęła nagle Barbara.

Wszyscy urwali w pół słowa. Barbarze twarz zapłonęła, a piękne oczy zalśniły błękitnym blaskiem.

— Tam nie ma żadnego żywopłotu — rzekła pośpiesznie. — Byłam tam, pamiętam, nie ma. Nie wiem, co z krzakami i drzewkami. Rosną?

— Nie — odparli równocześnie Karolek i naczelny inżynier i dalej mówili razem. — Rośnie jedno drzewo, ale po naszej stronie. I parę krzaczków, to bez. Jaśmin. I porzeczeki. Ale też po naszej stronie. Po tamtej jest trawnik.

Barbara kiwała głową, przyświadcając.

— Tak mi się właśnie wydawało. I ten truteń przebywa tam z przerwami, tak? Po całych dniach go nie ma?

— Owszem — potwierdził naczelny inżynier. — A czasem po całych dniach jest. I po całych nocach.

— Trzeba się zorientować. Zwyczajnie, przeprowadzić rozpoznanie, dzielnicowy nam w tym pomoże. Wypatrzeć taki czas, kiedy go nie będzie chociaż przez jedną dobę. Jedna doba nam wystarczy.

— I co? — spytał Karolek bez tchu, bo Barbara mówiła w sposób budzący najśmielsze nadzieje.

— I proste. Przesunąć to cholerne ogrodzenie własnymi siłami, bez krzyku, tak, żeby nikt się nie zorientował. Ile nas jest...? Pięcioro! Ostatecznie wziąć jeszcze kogoś do pomocy. Jedna noc i z głowy!

— Rany boskie... — zaszeptał oszołomiony rewolucyjnością pomysłu Janusz, przerywając nabożną ciszę.

Naczelny inżynier i Karolek wpatrywali się w Barbarę niczym w obraz święty, a na ich twarzach ukazał się wyraz uwielbienia, nie słabszy niż na obliczu Lesia. W oku naczelnego inżyniera dodatkowo mignął nagle dziki błysk.

— Wcześniej się robi widno, świt najlepsza pora — rzekł szybko, z determinacją i zaciętością.

Karolek zerwał się z krzesła.

— Ależ tak! Oczywiście! Genialne! Cudowne! Jedyne wyjście, tylko tak!

Spróbował wybiec zza swojego stołu, ale naczelny inżynier gwałtownie go zatrzymał.

— Siadaj, siadaj, nie lataj mi tu... Trzeba pomyśleć...

— Jakie to ogrodzenie? — spytał rzeczowo Janusz.

— Zwyczajne, słupki betonowe i siatka w ramach — odparł wzruszony Karolek, siadając posłusznie. — Słupki wkopane w ziemię, dwuteownik i siatka przyspawana.

— Na pewno słupki? Nie podmurówka?

— No pewnie, że na pewno, patrzyłem na to tysiąc razy! Wystają z gruntu parę centymetrów. No, może piętnaście...

— Narysuj!

Karolek chwycił starą odbitkę i wykorzystując jej odwrotną stronę, zarazem udzielał wyjaśnień. Naczelnny inżynier patrzył mu przez ramię, potwierdzając ścisłość rysunku.

— No to faktycznie, nic takiego — zgodził się Janusz, oglądający rysunek do góry nogami, z drugiej strony stołu. — Wykopać słupki i przenieść. Tylko kłopot z tym spawem, to jest mało elastyczne.

Lesio zbliżył się właśnie do stołu Karolka.

— Przeciąć palnikiem — zaproponował.

— Trzeba, inaczej nie da rady — przyświadczył naczelnny inżynier.

— Nie wszystko! — zaprotestował pełen zapału Karolek. — Wystarczy ciąć co drugie przęsło. Potem się przyspawa z powrotem.

— Jakby przenosić po dwa słupki razem, to nawet co trzecie — poprawił Janusz. — Czekać, policzę ciężar, może się uda. . .

Odwrócił się do swojej deski i sięgnął po katalog stali. Karolek pośpiesznie rozłożył plan zagospodarowania terenu.

— Zaraz, czy nie będzie kłopotu z narożnikami. . .

— Będzie — powiedziała spokojnie Barbara ze swego miejsca.

— Dwa skrajne przęsła pójdą skosem i musimy mieć parę dłuższych płaskowników. Nic takiego, tyle że wypadnie trochę więcej spawania.

Olśniewający pomysł zaczął nabierać coraz wyraźniejszych kształtów, eksplozje inwencji twórczej wybuchały raz za razem. Karolek przystąpił do sporządzania spisu niezbędnych narzędzi i materiałów. Janusz odwrócił się ku niemu z kartką w ręku.

— Jeden słupek waży razem z teownikiem około trzysta osiemdziesiąt kilogramów — oznajmił. — Całe przęsło, dwa słupki z siatką, pi razy oko osiemset. Na wszelki wypadek liczę górną granicę. Dźwigu nie będziemy mieli, to nie wiem. . .

— Ręcznie zbudowano piramidy! — przypomniał Lesio zuchwale.

— Zastanówmy się, co lepiej — powiedziała równocześnie Barbara. — Dygować osiemset kilo, czy przecinać i spawać każde przęsło. Bo te trzysta osiemdziesiąt, to nie mówcie, że nie dacie rady!

W obliczu wielkich emocji uroda Barbary rozkwitała najbujniej. Sam jej widok wystarczał, żeby żaden osobnik płci męskiej nie zawahał się przed płomienym zapewnieniem, iż podniesienie własnoręcznie tak nędznego ciężaru stanowi dla niego drobnostkę niegodną uwagi. Lesio posunął się nawet dalej.

— A i osiemset, cóż to jest! — wykrzyknął ogniście, naprężając bicepsy.

— Co za szczęście, że zrobiłeś kurs spawalniczy! — zwrócił się żarliwie Karolek do Janusza. — Teraz się przyda, jak znalazł!

— Proszę! A różne głupy natrzęsały się ze mnie. . . Ale czekaj, bo ja na własność mam tylko maskę, dostałem ją w prezencie. Aparat mogę pożyczyć, acetylen da się skombinować, tylko problem w tym, że w Warszawie. W Lublinie nie mam żadnych chodów.

— No i cóż takiego, skombinuje się w Warszawie i przewiezie do Lublina — podsunął Lesio. — Ile mamy samochodów? Twój, Włodka...

— I Stefana — dodał naczelny inżynier. — Stefan pojedzie. Trzeba obgadać sprawę ze szpitalem.

— I dzielnicowym — przypomniała Barbara. — I zacząć od egzystencji trutnia...

Naczelny inżynier opuszczał już zrywający się do czynu zespół, kiedy nagle przypomniał sobie swojego bezpośredniego zwierzchnika. Gwałtownie odwrócił się w drzwiach.

— Na miłosierdzie pańskie! — zawołał w popłochu. — Tylko ani słowa przed Hipciem!

Cztery pary oczu popatrzyły na niego z niesmakiem, a cztery głowy pokiwały się w geście politowania...

Przygotowania do zuchwałej korekty planu miasta usunęły chwilowo w cień beznadziejne dążenia do korekty świata. Perspektywa osiągnięcia pożądanego celu sposobami prostymi i leżącymi w granicach ludzkich możliwości wszystkim sprawiła ulgę zgoła niebotyczną. Ponadto ilość związanych z dziełem trudności i kłopotów wykluczyła całkowicie wszelką myśl na jakikolwiek inny temat, bez reszty zajmując czas i okrywając mgłą zapomnienia rako-wrzodo-nerwicotwórcze zmory cywilizacji. Tylko Karolek, spożywając kurczaka, doznawał niekiedy wrażenia, że powinien się zastanowić nad tym, co robi.

Lesio odłożył w kącie naukowe dzieło, pożyczone za pośrednictwem żony od ciotecznej szwagierki. Dzieło stanowiło kwintesencję wiedzy o szkodliwych zanieczyszczeniach produktów spożywczych i miało mu dopomóc w zebraniu ścisłych, konkretnych informacji na temat gnębiących go obsesyjnie pierwiastków. Dostał je w przeddzień brzemienną w następstwa wizyty naczelnego inżyniera i nie zdążył obejrzeć nawet pierwszej strony. Mglistość czując, iż całkowity brak zainteresowania tak natrętnie przedtem poszukiwaną lekturą mógłby mu być wzięty za złe, ukrył ją starannie pod książką telefoniczną na niewielkiej półeczce w rogu pokoju.

Naczelny inżynier w jednej chwili i z największą łatwością osiągnął porozumienie z dzielnicowym. Dzielnicowy nawet nie dosłuchał do końca relacji o stanie rzeczy i zlekceważył prezentowane argumenty. W oku zamigotał mu mściwy błysk.

— W porządku — rzekł stanowczo. — Nie ma znaczenia, po co wam to potrzebne, ja rozumiem, że dla szpitala. Gdybyście chcieli mu dołożyć kawałek gruntu, o, to nie! Mowy nie ma, po moim trupie! Ale skoro chcecie zabrać, proszę bardzo. Już ja tego palanta dopilnuję osobiście. Szkoda, że nie mogę wam pchnąć chłopaków do pomocy, aż mi żal, ale musi to się odbyć w tajemnicy i ja w ogóle o niczym nie wiem...

Wtajemniczona w sprawę część personelu szpitala w osobach dwóch lekarzy i jednego kierownika administracyjnego od pierwszego słowa zapłonęła entuzjazmem. Przeszkód natury służbowej nie było tu żadnych, obaj lekarze zaczęli zatem z miejsca rozpatrywać kwestię dyżurów nocnych, ustawiając je tak, żeby im pozwoliły wziąć osobisty udział w przedsięwzięciu. Kierownik administracyjny natychmiast sprawdził ilość posiadanych w szpitalu łopat i postanowił dokupić jeszcze cztery. Wziął na siebie także ciężar postarania się o butle z acetylenem i drabinę ogrodniczą, niezbędną do przekraczania siatki ogrodzenia.

Dokładna penetracja terenu, rzecz jasna, była konieczna dla całego zespołu. Dokonano jej w niedzielę. Przyniosła wysoce pozytywne rezultaty i pozwoliła rozwikłać zasadniczą trudność.

Zatroskany w głębi duszy brzemieniem ośmiuset kilogramów Karolek odkrył w kącie szpitalnego podwórza coś, co wydało mu się porzuconym fragmentem konstrukcji stalowej. Nie mógł samodzielnie odgadnąć co to jest, ale czuł, że powinno to mieć jakiś znaczenie. Na wszelki wypadek odnalazł pozostałych członków zespołu, błakających się wzdłuż ogrodzenia i wnikliwie badających jego narożniki.

— Słuchajcie, mam pomysł — powiedział pośpiesznie. — To znaczy, nie mam żadnego pomysłu, ale tam leży takie coś. To do mnie przemawia, z tym, że nie wiem, co mówi.

— Jest to żywe? — zainteresował się Lesio.

— Coś ty?! Stalowe! Chodźcie, zobaczą. . .

— Stefan mówi, że bez dźwigu się nie obejdzie — powiedział z niezadowoleniem Janusz, podążający za Karolkiem. — Niechby nawet ośmiu chłopów, to jednak jest sto kilo na łba! A więcej nas nie będzie.

— Ja przez wasze wynalazki raptury dostać nie zamierzam — oznajmił zgryźliwie idący za nimi Stefan. — Przecież to trzeba wyrwać z ziemi. Dziwię się Zbyszkowi, że poszedł na tę całą kombinację.

— A widzisz jakieś inne wyjście? — spytał cierpko Włodek.

— Nie. I sam też na to idę. Ale Zbyszkowi się dziwię. Co, nie mogę się dziwić?

— Możesz, kto ci nie da. Całą robotę możesz odwalić cholernie zdziwiony. . .

— O, to! — powiedział Karolek. — Nie wiecie, co to jest? Ja wiem, że powinienem wiedzieć, ale nie łapie. Czegoś mi tu brakuje.

Przez chwilę wszyscy w milczeniu przyglądali się składowisku rupieci. Stefan, przyjaciel naczelnego inżyniera, także instalator sanitarny, oglądał się za przechodzącą przez szpitalny ogród pielęgniarzką i na rupiecie spojrzął ostatni.

— No pewnie, że brakuje — rzekł niecierpliwie. — Trzeciej nogi. Tam leży, o!

Wszyscy spojrzeli dalej i doznali olśnienia.

— Hydrogeo tego używa — zauważył Janusz. — Robili tu badania i widocznie zostawili. Po cholere odcięli trzecią nogę, nie mam pojęcia.

— No i co ci to mówi? — zaciekawił się Włodek.

— No tak, to już rozumiem! — zawołał z ulgą Karolek. — Cały czas myślę o tym, że ciężar, i miałem skojarzenie. Hydrogeo. . .

— Dźwignia! — wrzasnął uradowany Janusz. — Jasne, nie dźwig, tylko dźwignia! Oprzeć na tym długi drag i żyjemy!

— Może być dźwignia — zgodził się łaskawie Stefan. — Tylko żaden drag, wybijcie to sobie z głowy. Stalowa rura. Obejrzyjcie to, powinno mieć ze trzy metry. . .

— Ma trzy metry — stwierdził radośnie Karolek, mierząc leżące na ziemi dwie trzecie konstrukcji. — Nawet chyba trzy i pół. Przyspawać z powrotem trzecią nogę i mamy podpórkę. Tylko rura potrzebna, ile musi mieć długości? Obliczmy!

— Nie ma co liczyć, ze sześć metrów najmarniej — zawyrokował stanowczo Stefan. — Inaczej nie ruszy.

— On ma rację — potwierdził Janusz, rysujący patykiem po ścieżce. — Sześć metrów, jak byk. Krótszą możemy sobie pod tramwaj podłożyć.

Ogólnie biorąc, sytuacja wydawała się sprzyjająca, żaden z wchodzących w grę elementów nie nastroczał trudności, natomiast problem sześciometrowej rury rychło jął wszystkim spędzać sen z powiek. Czas naglił. Cała akcja miała być zakończona przed upływem terminu zatwierdzenia projektu, a termin nadbiegał żwawym truchtem. Mimo starań, poszukiwań i rozważań rura uparcie była nieosiągalna.

Sprawę pchnął do przodu Włodek. Przybył do biura o poranku, wielce poruszony i rozpoczął dzień pracy od wizyty w pokoju architektów, gdzie obecni już byli wszyscy z wyjątkiem Lesia.

— Jest rura! — zakomunikował zwycięsko. — Nawet nie jedna!

— Gdzie?! — krzyknęli równocześnie Janusz i Karolek.

— Naprzeciwko mojego domu, po drugiej stronie ulicy. Leżą liczne rury od wczoraj. Będą tynkować budynek i zaczynają stawiać rusztowanie. Wszystkie, sztuka w sztukę, jak dla nas wymarzone!

— Dlaczegoś od razu nie przyniósł?

— Zgłupiełicie? Niby jak? Miałem ją wlec za samochodem?

— No nie, rzeczywiście. . .

— A do Lublina jak ją zamierzacie zabrać? — spytała kąśliwie Barbara. — Sama pójdzie? Czy też będziecie ją wlec za samochodem?

Przez kilkanaście sekund trzej panowie oglądali ją wzrokiem bez wyrazu.

— Można przyczepić do dwóch samochodów i udawać, że to sztywny hol — zaproponował Włodek słabo i bez przekonania.

Janusz spojrzał na niego i nagle jakby się ocknął.

— Słuchajcie, myśmy wszyscy zgłupiełi. Co za kretyński pomysł, dygować idiotyczną rurę z Warszawy do Lublina! Nie ma takiego miasta w Polsce, w któ-

rzym nie tynkują chociaż jednego budynku! W Lublinie też tynkują, tam trzeba rąbnąć, a nie tu!

— Wypożyczyć — poprawił z naciskiem Karolek. — Przecież im oddamy, bo na co nam potem.

— Jasne, wypożyczyć. I to już, wszystko inne mamy, tylko rura nas trzyma. Włodek się prawie obraził.

— No to niech ktoś weźmie urlop i jedzie do Lublina szukać rusztowania. Niech tam zamieszka. Ja mam dosyć tych wyjazdów!

— Dużo się najeździłeś, wszystkiego raptem dwa razy. . .

— Jakie dwa razy?! Dwa tysiące razy! Ty za mnie robisz instalacje czy święty Michał Archanioł. . . ?!

— Tamte wyjazdy się nie liczą, to były normalne, służbowe — powiedział Karolek stanowczo. — Ale teraz rzeczywiście trzeba pojechać tylko dla rury i wreszcie to załatwić. Ty masz rację — zwrócił się nagle do Janusza. — Wszyscy mamy trwałe zaśmienie umysłowe, przecież gdyby on nie zobaczył rusztowania, szukalibyśmy jej do końca świata.

— Może lepiej przemyślny to jeszcze raz, bo ja nie wiem, czy tam gdzieś nie ma więcej idiotyzmów.

— Za to ci gwarantować nie mogę — odparł Janusz i wyjął z szuflady rulon papieru milimetrowego. — Zrobiłem już cały harmonogram, nic nam nie szkodzi popatrzeć.

Rozwinął rulon na stole Karolka. Wychodzący już Włodek zawahał się, zawrócił i podszedł do nich. Barbara podniosła się od swojego stołu. W tym momencie wszedł spóźniony Lesio i omijając własną deskę, od razu dobił do grupy otaczającej harmonogram.

— Od początku — zarządził Janusz, przytykając ołówek do kresek na papierze milimetrowym. — Godzina zero. . .

— To która to ma być? — spytał Włodek, wciąż jeszcze z lekką urazą.

— Słońce zachodzi mniej więcej o wpół do ósmej. Wobec tego zaczynamy o dziewiętnastej.

— Przecież to jeszcze biały dzień!

— No to co? Zamknij się i słuchaj. Godzina zero, to jest dziewiętnasta i nic nas nie obchodzi biały dzień! Początek działań jest niewidoczny dla otoczenia. Numer jeden zaczyna spawać nogę stojaka hydrogeo. . .

— Co to jest numer jeden? — zainteresował się Lesio.

— Ja — odparł Janusz gniewnie — przestaniecie przeszkadzać, czy ja mam wam zrobić coś złego?

— A dlaczego akurat ty jesteś taki uhonorowany?

— Nie uhonorowany, capie boży, tylko pierwszy do roboty. Wszyscy uczestnicy akcji są ponumerowani według kolejności przystępowania do pracy. Numer jeden, mówię, łapie się za nogę. Numer dwa udziela mu pomocy. . .

— Nie wygłupiaj się, mów kto jest który numer, bo to się jeszcze myli — poprosił pokornie Karolek.

— Dobra. Numer dwa to jest Stefan. Zapiszcie sobie najlepiej. Numer trzy, znaczy Włodek, podłącza kable do ewentualnego oświetlenia. Numery od cztery do siedem przygotowują narzędzia i układają płyty chodnikowe pod ogrodzeniem...

— Rozumiem, że to my — powiedziała Barbara. — Po diabła te płyty?

— Płyty albo cokolwiek innego. Trzeba podłożyć pod nogi stojaka, bo tam jest miękki grunt. Trzeba przygotować parę kupek, żeby potem w ciemnościach nie latać i nie szukać. Numery osiem i dziewięć kończą dyżur w szpitalu, numer dziesięć usuwa z terenu niepożądane osoby i pilnuje, żeby nikt nie wtykał nosa w to, co się dzieje w ogrodzie. Nic więcej się nie przewiduje aż do godziny dwudziestej.

— Całą godzinę będziesz spawał jedną głupią nogę?!

— Niekoniecznie, ale zostawiam godzinę, bo tam jest udoskonalenie — wyjaśnił Janusz z ożywieniem, odrywając się na chwilę od harmonogramu. — Wiecie, taki bloczek, nie, nie bloczek, takie kółko na ośce, na czubku tej maszyny. Leży tam, w tej rupieciarni i da się zamontować, już sprawdzałem. Też muszę przyspać.

— I do czego to kółko?

— Pchnie się drag. Znaczy rurę. Rozumiesz, jak podniesiesz przesło, to jeszcze musisz przemieścić to pół metra ku przodowi. Pojedzie na kółku.

Sięgnął po kawałek kalki i zilustrował własne słowa. Słowa wydawały się trochę mętne, rysunek natomiast wszyscy od razu zrozumieli. Zgodnie pochwalono wynalazek.

— No! — powiedziała niecierpliwie Barbara. — Dalej! Co ma być o dwudziestej?

Janusz pochylił się znów nad arkuszem papieru milimetrowego.

— O dwudziestej numer jeden przystępuje do cięcia pierwszego narożnika. To jest ten w głębi ogrodu, najmniej widoczny. Numer dwa, numer cztery i numer pięć...

— Cztery i pięć, to kto? — spytał szybko notujący pilnie Karolek.

— Cztery to ty, a pięć, to Zbyszek. Razem ze Stefanem montujecie na stojaku łańcuch i haki do zaczepienia przesła. I drugi łańcuch, ewentualnie linkę stalową. Trzeba przyczepić na końcu rury, bo zwracam wam uwagę, że ten koniec będzie sterczał pięć i pół metra nad ziemią. Macie czas do dwudziestej trzydzieści. O dwudziestej trzydzieści zaczyna się polka. Mianowicie numer sześć i numer trzy przynoszą drabinę i ustawiają nad ogrodzeniem. Już jest niezła szarówka. Wszyscy przełażą z łopatami na drugą stronę i o dwudziestej trzydzieści pięć zaczynają kopać...

— Pozabijają się, jeżeli będą w tym tempie wszyscy razem pchali się na drabinę — wtrąciła krytycznie Barbara.

— I to jeszcze z łopatami — dodał Lesio z troską.

— A kto ci każe leżać na drabinie z łopatą, ty głąbie od kalafiora? Nie ma gadania, o dwudziestej trzydzieści pięć następuje start i żadnych spóźnień! Kopie osiem osób...

— Dlaczego osiem? — spytał Włodek. — Skąd ci wyszło te osiem?

— Z dodawania i odejmowania, w tym zakresie matematykę mam opanowaną pamięciowo. Uzgodnione jest, że o dwudziestej trzydzieści pięć numery osiem i dziewięć, które miały dyżury w szpitalu, rzucają wszystko i lecą do ogrodu. Numer dziesięć pozostaje w rezerwie, ogólnie biorąc, nadal zajmuje się zabezpieczaniem spokoju...

— No to wychodzi dziewięć osób, a nie osiem.

— Osiem, bo numer jeden twardo tnie płaskowniki.

— No to jeszcze źle, numer dwa musi pomagać numerowi jeden, więc do kopania zostaje tylko siedem osób — skorygował Karolek, w skupieniu śledzący ruchy ołówka na harmonogramie.

— A po cholere on ma mi pomagać? — zdziwił się Janusz. — Pod łokcie mnie będzie trzymał, czy co?

Karolek zdziwił się bardziej.

— Jak to, chcesz sam dygować tę butlę z acetylenem? Nie dasz rady nawet na wózku, to waży podobno trzysta pięćdziesiąt kilo. Cholernie ciężkie, próbowałem na równej podłodze, a co mówić na ziemi w ogródku...

Janusz otworzył usta i zamknął je, nie wymówiwszy ani słowa. Stropiony patrzył na Karolka.

— Co jest? — zatroskała się Barbara. — Nie przewidziałeś tego i harmonogram się łamie?

— No nie, jest przecież jeszcze ten dziesiąty w rezerwie — przypomniał nie mniej zaniepokojony Lesio.

— No to jak? — spytał Karolek niecierpliwie.

Janusz chrząknął kilkakrotnie z wyraźnym zakłopotaniem.

— Nic się nie łamie. Tylko tego... No, zapomniałem wam powiedzieć. Miałem kłopoty i tego...

— Wyduszę z siebie nareszcie!

— No, okazało się, że mogę pożyczyć od zaraz elektryczny aparat, spawarkę i ten interes do cięcia, a z gazowym były problemy. Nawet lepiej, lżejsze to i na diabła nam kołomyja z butlami... W ten sposób nikt do pomocy nie jest mi potrzebny i kopie osiem sztuk!

— No wiesz...! — wykrzyknął zaskoczony Karolek.

— To jest cud, że ja tu zostałem i nie poszedłem do siebie — powiedział równocześnie rozgoryczony Włodek.

— Bo co?

— Bo do czego się podłączysz ze swoim elektrycznym intere­sem, ty ofiario postępu?! Przecież ci muszę dać kabel i wtyczkę!

— A rzeczywiście. . .

— Ale czekaj, o Boże! — wtrącił zdenerwowany Karolek. — Była mowa o butlach i ten kierownik administracyjny już zorganizował wszystko, i nie masz pojęcia, jak się starał! I co teraz, mam mu powiedzieć, że niepotrzebnie?! Za nic! Zrazimy go sobie!

— O czymś takim w ogóle nie ma mowy — zawyrokowała Barbara, marszcząc piękne brwi. — Niedopuszczalne psychologicznie. Wykombinujcie coś!

— Wywlecze się te butle i schowa gdzieś w krzakach — zaproponował Lesio. — Będziemy udawać, że nie ma dla nas życia bez butli. Kto tam się połapie, przy czym on spawa, a nawet jak się połapie, to i tak już będzie za późno.

— Bardzo dobry pomysł! Tylko zaraz. . . Czekajcie, gdzie by tu. . .

— Wstaw po prostu na samym początku wywlekanie butli jako punkt zero minus jeden — poradziła Barbara.

Janusz spojrział na nią z wdzięcznością, pośpiesznie naniósł poprawkę na harmonogramie i odzyskał energię.

— Dobra, jedziemy dalej. Na czym stanęliśmy?

— Na ośmiu sztukach o dwudziestej trzydzięci pięć — przypomniał Karolek.

— Gdzie ja to mam. . . Jest. Tutaj. Osiem osób kopie doły. Nie macie prawa kopać dłużej niż piętnaście minut.

— Zwariowałeś? — skrzywił się Lesio. — Przecież to jest metr głębokości.

— Ale za to powierzchnia nieduża. Pół metra na pół metra.

— A jak się będzie osypywać?

— Co ci się będzie osypywać, to nie jest piaszczysta wydma, tylko porządna, ogrodnicza ziemia! Myślałeś, że na wczasy tam jedziesz, czy jak? Piętnaście minut i ani sekundy dłużej! O dwudziestej pięćdziesiąt te same osiem osób przelatuje świńskim truchtem na kolejne pozycje i zasuwa następne osiem dołów. Ziemię rzucać w kierunku ogrodzenia, bo nią potem zasypujemy stare doły. Nie zostawiać dużo śladów, nie deptać trawnika. . .

— Unosić się lekko w powietrzu — podsunął sucho Włodek.

— Jest godzina dwudziesta pierwsza pięć. O tej porze numer jeden ma już wszystko przecięte. . .

— I opada mu. . . — wyrwało się Lesiowi.

Na krótki moment wszyscy, nie wyłączając referenta, stracili wątek. Wizja gubionej i pętającej się gdzieś w dole garderoby z potężną mocą zamajaczyła oczom duszy. Janusz z niesmakiem popatrzył na Lesia, zajrzał do harmonogramu i z pewnym wysiłkiem wrócił do tematu.

— Dwudziesta pierwsza pięć. Numer dwa, numer cztery i numer sześć lecą do tego miejsca, gdzie akurat stoi ta maszyna hydrogeo. Nie ma znaczenia, od

którego przęsła zaczniemy. Numer cztery i numer sześć okopują dwa odpowiednie słupki ogrodzenia, numer dwa i numer jeden zaczepiają łańcuchy. Byle która osoba ciągnie za linkę, unosi przęsło, popycha pół metra do przodu. . .

— Pięćdziesiąt pięć centymetrów — skorygował stanowczo Karolek.

— Dobra, pięćdziesiąt pięć. Pozostałe osoby trzymają cały nabój i celują słupkami w doły. Opuszcza się. Przydeptuje. Pięć minut. Dodatkowe pięć minut rezerwy na nieprzewidziane trudności z uwagi na pierwsze przęsło. Razem piętnaście. Przez ten czas pozostałe numery odwaliły pięć dołów. O dwudziestej pierwszej dwadzieścia mamy następującą sytuację: dwadzieścia jeden dołów wykopanych i jedno przęsło przeniesione. Przystępuje się do drugiego przęsła, czterech silnych łapie postument i cała operacja się powtarza. Ma trwać dziesięć minut. O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt wykopane są wszystkie doły i przeniesione jeszcze osiem przęsła, razem dziewięć. Ponieważ przenosimy po dwa przęsła, w sumie jest osiemnaście. Dziesięć minut odpoczynku.

Janusz umilkł i sięgnął po papierosy. Cztery osoby przyglądały mu się z lekkim powątpiewaniem.

— Czy ktoś się może orientuje, jak wyglądają ciężkie roboty skazańców? — spytała trochę niepewnie Barbara.

— Chyba mniej więcej właśnie tak — odparł Karolek z westchnieniem.

— O co chodzi? — zirytował się Janusz. — Przenosimy to ogrodzenie, czy nie? Chcecie się z tym międlić do przyszłego roku?

— On ma rację — powiedział posępnie Włodek. — Gaz i tempo, nikt nie ma prawa nakryć nas przy tej robocie. Nie będę odpoczywał, bo niech pierzem porosnę, jeśli z tym światłem coś tam nie wyskoczy.

— No właśnie! — zaniepokoił się Karolek. — Światło musi być nietypowe. Wicie, nie za bardzo jaskrawe, żeby nie zwracało uwagi.

— Zrobisz coś takiego, jakby blask księżycy — poradził Lesio.

— Czy i słowików sobie życzysz. . . ?

— Dla zagłuszenia hałasu lepsze byłyby gęsi — podsunął Janusz. — To jak? Jedziemy dalej?

— Wal — powiedział z rezygnacją Karolek. — Już nic gorszego nie będzie.

Dalszy ciąg harmonogramu wykazał niezbitcie, w sposób prosty i jasny, że cała robota ulegnie zakończeniu o godzinie drugiej trzydzieści. Półtorej godziny, pozostałe do pełnego dnia, przewidziano na zatarcie śladów. Budzące się ze snu społeczeństwo powinno ujrzeć szpitalny ogród taki jaki był, w nie naruszonym stanie.

— Na oko wygląda to nieźle — przyznał Karolek. — Nie widzę żadnego idiotyzmu. Jak stoimy z narzędziami?

— Mamy wszystko. Stojak hydrogeo jest, nic mu nie brakuje, trzyma się kupy, a trzecia noga została przewidziana. Podpórki się chyba znajdują?

— Jakby co, jest chodniczek dookoła budynku — zauważył Lesio.

— Widziałem deski w tej rupieciarni — powiedział równocześnie Włodek.
— No to w porządku. Co tam jeszcze? Łopaty są w szpitalu...
— Widział je kto? — spytała nieufnie Barbara.
— Widziałem na własne oczy — odparł Karolek. — I drabinę widziałem, dwumetrowa, powinna wystarczyć.
— Przyrządy do spawania tak jakby były, mogę je wziąć w każdej chwili. Nawet je wypróbuję. Jak z instalacją?
— Jeszcze nie wiem — powiedział zimno Włodek. — Muszę tam jechać i zobaczyć, ile kabla mają w szpitalu. Końcówki mam wszystkie, żarówki u nich muszą być, a jak nie ma, wykręcę skądkolwiek.
— Potrzebne będzie parę kawałków płaskownika — przypomniała Barbara. — Mamy?
— Mamy płaskownik, mamy łańcuchy i haki, Stefan skombinował. To by było wszystko, nie?
— Jeszcze sznurek — powiedział Karolek. — Ale to już sam się postaram, bo tych pięćdziesięciu pięciu centymetrów ja muszę być pewien. Więcej nic nie widzę.
— W takim razie została tylko ta cholerna rura. Ty tam kiedy jedziesz?
— Dzisiaj — zdecydował Włodek. — Urywam się o drugiej i jadę. Ale wybij sobie z głowy, żebym latał za rurą, ja mam instalacje. Musi pojechać ktoś jeszcze.
— Dobra, jadę z tobą. To jest, nie tak, ty pojedziesz ze mną — zarządził Janusz. — Zostawię cię w szpitalu i obskoczę miasto, rusztowania rzucają się w oczy. Potem razem wrócimy.
— To ja też jadę — powiedział Karolek. — I tak bym nic nie zrobił, bo jestem zdenerwowany, a tam, do tego wypożyczania, może będą potrzebne dwie osoby.
— Żadnej głupoty w tym wszystkim nie widzę — oceniła Barbara, wracając na swoje miejsce. — Zdaje się, że jeden raz uda nam się odwalić spokojną, porządną robotę bez idiotycznych niespodzianek...

Naczelnny inżynier, coraz ściślej zaprzyjaźniony z dzielnicowym, otrzymywał informacje o egzystencji trutnia na bieżąco. Inwigilowany osobnik wiódł żywot wysoce kapryśny, pewne prawidłowości jednakże udało się w końcu dostrzec. Po kilkudniowym pobycie w użytkowanej willi, zazwyczaj w licznym i wesołym towarzystwie, oddalał się i bywał nieobecny przynajmniej przez jedną dobę. W innych okresach wpadał raz na dwa tygodnie, lub też codziennie na kilka godzin, albo też na całą noc, należało zatem nastawić się na ową dobę, stanowiącą jedyny, jako tako pewny, punkt oparcia. Nikt z zainteresowanych nie miał najmniejszego pojęcia, kiedy rozrywkowe usposobiony młodzieniec dozna kolejnego przyływu gościnności, cały zespół czekał zatem w napięciu z dnia na dzień i z godziny na godzinę.

Telefon od dzielnicowego zmobilizował ekipę roboczą z nienacka w samo południe i od tego momentu o pracy nie mogło już być mowy. Wszystkim wszystko zaczęło lecieć z rąk. W atmosferze nadludzkiej wysiłków i straszliwego napięcia zdołano wyjechać już w dwie i pół godziny po wezwaniu.

W czasie drogi namiętności doznały zaledwie połowicznego ukojenia. We wszystkich trzech samochodach upewniano się wzajemnie w kwestii zaopatrzenia i wyliczano zabrane i na siłę upchane materiały i narzędzia. Pojazd Janusza, w którym jechali także Barbara i Karolek, bez reszty wypełniony był rurą. Barbara wciąż domagała się opowieści o szczegółach poszukiwań i ich rezultacie, Karolek zaś chętnie dzielił się wspomnieniami przeżytych emocji.

— Wszystko było zmontowane, no mówię ci, jak na złość, i jeszcze porządek mieli, aż obrzydzenie brało. Najmniejszy kawałek się nie poniewierał. . .

— Na torze, to owszem — wtrącił Janusz.

— Tak, na torze kolejowym leżała jedna, ale krótka, dwa i pół metra. Ale w szpitalu Włodek znalazł czterometrową i jak nam po drodze koło wysiadło i Janusz podnosił lewarkiem, przyszło nam do głowy, żeby zrobić to samo. Rozumiesz, w tę czterometrową wetknąć byle co, znaczy nie byle co, tylko coś porządnego i gotowe. Pręt zbrojeniowy na przykład, albo jaki drąg. . .

— Żeby nie to koło, do śmierci byśmy szukali — wtrącił znów Janusz.

— A już myśleliśmy, czy by nie zdemontować w nocy jakiegoś kawałka od góry. . .

— Byłabym spokojniejsza, gdyby to była rura w całości — powiedziała pośpiesznie Barbara. — Naprawdę się nie dało?

— No coś ty?! Z szóstego piętra. . .? Bo od dołu ryzykowne, mogłoby im się zawalić. A lewarek działał świetnie!

— To wetknięte można by nawet przyspawać — uzupełnił Janusz z satysfakcją. — Na spawie zawsze najmocniejsze. . .

Zaraz po wjeździe do Lublina zaczęły działać przytłumione uprzednio zderzeniem prawa natury i grupa spiskowców poczuła zwyczajny, prozaiczny głód. Zatrzymanie się gdziekolwiek i zjedzenie obiadu nikomu nawet nie zaświtało w głowie, ale do szaleństwa przejęty kierownik administracyjny zadbał o aprowizację i postarał się o pożywienie ze szpitalnej kuchni. W dążeniu do ukrycia faktu pobytu na terenie szpitala siedmiu obcych, nieprzyzwoicie zdrowych osób, ulokował je wszystkie w gabinecie nieobecnego ordynatora, dokąd osobiście dostarczył potrawy. Ukradkowym przemykaniem się z tacą zdołał głęboko zaintrygować cały nie wtajemniczony w sprawę personel. W gabinecie ordynatora zrobiło się ciasno nie do wytrzymania, a spożywanie zupy na leżance do badania chorych dostarczyło nowych, świeżych i niecodziennych wrażeń.

O godzinie osiemnastej stało się jasne, że oczekiwania na godzinę zero nie znieśie nikt. Gabinet ordynatora opustoszał, a siedem osób przeniosło się w głąb ogrodu, gdzie w zakamarku za budynkiem spoczywały narzędzia pomocnicze.

Karolek nie wytrzymał, pochylił się i z pewnym wysiłkiem wywłócił na trawnik solidną, stalową rurę czterometrowej długości. Uniósł jej koniec i zajrzał do środka.

— Pusta — zaraportował z przejęciem. — Można wetknąć co się chce!

— Zostaw to, przecież słońce świeci! — skarcił go Janusz. — Wszyscy nas widzą!

— Po pierwsze, nikt na nas nie patrzy — powiedziała stanowczo Barbara. — A po drugie, stać tu beczynnienie i gapić się na was, to przekracza moje siły. Róbmy coś!

— A pewnie, przecież tu nie ma żywego ducha — poparł ją Stefan, próbując podnieść dwie trzecie stojaka, przewidzianego jako podpórka do dźwigni. — Pomóż mi, weź z tamtej strony. Spawać tu możesz do upojenia i nikomu nic nie przyjdzie do głowy. No, bierz!

— W każdym razie możemy tu przynieść wszystkie klamoty z samochodów — rzekł Włodek. — Zresztą, róbcie co chcecie, ale ja się zaczynam podłączać.

Porzucił rupieciarnię i stanowczym krokiem ruszył w stronę szpitalnego parkingu. Za nim poruszył się Karolek.

— Na początku mieliśmy wywlec butle — przypomniał. — Niech mi kto pomoże, najlepiej w tamte krzaki. . .

— Stój, czekaj! — wrzasnął na niego Janusz, porzucając stojak i Stefana. — Gdzie, w jakie krzaki, nie wygłupiaj się! Butle tutaj!

— Jak to? Mieliśmy je schować. . . ?

— Ale coś ty, tego. . . Cholera, znów zapomniałem wam powiedzieć. . . No, rozmyśliłem się. Będę spawał acetylenem. Cicho, już nic nie gadaj, spróbowałem i wyszło mi, że elektrycznie nie da rady. Znaczący, da radę, tylko, jak Boga kocham, obudzimy całe miasto. Acetylenem jest trochę ciszej, mamy cały sprzęt. . .

— O Boże — powiedział skołowany Karolek. — Trzeba uprzedzić Włodka. . .

— Ja słyszę — rzekł zimno Włodek, którego zatrzymał pierwszy okrzyk Janusza. — W połowie on się zdecyduje, że będzie spawał siłą woli. Ale bardzo się cieszę, bo to miał być mój prywatny kabel. Zostanie i w razie czego on się będzie mógł na nim powiesić. . .

— Co was obchodzi, niech spawa czym chce! — zniecierpliwiał się Stefan. — Niech pluje, byle się trzymało! Ja już widzę, że bez drabiny tu się nie obejdzie, dobra, przynosimy ten majdan z wozów, a ty nie stój jak słup, tylko leć po drabinę. . .

W rupieciarni za budynkiem zawrzało życie. Wrócił objuczony ekwipunkiem Stefan, za nim Janusz z naczelnym inżynierem przywlekli butle na wózek. Karolek i Lesio nadbiegli z drabinką. Po chwili nadciągnął Włodek, jeszcze pełen urazy, wlokąc za sobą długi przewód z czymś w rodzaju gniazdka na końcu i rozpoczął jakieś tajemnicze machinacje.

— Instalacje w zasadzie gotowe — oznajmił z godnością. — Zrobię takie oświetlenie, że wam oko w słupek stanie. Ostatecznie możecie powiedzieć, gdzie chcecie najwidniej.

— Może być wszędzie jednakowo — przyzwolił pośpiesznie Janusz.

— No, podłączaj się! — pogonił niecierpliwie Stefan. — Niech ja zobaczę, czy to w ogóle działa!

Janusz połączył swoje przyrządy z butlami i wypróbował. Działo doskonale. Wyregulował płomień i przy akompaniamencie syku o zmiennym natężeniu obaj ze Stefanem przystąpili do montowania trzeciej nogi stojaka. Włodek popatrzył na nich wzrokiem pełnym urażonej wzdargi i oddalił się, odwijając z wiszącego na szyi zwoju następny przewód. Lesio, Barbara i naczelnny inżynier oglądali łopaty, ładnie ustawione pod ścianą. Karolek grzebał w żelaznych rupiecicach, poszukując odpowiedniego pręta.

— Grzebieniówka, dwadzieścia cztery! — zawołał do Janusza, przekrzykując syk. — Będzie dobrze?

Janusz kiwnął głową z wysokości drabiny.

— Powinno wystarczyć. Słuchaj no, weź ten harmonogram, tam leży, pod łańcuchem. . . I przypnij na ścianie. A Włodek niech go oświetli!

— Co za szczęście, że on się tego rzeczywiście nauczył! — westchnął z ulgą Karolek, obserwując przez chwilę ruchy Janusza, po czym sięgnął po harmonogram.

Janusz uporządkował wierzch stojaka, przyspawał kółko na ośce, następnie zszedł z drabiny i zaczął spawać poprzeczne umocnienia nóg. Był bardzo dumny z siebie. Reszta zespołu porzuciła już inne rozrywki i stała dookoła, przyglądając mu się z wielkim zainteresowaniem. Barbara spojrzała nagle na zegarek.

— Słuchajcie, godzina zero!!! — krzyknęła wzburzoną głosem. Gdyby stalowy trójnóg poszybował nagle w kosmos zionąc ogniem z każdej nogi, nie uczyniłoby to większego wrażenia. Lesiowi wyleciała z rąk łopata, Karolek upuścił swój pręt zbrojeniowy na nogi naczelnego inżyniera, pochylony nad poprzeczką Janusz poderwał się przewracając drabinę, która runęła na głowy Barbary i Stefana. Przez chwilę nikt nie wiedział, co robić.

— Czyście zwariowali?! — zdenerwował się naczelnny inżynier, podskakując na jednej nodze i trzymając się za drugą. — Przecież zaczęliśmy przed czasem! Niech kto spojrzy na ten harmonogram, co tam ma być?

Karolek i Lesio razem rzucili się do rozpiętej na ścianie płachty papieru milimetrowego.

— Numer jeden. . . Nie, to już. . . Numer dwa. . . Nie, też już nie. . . Tu jest reszta. . . Narzędzia!!!

— I płyty chodnikowe — dodał pośpiesznie Lesio. — Wyrwać. . . ? Janusz już ochłonał po wstrząsie.

— Coś ty, chory? Drewno będzie lepsze. Desek tu od groma i trochę, bierzcie te deski! Spokój w ogóle! Już sobie wszystko przypomniałem, mamy rezerwę czasu. Dwóch mi później pomoże przesunąć ten nabój...

Na błakającego się po całym ogrodzie i rozwłóczącego wszędzie przewody Włodka natknął się doktor Romanowski, jeden z dwóch lekarzy-ochotników, który wybiegł z budynku dla zasięgnięcia informacji.

— No i jak? — spytał nerwowo. — Jak idzie?

— Doskonale — uspokoił go Włodek. — Wszystko w największym porządku. Mieścimy się w planie.

— A my? Co mamy robić?

— Panowie mają się stawić o zachodzie słońca. Przy ogrodzeniu.

— Tak jest, przy ogrodzeniu — powtórzył posłusznie doktor Romanowski i wbiegł do budynku z powrotem.

Janusz przyspawał wszystko do wszystkiego. Nie zaprzatając sobie umysłu poszukiwaniem innych metod, tym samym sposobem połączył łańcuch z końcem rury, haki z końcami łańcucha, koniec pręta zbrojeniowego z jeszcze jednym łańcuchem, dodatkowo zaś, obok haków, przymocował nieco cieńsze łańcuchy, przewidziane do ewentualnego okręcenia słupków betonowych. Ilość łańcuchów sprawiała, iż całe urządzenie przy najmniejszym poruszeniu wydawało donośne, potępieńcze dźwięki. Karolek obejrzał harmonogram i zwrócił się do Janusza.

— Słuchaj, co ty się wygłupiasz! — zawołał z wyrzutem. — Według tego tutaj, to myśmy mieli zamocować łańcuchy i to dopiero za pięć minut! A ty miałeś ciąć narożniki!

— Tak mi jakoś wyszło z rozpędu — usprawiedliwił się Janusz. — A zresztą, źle ci? Masz już z głowy.

— Ale teraz nie wiem co robić. Wychodzi mi przestój. Stefan rozejrzał się po niebie i ziemi.

— Po kiego diabła mamy czekać do dwudziestej trzydzieści? Już się robi szarówka, za parę minut możemy spokojnie zaczynać. Dawajcie drabinę! Ustawimy ją, a ty tnij, co się będziesz obcyndalał! Ty, pracowity, już ci się przestój skończył. Pchaj ten pakunek!

Po twardym chodniczku dookoła budynku wózeczek z butlami jechał dość lekko i bez większych oporów, miękka ziemia ogrodu jednakże od razu pokazała co potrafi. Sapiąc okropnie, Janusz, Karolek i Stefan z wysiłkiem przepchnęli pojazd na upatrzone miejsce. Sprawdzili, czy przewód sięga do narożnika.

— Ja nie wiem, czy we dwóch z tym kierownikiem administracyjnym dacie temu radę — powiedział z powątpiewaniem Karolek, ocierając pot z czoła. — On mi nie wygląda na zapaśnika.

— Co? — zdziwił się Janusz. — Z jakim kierowni... A...!

— Ten dziesiąty w rezerwie — wytknął zjadliwie Stefan. — Już go tu widzę. Konia trzeba było wynająć.

— Nie truj. Tam dalej jest ścieżka, lżej pojedzie. To co? Zaczynać?

— A pewnie!

— No to ryzyk-fizyk. . .

Równomierny syk trwał przez kilkanaście sekund. Janusz zmniejszył płomień i obejrzał z bliska przecięty płaskownik.

— Fajnie idzie! — ucieszył się. Przykląkł i długi, wściekły syk zabrzmiał ponownie.

Po przerzuconej przez ogrodzenie drabinie Karolek przelazł pierwszy i wykorzystując resztki dziennego światła zaczął rozciągać sznurek. Była to granica, poza którą nikt nie miał prawa wbić łopaty. Naczelny inżynier udzielił stosownych instrukcji pozostałym członkom zespołu, do których dobili dwaj lekarze, już bez fartuchów, w roboczej odzieży. Włodek przyłączył się ostatni, zląwszy z drzewa, na którym dokonywał jakichś skomplikowanych manipulacji.

— Zacząć od wycięcia darni — powiedział naczelny inżynier, zdenerwowany, zdeterminowany i zacięty. — Porządnie ma być. Ściśle mierzyć głębokość dołów, żeby nam potem nie wyszło, że jeden słupek wpadnie, a drugi się nie zmieści. Rozumiecie, co ja mówię?

— A cóż to za głupie pytanie? — zdziwiła się Barbara.

— To pewnie do nas — domyślił się doktor Romanowski. — Nie uwierzy pan, ale ja rozumiem. Tadziu, ty też?

— Też — powiedział doktor Marczak. — Tylko nie wiem, jak mierzyć.

— Najlepiej patykami — poradził Włodek. — Albo zaznaczyć głębokość na trzonku łopaty. Całkiem proste.

— Zaczynamy! — zniecierpliwiał się Stefan. — Nie ma na co czekać! W zaczynającym zapadać zmierzchu siedem osób przelazło po drabinie na drugą stronę, gdzie rozgorączkowany Karolek z naciskiem przypomniał o wyznaczonej sznurkiem granicy. Wszyscy chwycili przerzucone przez siatkę łopaty. Przez następnych kilkanaście minut ciszę szpitalnego ogrodu mąciły wyłącznie wysiłone postękiwania, szmer przerzucanej ziemi i zagłuszający wszystko rytmiczny, przeciągły syk. Z odległej ulicy dobiegał warkot przejeżdżających samochodów, a w szpitalu grało radio. Osłonięta drzewami duża, piękna willa za plecami spisowców stała ciemna i milcząca.

Pierwszy skończył rozplomieniony zapalem Karolek. Przypomniał sobie ustalenia harmonogramu i już chciał przebiec na następne miejsce, kiedy dobiegło go wołanie Janusza. Nadeszła właśnie chwila przepychania wózcza z butlami o dziesięć metrów dalej. Niebotycznie zdenerwowany kierownik administracyjny czekał już obok, bezskutecznie próbując poruszyć pojazd z miejsca własnymi siłami.

— No, teraz! — zakomenderował Janusz, kiedy Karolek pojawił się przy nim. — Od dołu bierz. . . Razem! Rrrraz. . . !

Butle wylazły z miękkiej ziemi i po alejce potoczyły się łatwiej.

— Teraz już... damy radę... — wydyszał kierownik administracyjny. — Ta alejka... idzie do końca... wzdłuż ogrodzenia...

Kiedy zziąjany nieco Karolek wrócił na swoje przewidziane harmonogramem stanowisko pracy, sznurka na trawie nie było już widać. Musiał go wymacać. Pozostali kopacze zdążyli go wyprzedzić, przy czym wypełniające ogród dźwięki wzbogaciły się stłumionymi przekleństwami, wywołanymi brakiem widoczności. Stefan zaczepił nogą o sznurek, uniknął upadku, ale zrzucił sobie but i w wysokiej trawie nie mógł go odszukać. Jeden dół uległ opóźnieniu.

Przeciągłe syki w końcu ogrodu umilkły, kiedy Karolek kończył czwarty wykop. Janusz pojawił się za siatką w charakterze niewyraźnej sylwetki na tle jaśniejszej części ogrodu.

— Hej, jak stoicie? — zawołał szeptem.

— Czwarty! — odpowiedziała większość głosów.

— Szlag jasny żeby to trafił! — odpowiedział Stefan, uporczywie macający na czworakach wokół siebie.

Janusz promieniał dumą.

— Proszę! Wszystko gra, jak Paderewski na flecie! Ciągłe jesteśmy przed czasem! Teraz trzy numery do podnośnika, kto to miał być, bo nie pamiętam? Stefan...

— I ja — odezwał się Lesio.

— I ja! — powiedział żywo Karolek.

— No to jazda, lecimy! Gdzie ten Stefan! Stefan...!

— Idź do cholery! — wrzasnął Stefan, ciągle bez buta.

— Cicho! — syknęła Barbara.

— Co cicho, jakie cicho, niech to piorun strzeli, but zgubiłem i nie mogę go znaleźć! Nic nie widzę!

— A, właśnie! — przypomniał sobie Janusz. — Miało być światło! Co z tym światłem? Włodek...!

— Według harmonogramu światło miało być o dwudziestej pierwszej pięć — odparł Włodek z godnością.

— Zglupiałeś, czy co? Światło miało być jak będzie ciemno! Już jest ciemno, jak nie powiem gdzie i u kogo!

— I jeszcze miało być mało jaskrawe i nie rzucające się w oczy — przypomniała spokojnie Barbara.

— Ha! — odparł Włodek z wyższością i tajemniczo. Rzucił łopatę i ruszył ku drabinie, potykając się na dołkach, górkach i kępach trawy, która przy ogrodzeniu była nie ostrzyżona.

Lesio i Karolek pośpieszyli za nim. Po drugiej stronie siatki Janusz podążył w tę samą stronę. Odłożył swoje narzędzia pracy pod ścianę budynku i czekał na przełazących po drabinie pomocników.

— Hej! — syczał niecierpliwie. — Chodźcie tutaj! Tutaj, tutaj! Zapomnieliśmy przenieść stojak! Jazda, każdy łapie jedną nogę. . .

Włodek znikł gdzieś w mroku, Lesio i Karolek dojrzeni Janusza, obaj potknęli się o rurę i oparli na stalowym trójnogu. Wszyscy trzej chwycili ciężką maszynę i ze stęknieniem ponieśli w mrok, ku ogrodzeniu. Lesio miał dodatkowe utrudnienie, ponieważ nie wypuszczał spod pachy łopaty. Jego noga, mniej uniesiona, ustawicznie zaczepiała o nierówności gruntu. Zgromiony przez Janusza, rzucił łopatę byle gdzie i poniósł brzemię swobodniej. Przyśpieszyli nieco i natychmiast wpadli na wózek z butlami.

— Tylko spokojnie! — ostrzegł Karolek zdyszczanym głosem.

— Obejdźmy to. . . Mamy zapas czasu. . .

— To już nie było tego gdzie postawić, tylko na środku drogi? — stęknął z urazą Lesio.

— Tu? — spytał Karolek. — Czy jeszcze dalej?

— A są już tam te doły?

— A cholera wie — wysapał Lesio. Porzucił ciężar i przytknął twarz do siatki. — Nie, chyba nie. O jedno przeszło dalej. . .

— Po cholere zaczęliście kopać od środka, a nie od brzegu? — zirytował się Janusz.

— Była mowa, że wszystko jedno, skąd się zacznie!

— To o przeszłach było, a nie o dołach! . . .

Potężny trójnóg stanął wreszcie na właściwym miejscu, pośrodku przeszła, oddalony o metr od siatki. Po drugiej stronie niewyraźnie majaczyły w ciemnościach wywalone kupy ziemi, dalej poruszały się prawie niewidoczne, czarne sylwetki kopaczy. Janusz usiłował dojrzeć kółko na szczycie trójnoga.

— Diabli wiedzą, czy to dobrze stoi. Musi być prostopadłe!

— I Stefana nie ma — zatroskał się Lesio.

— No właśnie! — poparł go Karolek, ocierając pot z czoła.

— Gdzie ten Stefan? Stefan. . . !

— Czego? — zawarczało coś czarnego, gmerającego się tuż przy ziemi po drugiej stronie siatki. — Czego się drzesz?

— O rany boskie, co ty tam robisz?! Chodźże tu!

— Odwal się! Nie ruszę się stąd, póki nie znajdę buta! Gdzie ta jołopa ze swoim światłem?!

— Nic nie widzę! — rozzłościł się Janusz, uporczywie szarpiący nogi stojaka. — Nie wiem, jak to stoi! Światło. . . !!!

Jakby w odpowiedzi na zaklęcie, rozbłysło nagle światło. Cały ogród zalał upiorny, zielony blask o nierównomiernym natężeniu. Największe przypadło na korony trzech okolicznych drzew, które najwyraźniej w świetle stanowiły źródło jasności. Wyglądało to tak, jakby zniemacka same z siebie zaczęły wydzielać poza-

ziemską poświatę, nadając krajobrazowi charakter zgoła nadprzyrodzony. Czarny mrok przeistoczył się w zielony mrok, z którego wystąpiły twarze upiorów.

Głuche milczenie zapadło na dobrych kilka chwil. Znieruchomiło wszystko, trzy zielone sylwetki przy stojaku, zielona masa w trawie po drugiej stronie siatki, zielone postacie nad dołami przy dalszych przęsłach. Zielone zmory gapiły się na siebie z zapartym tchem i zgrozą. Nie wiadomo dlaczego wszystkie robiły wrażenie niedożywionych, co w najmniejszym stopniu nie dodawało im urody. Korzystnie prezentowała się jedynie trawa, która nabrała wesołej, jaskrawej świeżości.

— No co? — odezwało się dumnie schodzące ze schodków widmo o rysach twarzy Włodka. — Żle?

— Faktycznie — przyznał słabo Janusz, nieco ochłonawszy. — Mało jaskrawe i nie rzuca się w oczy...

— W każdym razie do niczego niepodobne — powiedział niepewnie Karolek, gapiąc się na drzewa. — Na pierwszy rzut oka nikt nie powie, że to światło.

Stefan po drugiej stronie znalazł wreszcie but i mógł się podnieść do pozycji pionowej.

— Nie daj Boże, żeby teraz tu kto wszedł, bo z miejsca wykorkuje na serce — rzekł zgryźliwie. — Wyglądacie jak banda nieboszczyków. Niezła reklama dla szpitala.

— Ty się tam nie roztkliwiał jak to wygląda, tylko chodź tutaj do roboty! — skarcił go Lesio, któremu nieziemiska atmosfera zaczęła się nagle bardzo podobać. — Co teraz? Te deski pod nogi?

— Deski pod nogi i rurę. I okopywać słupki. Włodek, do łopaty!

Potępieńcze dźwięki harmonijnie uzupełniły trupi blask. Brzęcząc łańcuchami, Janusz i Karolek przynieśli pozostałe elementy dźwigni, Lesio i Stefan podetknęli pod nogi stojaka kawałki desek. Przy okazji sprawdzono harmonogram, oświetlony blaskiem zielonej żarówki.

— Wy montujecie te pagaje — przypomniał Karolek, twardo trzymający się pierwotnych ustaleń, które, jak dotąd, znakomicie zdawały egzamin — a my okopujemy. Gdzie Lesio?

Lesiowi zginęła łopata, rzucona przedtem byle gdzie. Błąkał się nerwowo po przebytej ze stojakiem trasie, usiłując odnaleźć narzędzie wśród licznych, ciemnozielonych plam rozmaitego pochodzenia. Włodek przelazł na drugą stronę i zaczął kopać dół najbliższego przęsła, z ciekawością obserwując akcję przy dźwigni. Karolek odkopywał słupek, zgrzytając łopatą po betonie i syczącym głosem wzywając nieobecnego pomocnika.

— Cicho, do pioruna, nie wal tak! — warknął na niego Janusz.

— W Paryżu cię słychać! Masz kopać bezszelestnie!

— Gdzie ta cholerna łopata, nie mogę jej znaleźć! — mamrotał Lesio, coraz bardziej zdenerwowany. — Czy ją który kopnął?

— O co ci chodzi, ty żalosna zmazo?! — zirytował się Stefan.

— Przestań się tam pętać, weź moją! Niech ci Włodek rzuci! Włodek zostawił swój dół i zaczął szukać w wysokiej trawie łopaty Stefana. Lesio wytrwale poruszał nogą i obmacywał ręką wszystkie podłużne przedmioty, na jakie padał jego wzrok. Karolek kopał jak szalony, jednym okiem patrząc na to co robi, a drugim na wszystkich dookoła.

Janusz i Stefan ustawili wreszcie trójnog we właściwej pozycji i ulokowali rurę na kółku. Sprawdzili, czy łatwo jedzie do przodu. Rozkołysane łańcuchy trafiły Karolka w potylicę. Nie, zwracając żadnej uwagi na jego protesty, wetknęli w drugi koniec rury przygotowany pręt zbrojeniowy.

— Ktoś tu musi trzymać — powiedział Stefan. — Jak to pójdzie do góry, pręt nam wleci za głęboko. Gdzie ta ofiara bez łopaty? Ty, chodź no tu!

W tym właśnie momencie Włodek przerzucił przez siatkę łopatę Stefana, Lesio zaś natknął się na swoją. Zaopatrzony w dwie, rzucił się na zew Stefana, wpadł na wózek z butlami, stłukł sobie kolano i upuścił obie. Machnął na nie ręką, pomyślawszy szybko, że przynajmniej wie, gdzie leżą, zerwał się i pokuśtykał ku końcowi rury, oddalonemu od siatki o dobre pięć metrów. Chwycił zwisający łańcuch.

Karolek, któremu emocje dodały sił, zdążył odkopać oba betonowe słupki. Janusz i Stefan zaczęli haki o ramę siatki, dookoła odkopanych słupków okręcili wiszące niżej, cieńsze łańcuchy. Karolek cofnął się z łopatą, Włodek po drugiej stronie poniechał pracy i zbliżył się zaciekawiony. Janusz i Stefan krzepko ujęli w dłonie dwuteowniki.

— Już! — zakomenderował zduszonym głosem Janusz. — Ciągnij! Straszliwie przejęty Lesio pociągnął z całej siły. Przeszło ogrodzenia nawet nie drgnęło, natomiast wystający z rury pręt zbrojeniowy z największą łatwością zgiął się pod kątem prostym. Niedokładnie widząc, co się dzieje wysoko nad jego głową, Lesio ciągnął uparcie i bez żadnego rezultatu.

— No, co tam? — zniecierpliwił się Janusz. — Ciągniesz, czy nie? Głuchy jesteś?!

Odpowiedzią było lekkie pobrzękiwanie i coś jakby ciche kwilenie. Lesio uwiesił się na łańcuchu. Bez skutku.

Następne kilka chwil należało z pewnością do najgorszych w życiu uczestniczących w nich osób. Najważniejsze urządzenie nie wypaliło, podstawowy punkt programu diabli wzięli, cała akcja rozsypywała się w gruzy. Myśl o pociętym na kawałki ogrodzeniu i wykopanych po tamtej stronie wilczych dołach zatykał dech w piersiach. Janusz, Karolek i Stefan w stanie szaleństwa miotali się wśród przekłetej dźwigni, przemocą odrywając Lesia od łańcucha, do którego, zdawałoby się, przywarł na zawsze. Wczepiony w siatkę Włodek przytupywał nogami, wydając z siebie zniecierpliwione, pytające, przenikliwie szepty i charkoty. Zgroza pęczniała w atmosferze.

Zdemontowano całość, odczepiono łańcuchy od siatki, obniżono rurę i niezbitcie stwierdzono całkowitą bezużyteczność pręta. Karolek skoczył do rupieciarni po drugi, który od razu okazał się do niczego. Włodek za siatką natrętnie proponował użycie samej rury, bez przedłużenia. Ogłupiony jego chrapliwymi naleganiami Janusz przyniósł spawarkę i przyspawał do końca rury łańcuch, odcięty od zgiętego pręta, mimo zaciekłych protestów Stefana, ozdabiającego wypowiedź licznymi słowami, omijanymi w słownikach. Rozpaczliwe próby pociągania siłami za skrócone ramię dźwigni spowodowały lekkie drganie przęsła i więcej nic.

— Powieś się na tym, powieście się wszyscy! — warczał Stefan. — Mówiłem, że sześć metrów... !!!

— Przeciwwaga gdyby była... .

— Powieście grubego faceta... !!!

Przeszukanie całego ogrodu i rupieciarni w nadziei znalezienia nie tyle grubego faceta, ile raczej jakiegoś innego pręta, lub też czegośkolwiek, co pomogłoby go zastąpić, nic nie dało. Pomysł ścięcia drzewka i posłużenia się jego pniem upadł w zaraniu. Wszyscy kolejno zdążyli wpaść na butle z acetylenem co najmniej po trzy razy. W chwili, kiedy demontaż rury z rusztowań tynkarskich wydawał się nieunikniony, do zrozpaczonej, gorączkowo szepczącej grupy dziko zdenerwowanych upiorów dobił jeszcze jeden upiór w postaci kierownika administracyjnego, który teraz dopiero oderwał się ostatecznie od swoich obowiązków.

Kierownik administracyjny zemocjonowany był do tego stopnia, że nie zauważył żadnej osobliwości w oświetleniu ogrodu. Doznał jedynie wrażenia, że wszyscy bardzo źle wyglądają, co przypisał przepracowaniu. Poinformowany o nieszczęściu znalazł wyjście w mgnieniu oka.

— Rura... ? Ależ jest! Półtora metra? Nawet więcej!

— Tylko nie hydrauliczna! — ostrzegł wściekle Stefan. — Hydrauliczne są do bani, z góry panu mówię!

— Jaka tam hydrauliczna, mamy łóżka! Nasze łóżka są składane i jest jedno stare, akurat wolne. Z takich rur, że, ho, ho! Dwa metry i dziesięć centymetrów, tylko trzeba rozmontować... .

Zapas czasu został zużyty w całości. Na nowo podcinano i przyspawano łańcuchy. Uzupełniona rurą ze szpitalnego łóżka dźwignia znów poszła w ruch. Janusz i Stefan ponownie przyczepili haki, omotali słupki, Lesio zacisnął w dłoniach stalowe ogniwa. Karolek, Włodek i kierownik administracyjny zamarli w straszliwym napięciu.

— Już! — syknął Janusz. Spotniały z emocji Lesio pociągnął.

Bez wielkiego hałasu dwa przęsła ogrodzenia wyszły z ziemi i zakiwały się chybotliwie tuż nad nią. Ulga, jaka spłynęła na cały zespół, omal nie pozbawiła go sił. Koniec łózkowej rury zszedł Lesiowi prawie do stóp. Janusz i Stefan usiłovali trzymać przęsło w równowadze, łańcuchy na betonowych słupkach zgrzytały metalicznie.

— Pchnij! — wyszczał Janusz. — Pojedź trochę! Do przodu!

Lesio opanował osłabienie, wyężył siły i pchnął posłusznie. Kółko na szczycie stojaka zaświdrowało w uszach przeraźliwym piskiem. Przeszło majestatycznie popłynęło do przodu i betonowe słupki zatrzymały się na kupkach ziemi.

Gwałtownych poleceń podniesienia ciężaru wyżej Lesio nie mógł już spełnić, łózkowa rura dotknęła ziemi. Nie można było także wepchnąć jej głębiej w macierzystą rurę, Janusz bowiem w rozpędzie oba elementy zespawał ze sobą. Słupki ciągle zapierały się na kupkach ziemi i nie pozwalały przesunąć dalej.

— Co za cholera jakaś tak tę ziemię rzucała! — charczał Stefan z wściekłą furią. — Jazda, rozkopać to! Na łeb upadli... !!!

Włodek i Karolek rzucili się na pomoc z łopatami. Włodek znajdował się po właściwej stronie ogrodzenia, Karolek przeciwnie. W pierwszej chwili wykonał ruch ku drabinie, ale natychmiast zrezygnował, za dużą odległość musiałby pokonać tam i z powrotem, nie było na to czasu. Bez namysłu jął się przeciskać przez lukę pomiędzy podniesionym przęsłem a resztą ogrodzenia, przełaząc po butach rozjuszonego Stefana.

— Sam kazałeś rzucać ku ogrodzeniu — mamrotał nerwowo.

— Posuń się, weź te nogi...

— Cholery dostanę, jak Bóg na niebie...! Ja kazałem?! To Janusz! Weź ze mnie te kopyta!!!

— Już, już...

— Czy ja mówiłem, żeby pod słupek?! — zdenerwował się Janusz.

— Trzeba było trochę w bok...!

— Uważaj, kretynie, zepsujesz dół... !!!

Półprzytomny z przejścia Lesio klęczał nad końcem rury, ze wszystkich sił wciskając ją w miękki grunt. Nie wiedział, co się dzieje przy oddalonym odeń o kilka metrów ogrodzeniu, w zielonej poświacie panujące tam zamieszanie było nie do rozszyfrowania. Mięśnie zaczynały mu drżeć z wysiłku.

— Co się tam dzieje, do cholery! — syczał dziko i żałośnie. — Jak długo mam tak trzymać?! Róbcie coś!!!

Na jego wołania nikt nie zwracał uwagi. Gorączkowa praca dała wreszcie efekty, słupki przelazły przez zwały ziemi. Janusz i Stefan wycelowali nimi w wykopane doły.

— Opuszczaj! — zakomenderował Janusz. — Tylko ostrożnie, Powoli! Delikatnie...

Lesio zareagował już na pierwsze słowo, nie czekając dalszych. Rura wyskoczyła mu z ręki, osiemset kilo przęsa runęło w wykopane doły, aż ziemia jęknęła. Pociągnięta ciężarem rura gruchnęła w ramę siatki z potwornym brzękiem wszystkich łańcuchów, podskoczyła i gruchnęła jeszcze raz.

Czterem zielonym widmom na końcu ogrodu łopaty wyleciały z rąk.

— Jezus kochany, co oni tam robią! — przeraziła się Barbara.

— Może należało ewakuować szpital. . . ? — zatroskali się obaj lekarze.
— Trzeba zobaczyć — zdecydował zaniepokojony naczelny inżynier. — Coś się musiało stać. . .

Nad przeniesionym przęsłem szalała cała reszta zespołu. Brzęcząc jak potępieńcy Janusz i Stefan pośpiesznie odplątywali łańcuchy, wezwany wściekłym sykiem Lesio usiłował utrzymać przęsło w pozycji pionowej. Włodek i Karolek zasypywali słupki, zaczepiając łopatami o nogi współpracowników.

— Odejdź mi stąd, won z tymi kopytami! — warczał Włodek. — Po ile wy macie tych nóg, po tysiąc. . . ?!

— Stamtąd bierz, ta nam będzie potrzebna do naszych! — denerwował się Karolek.

— Z drugiej strony rzucajcie, wy cepy głupie, z drugiej strony! — żądał rozpaczliwie Lesio. — To się przekrzywia, nie utrzymam!

— Na litość boską, co się tu stało? — spytał naczelny inżynier.

— Co tu się zawaliło?

— Co? Nic się nie zawaliło, nie przeszkadzaj! Zabierz te nogi!!!

— Jak to?! — krzyknęła z oburzeniem Barbara. — Dopiero jedno przęsło. . . ?!

— Cholery z wami dostanę! — wrzasnął Stefan. — Won stąd wszyscy, całą ziemię roznieśli!

— A pewnie! — wydyszał rozgoryczony Włodek. — Stonogi cholerne! Stado bawołów. . .

— Nie deptać trawników! — krzyknął rozpaczliwie Janusz.

W dwie minuty później Lesio puścił siatkę, bo podtrzymywanie stało się niepotrzebne. Słupki tkwiły w dołach równo i solidnie, przęsło stało na swoim nowym miejscu. Zziębnięty zespół otarł pot z czoła, wczepiony kurczowo w stalowe oczka kierownik administracyjny rozgiął palce i odetchnął głęboko. Naczelny inżynier ocenił sytuację.

— Za każdym razem będziecie tak walić? — spytał z troską Stefana.

— Nie da się ostrożniej?

— Do tej lebiegi mów! — prychnął Stefan, gniewnym gestem wskazując Lesia. — Pewnie, że ostrożniej! Po cholere tu w ogóle przeleciałeś, damy sobie radę. Chłopaki, stojak przynieść! A wy zjeżdżajcie, do roboty!

— A jak tam u was? — zainteresował się Janusz, pełen ulgi i nowego zapału, chwytając nogę stojaka. — Ile jeszcze macie?

— Ostatnie doły, zaraz kończymy. . .

— Niech tam który złapie za koniec rury i trochę uniesie! — zażądał Stefan. — Wlecze się po gruncie i przeszkadza. No, jazda. . . !

— Gdyby się, proszę państwa, udało jakoś tak, nie po marchewce — zatroskał się kierownik administracyjny — i nie po sałacie. . .

Po kilku chwilach wrócił porządek. Czwooro kopaczy oddaliło się na stanowiska robocze, Włodek pozostał, oddelegowany do rozgrzebywania ziemi na drodze

słupków. Dźwignia uniosła następne przęsło, ostro zgromiony Lesio, odzyskawszy siły, opuszczał je, jakby było z kryształu. Słupki zagłębiły się w ziemię powoli, rura pozostała w górze i tylko potępieńczy brzęk łańcuchów zakłócał ciszę nadnaturalnie zielonego ogrodu.

Czwórka kopaczy dotarła do końca ogrodzenia i przeniosła się na drugą, uprzednio zaniedbaną stronę.

— Zdaje się, że harmonogram przewiduje jakąś przerwę na odpoczynek — zauważyła po drodze Barbara, odgarniając sobie włosy z mokrego czoła. — Po tej robocie żaden PGR już mi nie straszny.

Obaj lekarze zwolnili kroku, zawahali się i zatrzymali, z powątpiewaniem oglądając przenoszenie trzeciego przęsła.

— Obawiam się, że włoszczyznę nam szlag trafi — rzekł melancholijnie doktor Romanowski. — To chyba pietruszka, nie?

— Albo selery — odparł smutnie doktor Marczak. — Dalej są buraczki.

Barbara i naczelny inżynier zatrzymali się również, nieco zaintrygowani.

Państwo tu macie całe gospodarstwo...?

— Prawie.

— Po co?

— Ano, staramy się jak możemy, żeby wystarczyło na potrzeby szpitala. Trochę bierzemy od ogrodnika, tu niedaleko, nawet przyzwoity facet, ale czy to można teraz komukolwiek wierzyć?

Barbara i naczelny inżynier nie zdążyli poprosić o wyjaśnienie tych dziwnych słów, bo obok nich pojawił się Włodek.

— Czego tu sterczycie? — spytał gniewnie. — Macie wykończyć tamte doły! Ja jestem zajęty tutaj!

— Ty, Włodek, odkopuj! — wezwał go Karolek.

— Spokojnie, mamy czas — powiedział równocześnie naczelny inżynier. — Tu nam zostało najwyżej pięć przęsła. To oni są spóźnieni.

— Odwalmy do końca, a potem zrobimy relaks... .

— Co pan miał na myśli, mówiąc o tym ogrodniku? — spytała Barbara doktora Romanowskiego, kopiącego ostatni dół. — Dlaczego mu nie można wierzyć? Pod jakim względem?

Doktor Romanowski westchnął i oparł się na łopacie.

— Oszukuje, jak wszyscy. Tłumaczymy, wyjaśniamy, on nam obiecuje, że niczego do roślin nie doda, ale diabli go wiedzą. Nikt mu przecież nie siedzi na głowie bez przerwy.

— A czego, przepraszam, miałby dodawać do roślin...? — spytał zdumiony naczelny inżynier.

— Środków trujących — odparł ponuro doktor Romanowski i wrócił do kopania.

Doktor Marczak, skończywszy swój dół, zapalał papierosa. Wrzucił zapałkę do wykopanej dziury i wtrącił się do rozmowy.

— Proszę pana, tu jest szpital onkologiczny — rzekł cierpliwie. — My tych ludzi nie tylko leczymy, ale także przeprowadzamy najrozmaitsze badania. Nie mówiąc już o tym, że nie możemy ich równocześnie leczyć i truć.

— Roślinami. . . ?

— Jasne, że roślinami. Są dziesiątki środków ochrony roślin, tępienia szkodników, niszczenia chwastów, istnieje nieprzeliczona ilość nawozów sztucznych. Czy państwo mogą sobie wyobrazić, jakie to ma skutki? Pestycydy są kancerogenne, że nie wspomnę o innych możliwościach. Nie możemy karmić ludzi warzywami, w których znajduje się arsen i rtęć, musimy mieć pewność, że dajemy im rośliny czyste. Mamy tę pewność w naszym własnym ogrodzie i nigdzie więcej. Producenci z reguły nie stosują się do żadnych wskazówek, nie zachowują żadnych ostrożności, a nawet jeśli niektórzy zachowują, my nie chcemy ryzykować. Stąd ten ogród.

— Mieliśmy ciężkie zmartwienia, że po wybudowaniu tego nowego skrzydła szpitala zmniejszy się nam teren uprawowy — dodał doktor Romanowski, mierzący głębokość ostatniego dołu. — Ale już nam przydzielili kawałek gruntu z tamtej strony. . .

Barbara zamilkła całkowicie już po swoim pierwszym pytaniu. Pamięć usłużnie podsunęła jej wszystko, co tak niedawno, zaledwie przed kilkoma tygodniami, szarpało niepokojem dusze zespołu, a co wydawało się zbyt okropne, żeby mogło być prawdziwe. Oto okazywało się, że było prawdziwe. . .

Naczelny inżynier mężniej zniósł temat, nie brał bowiem uprzednio udziału w rozważaniach. Wiedział coś niecoś, ale nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów nieszczęścia.

— Naprawdę chce pan powiedzieć, że marchewka, sałata, buraczki, pomidory. . . Że wszystko jest zatrute? — spytał niedowierzająco.

— Przeważnie zatrute. Pięknie rośnie. . .

— Jedyne pewne źródło witamin to własna działka! — stwierdził stanowczo doktor Marczak.

Naczelny inżynier przez chwilę oswajał się z informacją.

— Natychmiast po powrocie do domu wyrzucam z ogródka wszystkie róże! — oświadczył z zaciętością. — I sieję rzodkiewkę. I sałatę.

— I marchew — podsunęła Barbara lekko zdławionym głosem.

— Niech pan sobie jeszcze wyhoduje prosiaczka — poradził doktor Romanowski, wbijając łopatę we wzgórek ziemi. — No, tośmy te wykopki odwalili. . . I parę kurek, a przydałaby się i krówka. . .

— Ja mam dwadzieścia jeden metrów kwadratowych — przerwał głucho naczelny inżynier.

— Dwadzieścia jeden? Trochę mało... Człowiek musi się jakoś ratować we własnym zakresie, bo zatrute jest wszystko, nie tylko rośliny. Całe następne pokolenie będzie niewydarzone...

— A produkty nie zatrute są bezwartościowe — wtrącił doktor Marczak nie-
miłosiernie. — Najgorzej się przedstawia mięso i drób. Jeszcze tylko ryby nam
zostały, szczególnie morskie. I dziczyzna, z tym, że dziczyzna z jakiejś zaniedba-
nej puszczy...

Po drugiej stronie, za stojącą jeszcze siatką, pojawił się nagle Karolek.

— Hej, chodźcie tutaj! — zawołał półgłosem. — Dostaniemy kawy! Przerwa
obiadowa, według harmonogramu jesteśmy spóźnieni tylko pół godziny, ale coraz
lepiej idzie! Macie zasypywać doły. Chodźcie, chodźcie!

Pięć minut po godzinie drugiej w nocy, zaprzyjaźniony z naczelnym inżynie-
rem dzielnicowy przeżył chwilę straszliwą. Idąc wolnym krokiem po granicznej
ulicy swojego rejonu, z przerażeniem ujrzał, jak zza narożnika wyjeżdża srebrzy-
sty mercedes i z cichym szumem opon kieruje się w stronę szpitala. Srebrzysty
mercedes był mu doskonale znany jako pojazd użytkownika ograbianej z terenu
willi i nie dalej niż poprzedniego dnia widział jego odjazd w licznej kawalka-
dzie podobnych wehikułów. Odjechawszy w towarzystwie wczoraj, nie miał pra-
wa wrócić przed dniem jutrzejszym...

Dzielnicowy zdrętwiał na bardzo krótką chwilę. Myśl o konieczności ostrze-
żenia pracującej w ogrodzie ekipy zabłysła mu natychmiast, problem jednakże
polegał na tym, iż nie mógł tej myśli zamienić w czyn. Cały czas, od wieczora,
osobiście obchodził teren, pilnie bacząc, żeby ani razu nie spojrzeć w stronę chro-
nionego obiektu i starannie trzymając się granic rejonu. O akcji „ogrodzenie” nie
miał prawa nic wiedzieć i ani jednym rzutem oka nie chciał jej oglądać. Za wszel-
ką cenę pragnął zachować sobie możliwość składania prawdziwych przysięg, że
nie widział absolutnie nic. Nic kompletnie nie widział ani nie słyszał. W żadnym
wypadku nie mógł sobie pozwolić na wplątanie się w to dziwaczne coś, co nie
wiadomo było nawet jak nazwać. Z całą pewnością oznaczałoby to koniec jego
pracy w milicji, a dzielnicowy świadomie, z premedytacją i całą duszą chciał pra-
cować w milicji.

Nie miał najbledszego pojęcia, co się dzieje w szpitalnym ogrodzie i jak dale-
ko zaawansowane są prace budowlane, nie wątpił jednakże, iż żaden człowiek ob-
darzony zmysłem wzroku nie może ich przeoczyć. Niespodziewany powrót użyt-
kownika korygowanej posesji stanowił istne nieszczęście. Bezwzględnie należało
coś zrobić, ostrzec ich, wstrzymać roboty... Zatrzymać tego kretyna, który znie-
nacka i bezprawnie wrócił, nie wiadomo po co i dlaczego...

Na zatrzymanie kretyna było już za późno, srebrzysty mercedes zniknął w głę-
bi ulicy. Musiał jeszcze zrobić ogromne koło, do którego zmuszały go nie tylko
kierunki ruchu, ale także głęboki wykop obok studzienki kanalizacyjnej. Dzielni-

cowy do szpitala miał znacznie bliżej, mógłby się tam znaleźć w ciągu trzydziestu sekund, ale stanowisko służbowe wzbraniało mu osobistej interwencji. Mógłby go ktoś, nie daj Boże, zobaczyć. . .

Ale nikt inny ich nie ostrzeże, bo nikogo innego nie ma. . . Cholerny mercedes pracuje tak cicho, że go w ogóle nie słyhać, gdybyż to chociaż był traktor. . . ! A zostawić ich i narazić na okropne konsekwencje ujawnienia afery. . . A w ogóle jak on pilnuje, zaczęli przecież tę robotę na bazie zaufania do niego. . .

Wszystko to przelatywało dzielnicowemu przez głowę w straszliwym tempie, podczas gdy odrażający pojazd oddalał się powoli z cichym szumem opon i silnika. Wyrывая z mapnika notatnik, a z notatnika kartkę papieru dzielnicowy zdążył nawet zdziwić się, że mercedes tak wolno jedzie, zazwyczaj brał zakręty poślizgiem, opony piszczały. . . Zdziwienie trwało w nim jeszcze, kiedy potężnymi susami sadził przez cały ogród w kierunku szpitala, chwyciwszy do ręki ułamany narożnik płyty chodnikowej. W biegu okręcił płytę kartką, na której napisał tylko jedno słowo, w biegu docisnął papier okrągłą gumką, zerwaną z bloczka z mandatami. Dopadł skraju szpitalnego ogrodu, nie zwrócił żadnej uwagi na niezwykłą, świeżą zieleń, jaką kwitła szpitalna roślinność, dojrzał w głębi poruszającą się niemrawo ciemnozieloną grupę i cisnął w grupę płytą chodnikową, włożywszy w zamach wszystkie, wzmożone zdenerwowaniem siły. Nie czekając na efekt swego czynu i nie obdarzając trefnego terenu ani jednym więcej spojrzeniem, zawrócił i z tym samym pośpiechem przebył drogę powrotną, wypadając na ulicę po niecałej minucie nieobecności.

Nie zdążył zrobić dwóch kroków, ani też uspokoić zdyszanego oddechu, kiedy zza narożnika ulicy wyjechała wolno furgonetka bagażowa. Dzielnicowy był wzburzony, w głowie czuł zamęt, w sercu niepokój i uczucia te nieco go otumaniały. Ponadto gnębiła go niejasna i nie zaspokojona potrzeba zatrzymania samochodu. Zanim zdążył pomyśleć, że to nie ten samochód, już znalazł się przed furgonetką.

Furgonetka zatrzymała się i kierowca opuścił szybę. Dzielnicowy oprzytomniał błyskawicznie i nowy tajfun myśli zawirował mu w głowie. Po jaką cholere zatrzymuje ten wóz. . . ?! Wziął nocny dyżur i patroluje ulice, wolno mu, nikt do tej pory nie zwrócił na niego uwagi, to nie, teraz musi pchać się ludziom na oczy. . . Nie powie mu przecież, że go zatrzymał z rozpędu i przez pomyłkę, coś trzeba wykrecić. . .

— Pan skąd jedzie? — spytał zafrasowanym głosem, opierając się o drzwiczki samochodu. — Zza miasta?

Kierowca jakby się zawahał.

— Zza miasta — potwierdził z lekką niechęcią.

— A którą szosą pan wjechał?

— Od tego. . . No, od Kraśnika. . .

— Od Kraśnika? A nie widział pan, tak ze dwadzieścia kilometrów stąd, ciężarówka? Ciężarówka z przyczepą, tak trochę w rowie, ale nie rozbita. Nie widział pan?

Kierowca znów się zawahał.

— Chyba coś było... Dwadzieścia kilometrów, mówi pan?

— No, tak jakby. Widział pan?

— Może być, że faktycznie... Chociaż parę ciężarówek widziałem, to nie wiem, o którą się rozchodzi.

— Koło mostka. Nie stała jedna koło mostka?

— No, owszem, stała... .

Dzielnicowy oprzytomniał już całkowicie i nagle zaczęło mu to coś nie grać. Szóstym zmysłem wyczuł, że coś jest nie w porządku. Uporczywie dopytując się o wymagowaną ciężarówkę, obrastająca w coraz to nowe szczegóły, usiłował możliwie szybko odgadnąć, co też może mieć na sumieniu kierowca, rozmawiający z nim bardzo grzecznie i z jakimś ogromnym napięciem. Wiezie trefny towar? Zełgał, że przyjechał od Kraśnika? No to co, nie ma zakazu przyjeżdżania od innych stron... Przejechał kogoś i uciekł... ?

Głędząc byle co o ciężarówce, przyczepie, mostku i rowie, świadom przy tym, że za skarby nie może sobie przypomnieć, czy przy tym mostku rów jest głęboki czy płytki, dzielnicowy zastanawiał się, co z tym fantem zrobić. Zanim zdążył podjąć decyzję obejrzenia zawartości furgonetki, w głębi ulicy pojawił się srebrzysty kształt i już po chwili znajomy mercedes przyhamował obok.

Siedzący przy kierownicy młodzieniec wystawił głowę przez otwarte okno.

— A co tam? — spytał niecierpliwie. — Dobry wieczór. O co chodzi? Dlaczego pan zatrzymuje mój bagaż?

Dzielnicowy znów poczuł w sobie wybuch skomplikowanych doznań. Na pierwszy plan wybijała się ulga, przeklęty mercedes jest tu, a nie tam, nie widzi zatem co się dzieje w jego posiadłości. Krótka uciecha, nie można zatrzymać go tu na zawsze, a nawet gdyby, na nic się to nie zda, grupa robocza w szpitalnym ogrodzie nie jest bowiem zorientowana w sytuacji i nie zdoła jej wykorzystać. Z drugiej strony zaczął tu węszyć coś podejrzanego i też nic z tym nie zrobi, bo wtrącił się ten... Dzielnicowy z prawdziwą przyjemnością zrobiłby coś złego młodzieńcowi z mercedesem, z góry jednakże wiedział, iż wszelkie próby w tym kierunku byłyby walką z wiatrakami. Jeżeli w ogóle chce zachować swoje stanowisko służbowe, musi go puścić czym prędzej, grzecznie przepraszając. Dodatkowe zło stanowi fakt, że parszywiec stwierdził jego obecność na ulicach miasta, w razie czego... .

Dzielnicowy już nie precyzował sobie, co w razie czego, bo było tego zbyt dużo. Porzucił furgonetkę i zwrócił się ku mercedesowi.

— Pytam kierowcę, co widział po drodze, bo podobno coś tam było na szosie — wyjaśnił sztywno. — Pan nie widział? Od Kraśnika... .

— Od jakiego znowu Kraśnika? — zirytował się młodzieniec. — Od Krasnegostawu jedziemy i nic na żadnej szosie nie było. Nie zawracaj pan głowy, co to za nowe maniery, ludzi po ulicach łapać! Jedziemy, dobranoc. Panie Waldek, ruszaj pan!

Kierowca furgonetki siedział jak nieżywy z zamkniętymi oczami i wstrzymanym oddechem. Na ostatnie słowa jakby się ocknął, otworzył oczy, wrzucił pierwszy bieg i powolutku zaczął jechać, nie patrząc na dzielnicowego i podkreślając szybkość. Mercedes zawrócił i wysunął się przed furgonetkę. Dzielnicowy teraz był już zupełnie pewny, że natknął się na jakąś śmierdzącą sprawę, diabli wiedzą, co ta furgonetka wiezie, ale chyba co najmniej trupa. Pełen mieszanych uczuć, z przekonaniem o całkowitej własnej bezsilności, pozostał na jezdni, patrząc za oddalającymi się pojazdami.

Potem nagle wpadło mu do głowy, że może przecież podejrzeć, co °ni będą tam dalej robili. Zakopią tego trupa, czy jak... Cokolwiek zobaczy, nie musi się do tego zaraz przyznawać, ale przynajmniej będzie wiedział... .

W chwilę później znajdował się już przy ogrodzeniu podejrzanej Posiadłości, na tyłach sąsiadujących z nią budynków. Nic nie widział, Willę osłaniały drzewa i krzewy, ponadto panowały ciemności. Brama wjazdowa, do której dążyły oba samochody, znajdowała się jeszcze dalej, za willą, w następnym boku ogrodzenia. Dzielnicowy przestał myśleć. Nie bacząc na skutki, z zaciętością lęgnącą się w duszy, przełaził przez siatkę i znalazł się na terenie posesji.

W zziąanej, zasapanej, ciężko zapracowanej ekipie przy szpitalnym ogrodzeniu narożnik płyty chodnikowej, który nadleciał nagle z mrocznej czerni i trafił w nogę naczelnego inżyniera, wywołał gwałtowną konsternację. Naczelnny inżynier, człowiek na ogół opanowany i kulturalny, zduszonym głosem wykrzyknął jedno słowo, powszechnie uważane za obelżywe, szczególnie w odniesieniu do jednostek płci żeńskiej. Równocześnie chwycił się za poszkodowane palce jednej stopy, podskakując na drugiej, czym zwrócił na zjawisko powszechną uwagę.

— Kamienują nas...? — przestraszył się Karolek.

— Co się dzieje? — spytała gniewnie Barbara, podrywając się znad zasypywanego dołu. — Czy to ktoś czymś rzuca?

— Coś upadło — zauważył Janusz i spojrzał na miejsce, z którego naczelnny inżynier oddalił się w podskokach. — Hej, patrzcie!

Owinięta wokół płyty chodnikowej kartka była na szczęście widoczna na pierwszy rzut oka. Ostrożnie zdjęto gumkę i również jednym rzutem oka odczytano informację.

Nieforemnymi kulfonami, które jednak miały kształt zbliżony do kształtu liter, wypisane było na kartce jedno słowo: JEDZIE!!! Trzy wykrzykniki wzmagaly dramatyczny charakter wieści.

Po krótkiej chwili napiętego milczenia zieloną poświatę wypełniły gorączkowe szept, a zielone upiory jeły miotać się nerwowo we wszystkich kierunkach.

Informację zrozumiano bezbłędnie. Wbrew wszelkim przewidywaniom, wbrew ustalonym obyczajom, jak grom z jasnego nieba, jak wyrzut sumienia, jak nie zapłacony weksel, wracał truteń!

— Żeby zdechł! — szeptał zrozpaczony Karolek. — Jezus Maria, co my teraz zrobimy...?

— Niech kto skoczy na koniec, tam są łapiduchy i Włodek! — rozkazał zduszonym głosem Janusz. — Niech przerwą robotę, niech się nie ruszają!

— Kto to rzucił? — dopytywał się Stefan. — Słuchajcie no, od kogo ta wiadomość?

— Co cię obchodzi, zamknij się! — uciszył go naczelny inżynier, który w obliczu niebezpieczeństwa odepchnął swoją nogę na dalszy plan. — Spokojnie! Cofnąć dźwignię! Tu, za krzaki...

— I co, tak zostanie?! — przeraził się Karolek. — Takie rozbebeszone? Przecież się rzuca w oczy...!

— Tylko spokojnie, bez paniki! Nic nie zostanie, bierz nogę! Zastanowimy się...

— A tak już niewiele brakuje...!

Brakowało istotnie niewiele. Cała środkowa część ogrodzenia stała na nowym miejscu, elegancko pospawana, doły po wykopanych słupkach zasypywane były na bieżąco i do przeniesienia pozostały tylko przesła narożne. Przewidywano, iż zajmie to nie więcej niż godzinę. Niespodziewana komplikacja bliski już sukces mogła zamienić w nieodwracalną klęskę.

Dźwignię ukryto w cieniu krzewów. Barbara popędziła do grupy pracującej na drugim końcu. W szpitalnym ogrodzie zapanowały cisza i bezruch, oświetlone zaświatowym blaskiem. Willa w głębi sąsiedniej posesji wciąż trwała ciemna i milcząca. Nie działa się kompletnie nic, z daleka dobiegał tylko pomruk silnika samochodu.

Karolek pierwszy oprzytomniał.

— No! — szepnął niecierpliwie. — Gdzie on jest? Zdechł po drodze, czy co?

— Może to była pomyłka? — szepnął z nadzieją Lesio.

— Cicho bądźcie! — skarcił ich naczelny inżynier, jedyny, który bez żadnych wątpliwości odgadł osobę informatora. — Nie możecie chwilę spokojnie posiedzieć? Zaraz się wyklaruje...

— Chała ci się wyklaruje! — sarknął Stefan. — Wjazd do tego skubańca jest od tamtej strony, cholera wie, co się tam dzieje. Możemy tu siedzieć do sądnego dnia i nie powiem, co zobaczymy.

— On ma rację — przyświadczył z energią Janusz. — Trzeba by sprawdzić, bo może ten jełop wjechał i poszedł spać?

— Coś ty? Przecież by zapalił światło!

— Może na bani przyjechał i od razu się uwalił byle gdzie... Do takiego wszystko podobne...

Po krótkiej, niecierpliwie szeptanej naradzie sprawdzenie uznano za nieodrowne. Należy zakraść się na drugą stronę budynku i obejrzeć wjazd, z którego, być może, uda się wyciągnąć jakieś wnioski. Wytypowano trzech najbardziej wysportowanych. W chwili, kiedy Janusz, Karolek i naczelny inżynier przekroczyli przerwę w ogrodzeniu, od strony willi dobiegł głośniejszy warkot samochodu.

— Padnij! — zakomenderował szeptem naczelny inżynier bez żadnego zastanowienia i wszyscy trzej wykonali rozkaz niczym na musztrze. Ani razu w czasie pełnienia służby wojskowej nie udało im się zrobić tego równie sprawnie.

— Wy z tamtej strony, a ja z tej! — padło następne polecenie. — Podczołgać się!

Pełznące pracowicie po trawniku sylwetki szybko znikły z oczu grupy pod stojakiem, wtapiając się w zielony mrok. Dalej była już czerń. Jedno okno willi rozbłysło nagle światłem, rzucając blask na trawnik. Wszyscy wzdrygnęli się nerwowo.

Pod stojakiem zgromadzony był już pełny komplet roboczy. Włodek i obaj lekarze przybyli z Barbarą, kierownik administracyjny, zajęty uprzednio własnoręcznym parzeniem kawy, nadbiegł przed chwilą, trafiając na moment oddalenia się wywiadowców. Szeptem został poinformowany o nieszczęściu i natychmiast zdenerwował się okropnie.

— Może on pójdzie spać — mamrotał z rozpaczliwą nadzieją.

— Przyjechał, trudno, ale może zaśnie. Nad ranem sen jest najmocniejszy, zdążymy, zanim się obudzi... Nie znam jego zwyczajów, nie wiem nocnych dyżurów, może panowie się orientują, co on robi po nocach...

— Owszem, orientujemy się — odparł ponuro doktor Marczak.

— Na ogół upaja się rykiem, który niesłusznie nosi nazwę muzyki. Jako też tarza się w rozpuście.

— Na trawniku? — zainteresował się gwałtownie Lesio.

— Różnie. Także pod dachem. Szczególnie przy gorszej pogodzie.

— Skąd pan wie, że się tarza w rozpuście? — spytał nieufnie kierownik administracyjny.

— Dedukuję. Nasuwają mi to przypuszczenie liczne osoby płci żeńskiej prezentujące swobodę niczym nie skępowaną. Wizualnie i akustycznie dają wiele do myślenia.

— On w ogóle nie zasłania okien — dodał doktor Romanowski. — To, w którym się teraz świeci, to jest okno od kuchni. Od naszej strony są okna apartamentów. Zazwyczaj zaczyna wcześniej, już tak przed wieczorem, a nie o drugiej w nocy. Poza tym przyjeżdża z większym hałasem, teraz jest wyjątkowo cicho. Sytuacja nietypowa.

— To może tym razem i tarzał się nie będzie — szepnął Włodek, nieco jakby rozczarowany.

Okno kuchni interesującego młodzieńca nagle zgasło. Zapaliło się jakieś inne, niewidoczne, rzucające słaby blask na dalsze krzewy. Zdenerwowanie zespołu wzrosło.

— Zaparzyłem kawę — szepnął nagle z determinacją kierownik administracyjny. — Może by tego. . .

— Dawaj pan — zdecydował bez namysłu Stefan. — I tak nie możemy nic robić, niech chociaż jaka korzyść z tego będzie.

— Pójdę z panem i razem przyniesiemy — powiedział doktor Romanowski.

Czołgający się wzdłuż ogrodzenia posesji naczelny inżynier był w znacznie lepszej sytuacji niż Janusz i Karolek. Po pierwsze, znajdował się bliżej wjazdu do willi, mógł się czołgać wprost, podczas gdy Janusz z Karolkiem musieli wykonać wielki łuk, po drugie zaś krył go cień licznych krzewów, których brakowało na obszernym trawniku. Dążył przed siebie dość szybko i nawet bez wielkiego hałasu i wkrótce znalazł się na linii frontu willi. W jednym z okien na parterze zapaliło się światło, naczelny inżynier wydedukował sobie, że musi to być okno holu, znajdowało się bowiem najbliżej drzwi wejściowych. Reszta budynku pozostawała ciemna i cicha, ciemności kryły także garaż, którego wrota jakaś ręka otworzyła od środka. Przez otwartą bramę w ogrodzeniu zaczęła tyłem wjeżdżać furgonetka bagażowa, celująca w zjazd do garażu. Światło w holu zgasło.

Naczelny inżynier nie mógł zrozumieć, co właściwie widzi. Sens poczynąń trutnia nie obchodził go w najmniejszym stopniu, koniecznie jednak chciał odgadnąć jego zamiary. Istot ludzkich przed willą nie było widać, ale ktoś musiał znajdować się w środku. Ponadto jakaś druga osoba prowadziła zjeżdżającą tyłem furgonetkę. Żadnych wniosków z tego nie dawało się wyciągnąć, naczelny inżynier zdecydował się zatem podczołgać bliżej i zobaczyć coś więcej. Upatrzył sobie wielki, rozgałęziony krzak jaśminu, rosnący pomiędzy nim a budynkiem, ocenił głęboką czerń pod krzakiem i ruszył na nowe stanowisko. Wężowym ruchem przemknął po trawie, wcisnął się pod gałęzie, wyciągnął rękę i trafił na coś, co z wszelką pewnością nie było ziemią, ani patykiem, ani kamieniem, ani w ogóle żadnym elementem bezdusznej przyrody. To coś lekko drgnęło i naczelny inżynier zamarł, skamieniały i nagle zlodowaciały, z dłonią wspartą na ludzkim ramieniu, przyodzianym w gładką, wełnianą tkaninę.

Tkwiący pod krzakiem jaśminu i obserwujący teren przed willą dzielnicowy kątem oka dostrzegł jakiś ruch w krzewach przy siatce. Zaniepokojony, podzielił uwagę, usiłując patrzeć równocześnie w dwie przeciwne strony. Powarkująca silnikiem furgonetka manewrowała w wąskim zjeździe do garażu, z drugiej zaś strony jakiś kształt oderwał się od zarośli i popęłznął szybko wprost pod kwietną zielenią, akurat tam, gdzie dzielnicowy usiłował ukryć swoją obecność. Z cichą

i rozpaczliwą nadzieją, że kształt go może ominie, dzielnicowy trwał w bezruchu aż do chwili, kiedy za ramię chwyciła go ludzka dłoń.

Na długą chwilę ludzkie ramię i ludzka dłoń zamarły, ściśle ze sobą zespolone. Dzielnicowemu mignęła w głowie desperacka myśl, budząca okropną rozterkę. Rzucić się na takiego i chwycić go za gardło, zanim zdąży krzyknąć, czy też przeciwnie, nic nie zrobić i może ten jakiś weźmie go na przykład za zwierzę, pogrążone we śnie...

Naczelnny inżynier nie był w stanie sprecyzować żadnej myśli. Odkrycie czyjejś obecności w ogrodzie, który powinien być bezgranicznie pusty, ogłuszyło go doszczętnie. Jego jestestwo wypełniły wyłącznie oderwane strzępy strasznych wrażeń i dzikie, nieopanowane pragnienie cofnięcia tego, co się stało...

Przemógł bezwład i zdjął rękę z tajemniczego ramienia.

— Bardzo przepraszam — szepnął pośpiesznie. — Nie wiedziałem, że tu zajęte...

Równocześnie spadła mu zaćma z umysłu i uświadomił sobie, co mówi. Zrobiło mu się gorąco, ale natychmiast uznał, że to nawet i lepiej, niech go ten facet weźmie za obłąkanego...

Dzielnicowy, mimo szaleńczego zdenerwowania, rozpoznał głos naczelnego inżyniera, z którym odbył szeptem niejedną rozmowę i którego obecność na tym terenie nie stanowiła dla niego zaskoczenia. Doznał ulgi niebotycznej. Szybko wyciągnął rękę, chcąc pochwycić cofającą się dłoń współnika, i w ciemnościach pochwycił jego ucho.

— Stój pan! — krzyknął szeptem. — To ja! Pan sam...? Naczelnny inżynier powstrzymał gwałtowny ruch głową, narażający go na urwanie ucha. Głosu dzielnicowego nie rozpoznał, ale domyślił się, że to on, i straszliwy ciężar spadł mu z serca. Jednym ruchem podpełznął bliżej, poczuł, iż żelazny uchwyt na uchu zelał, wsunął się pod gałęzie i padł plackiem przy boku sprzymierzeńca.

— Chwała Bogu, że to pan! — westchnął żarliwie. — Sam jestem, dwóch patrzy z tamtej strony. Co się tu dzieje?

— A cholera wie. Przyjechał i przywłókł ze sobą bagażówkę. Coś mi tu śmierdzi.

— To co teraz będzie?

— Pojęcia nie mam. Żeby tak chociaż zobaczyć, co przywieźli, bo głowę daję, że jakiś trefny chłam...

Naczelnny inżynier milczał przez chwilę, porządkując uczucia. Furgonetka wjechała do garażu, w którym ciągle było ciemno, chwilami błyskała w nim tylko latarka elektryczna. Dzielnicowy poruszył się niespokojnie.

— Podkradnę się, albo co...

— Oknem zajrzeć — podsunał naczelnny inżynier, również żywo zainteresowany rozwojem wydarzeń. — To okno tutaj, to chyba od garażu...

Dzielnicowy kiwnął głową, czego w ciemnościach nie było widać i jął wypełzać spod krzaka w kierunku piwnicznego okna, umieszczonego pół metra nad gruntem. Naczelnny inżynier po krótkim namyśle poczołgał się za nim. Nogi miał jeszcze w gałęziach, kiedy furgonetka nagle ryknęła silnikiem i zapaliła reflektory. Dzielnicowy rzucił się w tył, naczelnny inżynier w ostatniej chwili zdążył ocalić twarz przed jego butem. Obaj wcisnęli się z powrotem pod krzak jaśminu.

— Cholera ciężka! — zamamrotał z gniewem dzielnicowy. Furgonetka wyjechała z garażu.

— Nie może go pan zatrzymać? — szepnął nerwowo naczelnny inżynier. — Jak stąd odjedzie kawałek... Zatrzymać i sprawdzić!

— Przecież już rozładowali! A w ogóle coś pan, dziecko?! Dużo mu zrobię...

Furgonetka wyjechała za bramę i zatrzymała się przy krawężniku. Kierowca zgasił silnik i reflektory, wysiadł i wrócił do garażu. Wrota zamknięto, piwniczne okienko rozbłysło wąziutką smugą światła. Dzielnicowy sapnął niespokojnie dwa razy i nagle podjął decyzję.

— Ryzyk-fizyk — zgrzytnął. — Chodź pan! Zajrzę do tej bagażówki, a pan stanie na świecy. Może zdązę, póki tam siedzą...

Rezygnując z czołgania, ale zgięci w pół, na palcach i prawie bezszelestnie przebyli przestrzeń do pozostawionej otworem bramy wjazdowej i już wyprostowani wybiegli na ulicę. Po drodze zdążyli uzgodnić, że dzielnicowy wejdzie do furgonetki, a naczelnny inżynier ukryje się za samochodem. Jeżeli wrota garażu zaczną się uchylać, zapuka w karoserię i dzielnicowy zdąży wyskoczyć. Tyłu furgonetki z garażu nie widać, bo zasłania go choinka przy ogrodzeniu...

Naczelnny inżynier trochę z tego wszystkiego zbaraniał. W najgłębszym przeświadczeniu, iż potrzeby dzielnicowego pokrywają się ściśle z potrzebami zespołu, zamarł przy siatce obok samochodu, pełen najlepszych chęci i gotów na wszystko. Niebo na wschodzie zaczynało już blednąć, ziemię jednakże pokrywała jeszcze czerń nocy. Wrota garażu były doskonale szczelne i nie przepuszczały najmniejszego promyka światła. Naczelnemu inżynierowi przyszło do głowy, że jeśli najpierw zgaszą światło, a dopiero potem zaczną je uchylać, on tego w żaden sposób nie zobaczy i nic na to nie może poradzić. Czując rozpaczliwą bezradność, z bijącym sercem stał i wbijał dziki wzrok w czarną plamę.

Dzielnicowy otworzył furgonetkę z łatwością, wlaź do środka i przymknąwszy za sobą drzwi, jął penetrować wewnątrz strumieniem światła latarki elektrycznej. Wnętrze było prawie puste. W kącie przy szoferce leżały złożone w kostkę jakieś stare worki i kłęb sznurka, obok stał stary fotel samochodowy. Całość wyglądała porządnie i nawet czysto, dzięki czemu dzielnicowy z łatwością dostrzegł na podłodze niewielką plamkę doskonale znanego mu koloru. Opanował emocję, padł przy plamce na kolana i zaciskając zęby, gorączkowo jął szukać po kieszeniach niezbędnych przyrządów. Znalazł scyzoryk, wyrwał z notesu czystą kartkę

papieru, zeszkrobał substancję z plamki i uzyskaną odrobinę proszku pieczołowicie zapakował w kartkę. Wiedział już, że przeczucie go nie myliło. . .

Naczelny inżynier patrzył z takim natężeniem, że przestał słyszeć. Cichy trzask drzwiczek za plecami umknął jego uwadze. Wzdrygnął się nerwowo, kiedy dzielnicowy delikatnie popukał go w ramię. Z pewnym trudem odgiął palce, kurczowo zaciśnięte na oczkach siatki.

— Już? — szepnął trochę ochryple. — No i co. . . ? Dzielnicowy był tak przejęty, że nie zachował tajemnicy służbowej.

— Jest krew! — szepnął z zaciętością. — Kogoś zabili. Teraz im już nie puszczę, chodź pan!

— Chce pan ich zatrzymać? — zaniepokoił się naczelny inżynier. — Na litość boską, robi się zamieszanie! Czy nie można jutro?

— Ale coś pan, jakie zatrzymać! Zobaczyć trzeba, co z tym zrobią, w kanale zabetonują, czy co. . .

— Nic nie widać. Zasłonięte.

— Może chociaż podsłuchać się uda?

Dopadli piwnicznego okna i obaj zgodnie przycisnęli do niego głowy. Wąziutka szpara w zasłonie nie pozwalała nic zobaczyć, ale ucho chwyciło jakieś przytłumione dźwięki. Zastygli niczym posągi z przymkniętymi oczami i zapartym tchem. . .

Janusz i Karolek, okrążywszy budynek od drugiej strony, zdążyli ujrzeć wyjeżdżającą furgonetkę, a potem zamajaczyły im w mroku jakieś dwie postacie, pętające się wokół. Doczekali chwili, kiedy postacie wróciły do budynku i wniknęły w czerń. Potem mijały wieki, nic się nie działo i Karolek stracił cierpliwość.

— Ty, no i co? — szepnął, trącając Janusza. — Co teraz?

— Szlag mu draniowi w monogram — odszepnął z irytacją Janusz. — Tyle wiemy, że faktycznie przyjechał i to w paru osobach. Diabli wiedzą, co teraz.

— Pójdzie wreszcie spać, czy nie?

— A co ja jestem kabalarka? W ogóle się nie mogę połapać, co to ścierwo robi. . .

— Wcale nie wszedł do domu. Wszędzie ciemno. Chyba wlaź do garażu. Samochód zostawił na ulicy. Może zaraz odjedzie?

Janusz jeszcze przez chwilę oceniał sytuację. Podniósł głowę i popatrzył na widoczną w pewnym oddaleniu zieloną poświatę. Lśniły w niej korony drzew, ale pod nimi nic nie można było rozróżnić.

— Co tam! — rzekł stanowczo i podniósł się z trawy. — Niech go cholera bierze! Odwalamy robotę, stąd nic nie widać.

— Będzie widać spawanie — ostrzegł Karolek i z ulgą podniósł się również.

— To który stanie i zasłoni od tej strony jaką szmatą. Będzie widać błyski, ale niewyraźnie. Nie zgadnie, co to jest.

— Bardzo dobrze — pochwalił Karolek. — Wracamy!

Porzucając niepotrzebne czołganie, ruszyli przez trawnik z powrotem, teraz już krótszą drogą, przy samym budynku. Akurat znajdowali się pod kuchennym oknem, kiedy nagle zabłysło w nim światło i jasny prostokąt padł na trawę obok ich stóp. Mimo woli zamarli, przytuleni do cokołu willi.

— No...? — zniecierpliwiał się po chwili Karolek. — Długo tak...? Wpatrzony w jasny, nie zmacony żadnym cieniem prostokąt, Janusz wpadł na odkrywczy pomysł.

— Czekaj, możemy sprawdzić, co robi. Zajrzymy do tego okna.

— I co nam to da?

— Nie wiem. Zorientujemy się. Podtrzymam cię, staniesz na mnie. Jazda, włącz!

Żywa piramida wsparła się o mur. Karolek ostrożnie wyprostował się na plecach Janusza, rękami ściskając podokienny parapet. Powolutku sięgnął oczami szyby w miejscu, gdzie przejrzysta firanczka była rozchylona.

Omali nie zleciał od razu, bo w tym momencie drzwi doskonale widocznej, jasno oświetlonej kuchni otworzyły się i wszedł przez nie młody człowiek. Nie patrzył w okno, zwrócony był do niego bokiem. W objęciach niósł ogromne kawały mięsa, które beztrząsco rzucił na podłogę obok wielkiej lodówki.

Skamieniały z emocji Karolek zachłannym wzrokiem patrzył, jak młody człowiek niedbale upycha mięso w lodówce. Wnętrza lodówki nie widział, zasłaniały mu je otwarte drzwiczki, ale z ruchów młodzieńca wywnioskował, że lodówka jest pełna czegoś i mięso mieści się w niej z najwyższym trudem. Młody człowiek wbił je na siłę, zamknął drzwiczki i opuścił kuchnię, nie gasząc światła.

Podpora pod nogami poruszyła się niecierpliwie i Karolek zeskoczył na ziemię.

— Nie mam pojęcia, co on teraz robi — wyszeptał z mimowolną troską. — Więcej mu się nie zmieści...

— Co? — zdziwił się Janusz, prostując plecy. — A co on robi?

— Przyniósł cholernie dużo mięsa i wepchnął do lodówki. Więcej mu nie wejdzie. A zostawił światło, więc chyba zamierza przynieść więcej.

— No to co?

— No to właśnie nie wiem, gdzie je schowa...

— Czyś zwariował?! Co cię obchodzi gospodarstwo domowe tego całego trutnia?! Przywiózł żarcie, poutyka gdzie bądź i albo pójdzie spać, albo odjedzie w cholerę. Obiadu przecież nie zacznie gotować! Ja go czniam, wracamy i do roboty!

Po drugiej stronie budynku naczelnny inżynier i dzielnicowy, przytuleni do siebie skroń przy skroni, usiłowali wepchnąć ucho w otwór wentylacyjny. Odkryli go już po krótkiej chwili podsłuchiwania, zorientowawszy się, iż głosy z wną-

trza docierają do nich nie przez szybę okienka, ale jakby z boku. Przesunęli się, przyłożyli głowy do żelaznej ramki i głosy zaczęły dobiegać wyraźniej.

— To zetka — szepnął naczelnny inżynier. — Wywiew. Nawiew mają na dole. . .

— Cicho! — szepnął z przejęciem dzielnicowy. — Słuchaj pan! Będzie pan świadkiem!

Z garażu dobiegł dziwny odgłos. Naczelnny inżynier zdefiniował go jako świszczące młaśnięcie. Znow świszczące młaśnięcie i zgrzyt. Coś jakby głuchy trzask. I znow świszczące młaśnięcie. Naczelnny inżynier usiłował przypomnieć sobie, z czym mu się ten odgłos kojarzy. Słyszał coś podobnego, z pewnością słyszał, czegoś to jednak mogło dotyczyć. . . ? Poczul, jak przylepionemu do niego dzielnicowemu kamienieją mięśnie.

— Waldek, przytrzymaj te nogi — odezwało się nagle wewnątrz garażu zniecierpliwionym ludzkim głosem. — Trochy na bok weź, o, tak. . .

— Ale ma gnaty! — dobiegł drugi głos, pełen podziwu i znow rozległo się świszczące młaśnięcie.

Naczelnny inżynier nie wytrzymał.

— Co oni robią? — spytał dzielnicowego pełnym napięcia szeptem.

— Ćwiartują ciało — odszepnął głucho dzielnicowy.

Naczelnny inżynier zdrętwiał. Przypomniał sobie, skąd zna mlaskający odgłos. Robił kiedyś instalacje w rzeźni miejskiej i był świadkiem ćwiartowania przywożonych dość często tusz wołowych. Tak jest, to było właśnie to. . .

— Ostrożnie, nie mazać mi tu juchy po całym garażu! — odezwał się trzeci głos, pełen irytacji. — Do wiadra te bebechy, do wiadra!

Umysł dzielnicowego pracował na najwyższych obrotach. Wszystkie przewidywane komplikacje jawiły mu się równocześnie, po głowie skakały niezbędne czynności służbowe, przemieszane z szatańskimi podstępami. Jedno, czego był pewien, to tempo. . . Należy działać w tempie, szybko, mało szybko, błyskawicznie! I przezornie, żeby jedno nie zaszkodziło drugiemu. . .

Naczelnny inżynier poczul, że dzielnicowy poruszył się i odciąga go nieco od przewodu wentylacyjnego. Następnie do ręki został mu wepchnięty jakiś paperek.

— Panie inżynierze, musi mi pan pomóc — szeptał gorączkowo dzielnicowy, zaciskając palce naczelnego inżyniera na zgruchmonionej kartce papieru. — Ja mam do pana zaufanie. Weź pan to, tu jest krew z tej bagażówki, ja muszę mieć dowód. Oni mają tam laboratorium, niech to zbadają, ale już! I po cichu, nie rozgłaszać! Muszę mieć wyniki zaraz, zanim ci tutaj skończą. Leć pan i jak rany, nie zgub pan tego. . .

Zarazem przysunął nagle ucho znow bliżej otworu wentylacyjnego nie puszczając ręki naczelnego inżyniera i naczelnny inżynier siłą rzeczy przysunął się również. Z wnętrza dobiegały jakieś stukoty.

— A wiesz ty, frajerze, ile on za to dostanie? — rzekł pierwszy głos tajemniczo i konspiracyjnie.

— No ile? — zainteresował się drugi.

— Podobnież najmarniej dwadzieścia pięć patoli. W zielonych. A może być, że i więcej...

Drugi głos gwizdnął z podziwem, a potem coś zamamrotał zawistnie. Dzielnicowy puścił rękę naczelnego inżyniera.

— Leć pan! — rozkazał szeptem. — Potem się spotkamy...

Szpitalny ogród pod stojakiem wypełniała woń kawy. Kierownik administracyjny nie pożałował napoju, ochoczo napełniał szklanki z pięciolitrowego termosu. Doprowadzony do ostateczności długim oczekiwaniem zespół pił bez opamiętania aż do chwili, kiedy dwie sylwetki wyłoniły się z mroku i wkroczyły w zieloną poświatę.

— O, kawa! — zawołał z ożywieniem Karolek. — Ja też chcę!

— No i co?! — zawołało pięć osób równocześnie.

— Nic — odparł Janusz energicznie. — Chromolę. Przyjechał, fakt, lata po domu z jakimś mięsem, ale to małe piwo. Stamtąd nic nie widać, co się tu dzieje, możemy odwalać robotę. Tylko przy spawaniu ktoś stanie i zasłoni błyski. Dajcie tej kawy...

— Z jakim mięsem? — zainteresowała się gwałtownie Barbara. Zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, z mroku wystąpił naczelnny inżynier. Na trupią błądź jego twarzy nikt nie zwrócił uwagi, wszyscy bowiem przywykli już do efektów stworzonego przez Włodka oświetlenia. Naczelnny inżynier, nic nie mówiąc, odszukał posępnym wzrokiem pracowników szpitala i postąpił krok w ich kierunku. Kierownik administracyjny już podawał mu szklankę z kawą. Poruszony energią Janusza zespół z zapalem chwycił narzędzia pracy.

— Jesteśmy wszyscy! — ucieszył się Karolek. — Zbyszek, co tam było po twojej stronie?

— Ty, jakie mięso? — dopytywała się natarczywie Barbara. — Co to znaczy, że lata z mięsem? Mnie to interesuje!

Naczelnny inżynier otworzył usta z zamiarem wypowiedzenia jakichś słów, ale głos zamarł mu w gardle.

— Mięso przyniósł do kuchni i wepchnął do lodówki — odpowiedział za Janusza Karolek. — Potworna ilość, nie chciało mu się zmieścić. Podejrzałem przez okno. Nie wiem jakie, ale do szynki nie było podobne.

— Cholera! — wściekła się Barbara. — Takie bydłę to nawet i mięso ma!

— Znów się będzie tarzał w rozpuście — zawyrokował z rozgoryczeniem Włodek.

Naczelny inżynier stał jak skamieniały, a zgroza ciągle uniemożliwiała mu posłuszenie się głosem. Umysł miał sparaliżowany. Jego stan zwrócił wreszcie uwagę pozostałych.

— Co ci się stało? — spytał Stefan. — Coś nie gra? Janusz mówi, że woźna kończy? Ty uważasz, że nie?

— No właśnie, co było z tamtej strony? — zaciekał się znów Karolek. — Myśmy widzieli tylko jakiś dwóch palantów, latali koło tej furgonetki, co stoi na ulicy. A ty co?

Naczelny inżynier uczynił herkulesowy wysiłek i odrobinę przemógł bezwład umysłu. Gdzieś tam, na skraju szarych komórek, zaświtało mu, że to chyba nie może być to, co mu się wydaje. Wyteżył wszystkie siły dla odzyskania głosu, bo dodatkowo gniotła go potrzeba nakazanego przez dzielnicowego pośpiechu.

— Słuchajcie, oni zabili człowieka — powiedział głośno i ochryple. Przez chwilę grupa tworzyła żywy obraz.

— I poćwiartowali go — dodał naczelny inżynier z rozpędu, w pełni świadom, że mówi nie to co trzeba. — Sam słyszałem...

Żywy obraz nadał trwał w najdoskonalszym bezruchu. Utkwione w naczelnym inżynierze dziewięć par oczu poniechało mrugania.

— I schowali jego mięso do lodówki...?! — odezwał się nagle Lesio tonem niebotycznego oszołomienia. — I zeżrą...?!

— Jezus kochany... — wyszeptał Karolek.

Z otumanienia wywołanego potworną informacją naczelny inżynier otrząsnął się pierwszy. Myśl, iż poćwiartowane ludzkie zwłoki zostały umieszczone w lodówce, pchała się natrętnie i ostatecznie była jeszcze do przyjęcia, perspektywa ich spożycia jednakże budziła zbyt wielki protest. Naczelny inżynier odzyskał nagle trzeźwość umysłu, której pozbawiły go świeżo przeżyte wydarzenia.

— Nie popadajmy w przesadę! — powiedział z wielką stanowczością. — Tu nie ma czasu na wygłupy! Panie doktorze...

— Ale on naprawdę schował mięso do lodówki! — zaprotestował rozpaczliwie Karolek. — Jak Boga kocham, takie wielkie kawały...

— Przestań, do diabła! — krzyknęła Barbara.

— Kanibalizmu dotychczas nie stwierdziliśmy — powiedział z namysłem doktor Romanowski. — Ale czy ja wiem, wszystko jest możliwe...

— Może sam nie zje, tylko gościom daje? — podsunął złowieszczo Włodek.

— Uspokoicie się, czy nie?! — wrzasnął zirytowany naczelny inżynier, wciąż usiłujący uwolnić wyobraźnię od przerażającego obrazu. — W ogóle macie milczeć, to jest tajemnica! Niepotrzebnie mi się wyrwało... Panie doktorze, trzeba pilnie zrobić analizę, czy to można załatwić natychmiast?

Obaj lekarze i kierownik administracyjny skupili się wokół naczelnego inżyniera, który ostrożnie rozchylił dłoń i pokazał zgniecioną kulkę papieru. Sprawę rozstrzygnięto błyskawicznie. Laboratorium było zamknięte, a laborant spał

w domu błogim snem, szczęśliwym trafem jednakże był on rodzonym siostrzeńcem kierownika administracyjnego. W chwilę później kierownik administracyjny popędził do telefonu, a lekarze i naczelny inżynier przyłączyli się do zdenerwowanego zespołu.

— Ludożerca ludożercą, a ty bierz stójak! — warczał Stefan do Karolka. — Jazda, na prawo...

— Ostrożnie, tu selery! — krzyknął doktor Marczak.

— Zdejmuj wiatrówkę, na co czekasz?! — syczał dziko Janusz do Włodka. — Rozpostrzyj tutaj...! Nie tak blisko, tumanie, odsuń się trochę!

— Naprawdę myślisz, że człowiek ma na sobie takie wielkie kawały mięsa? — pytał szeptem Lesio Karolka, wspólnymi siłami ustawiając trójnog. — Mówiłeś, że do szynki niepodobne. Tylko do czego?

— Jazda do dźwigni!!! — wrzasnął na niego rozjuszony Stefan. Kierownik administracyjny nadbiegł i oderwał od pracy naczelnego inżyniera oraz jednego z lekarzy. Laborant obiecał natychmiastowy przyjazd, tymczasem zaś polecił otworzyć laboratorium i poczynić pewne przygotowania. Naczelny inżynier po chwili wrócił, pozostawiając na laboratoryjnym stole papierek z bezcenną zawartością. Wszyscy członkowie zespołu kolejno odrywali się od swoich zajęć, usiłując wydebić z niego więcej szczegółów na temat zbrodni. Nikt nie zdradzał chęci oddalenia się na drugi koniec ogrodu, gdzie pozostały jeszcze dziury do zasypiania...

Dzielnicowy pod przewodem wentylacyjnym z dziką zaciętością w duszy doczekał chwili, kiedy makabryczna praca wewnątrz uległa zakończeniu. Z odgłosów dowiedział się, iż jednemu z obecnych tam opryszków coś się stało i odczuł mściwą satysfakcję. Wreszcie usłyszał rozkaz:

— Weź to i zanieś do wozu! Prędko, nikt nie zobaczy!

Sięknięcie wskazało, że ktoś podniósł jakiś duży ciężar. Dzielnicy wężowymi ruchami przemknął na skraj budynku, skąd miał widok zarówno na wrota garażowe, jak i na stojące za ogrodzeniem samochody. Wrota garażowe uchyliły się i w smudze padającego z nich światła ujrzał człowieka, dźwigającego w ramionach wielki przedmiot. Nim światło zgasło, zdążył rozpoznać przedmiot bez najmniejszych wątpliwości...

W szpitalnym laboratorium zaspany siostrzeniec kierownika administracyjnego w skupieniu odwijał pognieciony papierek z proszkiem, w szpitalnym ogrodzie Janusz zaczynał spawać ostatnie przęsło od tej strony, Stefan, Karolek i Lesio ujmowali nogi stojaka w celu przeniesienia go na stronę przeciwną, kiedy z szarzejącej ciemności wypadła nagle jakaś postać, pędząca ku nim wielkimi skokami. Narzędzia pracy wszystkim wypadły z rąk. Naczelnemu inżynierowi zdążyło się zrobić gorąco, Karolek uczynił ruch, jakby chciał zasłonić sobą trzymetrowy sto-

jak, Janusz obronnym gestem przytulił do łona spawarkę. Postać wpadła w zielony blask i naczelnym inżynier poznał dzielnicowego.

Dzielnicowy nie bawił się w żadne ceremonie. Od razu wypatrzył miejsce, w którym rama siatki jeszcze nie była przyspawana, odchylił ją energicznym ruchem i przelał na szpitalną stronę. Naczelnym inżynier podskoczył i pomógł mu, przytrzymując przesło. Reszta zespołu zmartwiała, niezdolna do żadnego ruchu. Dzielnicowy od razu przystąpił do rzeczy.

— Macie samochód — rzekł rozkazująco. — Potrzebny najlepszy kierowca, musimy jechać za nimi, ale już! Pięć minut czasu!

Naczelnym inżynier obejrzał się.

— Stefan. . .

— Cholery ciężkiej dostanę — powiedział Stefan cicho, ale z głębokim przekonaniem. Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się, potknął o nogę stojaka i ruszył w stronę szpitalnego parkingu.

— On tu zaraz podjedzie — zawiadomił naczelnym inżynier. Dzielnicowy rozejrzał się po znieruchomiałych postaciach.

— Mnie tu nie ma — rzekł z naciskiem. — Nikt z państwa mnie nie widział. Ja też nikogo nie widzę, w ogóle jestem ślepy. Pan wie, co oni zrobili? — zwrócił się do naczelnego inżyniera.

Naczelnym inżynier milczał, bo informacja, że ludzkie mięso schowali w lodówce, nie przechodziła mu przez gardło.

— Jeden się zaciął w rękę — ciągnął mściwie dzielnicowy. — Poszli go opatrzyć, muszą się trochę umyć i bez kielicha się nie obejdzie. Zanim sobie trzasną, parę minut przeleci. Pojedziemy za nimi.

— Za mercedesem? — zaniepokoił się naczelnym inżynier. — Stefan ma małego fiata!

— Nie szkodzi. Nie za mercedesem, tylko za bagażówką. Pan wie, co oni zrobili. . . ?

Warknął silnik i mały fiat wyprysnął z parkingu. Dzielnicowy urwał w pół zdania, obejrzał się, zasalutował naczelnemu inżynierowi i popędził do Stefana. W chwilę potem mały fiat znikł za bramą.

— Na litość boską, co się jeszcze stanie tej nocy?! — jęknęła z furią Barbara, nieco ochłonawszy. — Tu miał być spokój! Widno się robi!!!

— Cztery przesła — powiedział stanowczo Janusz. — Trzy kwadransy roboty. Jazda na tamten koniec!

W godzinę później brzask wstającego poranka zastąpił widmową poświatę. Ciężko zmachany zespół odpoczywał na schodkach przed wejściem do gmachu, wykańczając kolejny termos kawy. Ulga po osiągnięciu celu mieszała się z emocjami, wynikłymi ze zbrodni, zmęczenie tłumiło wybuchy uczuć, ale przemieszany z satysfakcją niepokój trwał w sercach. Oglądany w świetle wschodzącego słońca efekt całonocnej pracy stanowił ogromną pociechę.

— Stąd nawet nieźle wygląda — ocenił Janusz, przyglądając się krytycznie krzakom porzeczek, świeżo posadzonych na byłych dołach. — Całkiem jak nie naruszone.

— Akurat! — prychnął z goryczą Włodek. — Trawnik zorany, jakby się po nim stado bawołów tarzało!

Karolek zganił jego malkontenctwo.

— Wielkie rzeczy, podleje się i cała trawa wstanie. Zanim tu kto przyjedzie się gapić, żadnego śladu nie będzie.

Naczelnny inżynier roztargnionym wzrokiem obrzucił trawę, porzeczek i siatkę.

— Boję się, że przylecą lada chwila — rzekł z troską. — Głupia sprawa z tą zbrodnią. Dzielnicy to chyba rozkręci. . .

— Nic nie robi — przerwał doktor Romanowski. — Ten pryszcz na ciele społeczeństwa ma mocną pozycję. Ręczę panu, że wszystko zatuszuja.

— Niemożliwe, żeby zatuszowali zabójstwo!

— A zobaczy pan. . .

Drzwi za ich plecami szczęknięły nagle i pojawił się w nich laborant. Zespół poderwał się na równe nogi, wszystkie oczy zawisły na ustach zaspanego młodego człowieka w białym kitlu. Młody człowiek ziewnął okropnie.

— Mógłby wujek i mnie napoić — rzekł z wyrzutem. — Coś mi się należy za wyrwanie z łóżka w środku nocy.

— No i co. . .?! — zawołali równocześnie Karolek i Lesio.

— Mówże! — pogonił kierownik administracyjny. — Co to za krew? Masz tu kawę i mów!

Laborant ujął szklanekę z kawą i podniósł do ust.

— Słodzona? — spytał nieufnie i wypił trochę. — Może być. . . O co ten gwałt? Wielkie mecyje. Zwierzęca.

— Co. . . ?

— Zwierzęca, mówię.

— No wiecie. . . — powiedział z urazą Karolek i klapnął z powrotem na schodki.

Zbiorowe westchnienie, ni to ulgi, ni to rozczarowania przeleciało przez ogród, napięcie skłęsało jak przekuty balon. Przez chwilę nikt nie wiedział, co o tym sądzić.

— A mówiłem, że na człowieku nie może być tyle mięsa! — wyrwał się Lesio.

— To co to wszystko znaczy? — zdumiała się Barbara. — Gdzie ten Stefan?

— Nie do pojęcia — powiedział zaskoczony naczelnny inżynier.

— To co on takiego mógł zrobić? Poćwiartował to w tajemnicy i wiecie, jakoś tak. . .

Karolek wysunął przypuszczenie, iż w grę wchodzi nielegalny ubój, z którego truteń ciągnie zyski, Włodek jął snuć hipotezy na temat straszliwego oszustwa, polegającego na zamianie cielęciny na mięso, na przykład psie. Naczelnny inżynier

przeciżył temu energicznie, upierając się, że z całą pewnością ćwiartowano dużą sztukę. W chwili, kiedy wszystkim zaczęła się coraz natrętniej nasuwać myśl o kradzieży hipopotama z ogrodu zoologicznego, z ulicy dobiegł warkot samochodu i przez bramę przejechał fiat Stefana.

Wysiadający wraz ze Stefanem dzielnicowy w otaczającym go niesłychanie zemocjonowanym gronie odszukał wzrokiem naczelnego inżyniera.

— Pan wie, co te sukinsyny zrobiły? — spytał z goryczą i gniewem.

— Wcale nie zabili człowieka. Gorzej! Upolowali łosia! Naczelnny inżynier zatrzymał się jak wryty.

— Niemożliwe! — wykrzyknął, wstrząśnięty.

— Możliwe, możliwe — warknął Stefan. — Gnoje karmelickie, kurza ich parszywa melodia. . .

— Od razu wiedziałem — mówił dzielnicowy, wściekły, ponury i wielce wzburzony. — Widziałem, jak wynosili do samochodu łopaty, rozpoznałem w świetle. I skórę wzięli do garbowania. Jezus Chrystus mój, jak ja im tego nie odbiorę, to mnie chyba szlag najjaśniejszy trafi!!!

— Łopaty razem z łbem — dodał złym głosem Stefan. — Spreparują i niech ja skonom, jeżeli nie wywiozą!

— To za to on ma dostać dwadzieścia pięć tysięcy dolarów! — odgadł naczelnny inżynier, wstrząśnięty coraz bardziej. — Co za parszywe bydlę. . . !

Zespół reagował już gromko i zgodnie. Siostrzeniec kierownika administracyjnego nagle jakby się ocknął, senność przeszła mu jak ręką odjął, poczerwieniały na twarzy wymachiwał szklanką po kawie, wychlapując z niej fusy.

— To ja wiem, skąd ten łoś! — wrzeszczał przekrzykując pozostałych. — Dwa dni temu w prasie pisali, że za Krasnymstawem widziano w lesie łosia! Podobno cudownie piękny! O, chamy niemyte. . . !

Włodek z boleścią łamał ręce, aż stawy trzeszczały.

— I takiego łosiosia zabili. . . Łosia, znaczy. . . Zwierzę pod ochroną. . .

— A mówiłem, że dziczyzna! — wypominał doktor Romanowski zarazem z rozgoryczeniem i satysfakcją. — Jedyne wartościowe mięso! To jest wrzód na obliczu ludzkości. . . !

— Już się zastanowiłem — mówił równocześnie dzielnicowy z zaciętością. — Ja miącham konsekwencje. . . Zaraz zrobię nagonkę, garbarnia legalna, ale ten łeb tam jest. . . Jak mi prokurator nie da nakazu, sam wejdę, dowód rzeczowy jak stąd do Filadelfii. . . Wyleją mnie z roboty. . .

— Nic pan nie robi, nigdzie pan nie wejdzie! — wkroczył energicznie Janusz. — Pęcherz rybi pan na tym zarobi! Wylać pana, wyleją, fakt, ale na tym koniec. Łeb odbiorą, a sprawę zatuszują. . .

— I wykryje się ogrodzenie. . . — zakwilił żałośnie Karolek.

— Ależ. . . — zaczęli razem dzielnicowy, naczelnny inżynier i Barbara, lecz Janusz nie dopuścił ich do głosu.

— Inaczej trzeba! Żadnych oficjalnych kroków, nikt w ogóle nie może wiedzieć, że pan o tym wie! Nie widzieli was, mam nadzieję? — zwrócił się pośpiesznie do Stefana.

— Coś ty, chory? — obraził się Stefan.

— To już nieźle. Tym bydlakom i tak się nic nie robi, ale łosia się im odbierze... Łosia, chciałem powiedzieć...

— Jak?! — warknął dziko dzielnicowy.

— A zwyczajnie. Przemocą. I to zaraz, będzie napad chuligański, nieznani sprawcy rąbną łeb i skórę i niech głupie chamy lecą na skargę. Jazda, jedziemy wszyscy!

— Znaczy, chuligani, to my? — upewnił się z uciechą Karolek.

— No a kto? Wszyscy biorą udział...!

Nie tylko obaj lekarze i laborant, ale nawet kierownik administracyjny bez namysłu okazali radosny zapał. Zespół od pierwszej chwili był gotów do czynu. Janusz dyrygował przedsięwzięciem, dzielnicowego wykluczył z imprezy kategorycznie.

— Pan nie! Pana nikt nie może zobaczyć. I jeszcze w tym mundurku! Mowy nie ma! Stefan poprowadzi, zaraz, ile mamy samochodów...?

Na szczęście, zanim uzgodniono kwestię transportu i zanim silniki czterech samochodów zdążyły zastartować, naczelnemu inżynierowi wróciła odrobina równowagi umysłowej. Powstrzymał rozszalałe grono.

— Spokój! — zarządził. — Opamiętać się wszyscy! Nie potrzeba takiej watahy, uderzcie się w potylicę! Jedzie paru silnych ze Stefanem, a reszta spokojnie czeka!

— I Barbara — zastrzegł się szybko Janusz. — Barbara musi jechać, może tam trzeba będzie z jakim facetem gadać.

— Dobra, Barbara niech jedzie. Ale z miejscowych nikt! Słuszność tych decyzji nie została już podważona. Stefan, Lesio, Karolek, Janusz, Barbara i naczelnny inżynier wsiedli do dwóch samochodów i nie wdając się w dalsze rozważania ruszyli. Na szpitalnych schodkach pozostało czterech pracowników szpitala, melancholijnie rozgoryczony Włodek i posępnie zdeterminowany dzielnicowy.

— Oni już to zrobili nie pierwszy raz — mówił gniewnie. — Ciągłe coś przywożą, sarny, jelenie, o zającach to nawet nie warto wspominać, czas ochronny czy nie czas ochronny, dużo ich to obchodzi, myśliwi jak z koziego ogona waltornia. Ale łosia, to już za wiele.

— Starają się o dobre mięso — mruknął z przekąsem doktor Marczak.

— Żeby się tym mięsem udławili, spraw Panie na wysokościach! — powiedział pobożnie Włodek, wznosząc oczy ku niebu.

— Jeszcze i to mięso powinno się im odebrać! — krzyknął z ogniem laborant, który należał do Ligi Ochrony Przyrody i który wyglądał już tak, jakby nigdy w życiu nie odczuwał potrzeby snu.

— O mięsie to nawet nie myśl! — ostrzegł go pośpiesznie kierownik administracyjny. — Temu opryszkowi z wysokich sfer nic nie zrobisz. Lepiej się zastanów nad łbem.

— Co tu się zastanawiać, kółko łowieckie ma preparatora, zrobi się dla muzeum przyrodniczego. Ale nie po cichu, żadne takie! Trzeba narobić szumu, rozbęnić to barbarzyństwo, niech się ludzie dowiedzą!

— Zawiadomić prasę — zaproponował Włodek.

— Tak jest! Zadzwoń do redakcji, pisali o łosiu, niech napiszą i o zbrodniarzach!

— Ale to chyba trzeba jakoś dyplomatycznie — zwrócił uwagę doktor Marczak. — Żeby przypadkiem nie powiązali z tym tutaj...

— No, owszem... No jasne, że trzeba dyplomatycznie! Możemy się zastanowić...

— Ukraść, to panu tego łba już nikt nie ukradnie, osobiście dopilnuję — zobowiązał się dzielnicowy. — Moja głowa, żeby on bezpiecznie dotarł, gdzie trzeba.

— Żeby im się tylko udało...!

— Jak tam jest? — zainteresował się Włodek. — Myśli pan, że dadzą radę?

— Czemu nie? Ten garbarz, to, prawdę mówiąc, nie żaden bandzior, zarejestrowany rzemieślnik. Ma zezwolenie na garbowanie skór, ale przecież nie z łosia! A złapać go na niczym nie można, bo już tam o niego dbają ci różni protektorzy, tacy sami jak ten padalec...

— Broni, mam nadzieję, nie posiada? — zatroskał się doktor Romanowski.

— A skąd! I mieszka sam, tylko z żoną i z dziećmi...

— Dyplomatycznie, a z hukiem... — zastanawiał się laborant w skupieniu. — Dyplomatycznie, a z hukiem... Zaraz. Zaczyna mi się układać. Dyplomatycznie, a z hukiem...

Dwa samochody pędziły na południe. Wschodzące słońce wesoło oświetlało pustą szosę trzeciej klasy.

— Dwadzieścia kilometrów, zaraz tam będziemy — mówił Stefan w pierwszym. — Nie zwracaj głowy z ludźmi, czwarta godzina, jeszcze śpią. Więcej mnie ciekawi, co będzie, jak nas w drodze powrotnej gliny złapią z tym łbem. Diabli nadali, na stare lata za kłusownika będą robił...

— Będiesz jechał zgodnie z przepisami i żadne gliny nas nie złapią — zdecydowała stanowczo Barbara.

Naczelny inżynier nic nie mówił, zastanawiając się, jakie jeszcze konsekwencje będzie miała akcja „ogrodzenie”, i tłumiąc w sobie uporczywie lęgnące się przekonanie, że chyba ich ktoś przeklął...

W drugim samochodzie Karolek usiłował zaplanować przewidywany napad chuligański.

— Nie wiem, czy musimy tłuc szyby — rozważał. — Chyba się powinno? Drzwi należałoby wywalić siekierą. Nie mamy siekiery. . .

— Słuchajcie, a co my potem z tym łbem zrobimy? — zaniepokoił się Lesio. — Nie wyrzucimy chyba?

— Trzeba komuś przekazać — orzekł Janusz. — Do Warszawy wiózł nie będę, mowy nie ma. Za pokwitowaniem, bo to cenna rzecz. . .

W pierwszym samochodzie naczelny inżynier wreszcie odzyskał mowę i zażądał od Stefana dokładnego opisu terenu, na którym miał się odbyć napad. Szczególnie interesował go rodzaj budynku.

— No przecież nie bunkier! — zirytował się Stefan. — Chałupa jak chałupa, nawet dosyć obskurna, aż się dziwię. Ale chyba się będzie budował, bo materiał widziałem. Pięknej cegły parę kubików stoi, nawet dziurawkę ma i zdaje się, że dół z wapnem. No, uwaga, to już blisko, za tamtym zagajnikiem.

W drugim samochodzie zapadła decyzja, że łeb należy dostarczyć do jakiegoś muzeum przyrodniczego, gdzie po z mumifikowaniu będzie stanowił wartościowy eksponat. Janusz zaczął właśnie domagać się rozgłoszenia sprawy.

— Załatwisz bezszmerowo i co? Żadnych śladów, przyschnie i przy najbliższej okazji ten gnój trzaśnie drugiego łosia, tak? Albo żubra? A chała!

— To co proponujesz?

— Więcej krzyku. Rozumiesz, zareklamować sukinsyna.

— Ale on się wyprze i jeszcze nas do sądu zaskarzy. . .

— Toteż trzeba dyplomatycznie. . .

— I anonimowo — przypomniał Lesio z niezwykłą przytomnością umysłu. — Nas tu wszystkich przecież w ogóle nie ma.

— Zatrzymują się! — krzyknął Karolek, widząc zjeżdżający na pobocze samochód Stefana.

Narada robocza trwała krótko.

— To jest ten dom — oznajmił Stefan, pokazując palcem widoczne wśród zieleni zabudowania. — Nikogo tu nie ma, tylko podobno jeden facet z żoną i dziećmi. Nie wiem, ile dzieci. Wejście z tamtej strony. Jazda!

— Zaraz — powstrzymał go naczelny inżynier, trochę zakłopotany i nieswój. — Obejdziemy dom i co?

— Nic. Wedrzemy się i niech go cholera bierze!

— Jak się wedrzemy?

— Przemocą — zdecydował Janusz. — Jak chuligański napad, to chuligański napad. Wybijamy szybę i włączymy!

— I musimy się zachowywać jak skończone chamy, żeby nie nasuwać żadnych głupich podejrzeń — zauważył z naciskiem Lesio. — Nie mówić „dzień dobry”, ani nic takiego!

— No, już! — zniecierpliwił się Stefan. — Idziemy!

Dom był starą chałupą, przedzieloną sienią na dwie części. Do jednej z nich dobudowana była wielka szopa, ciągnąca się w głąb ogrodu i zaopatrzona w liczne przybudówki. W jednej z nich widać było otwarte okienko, z którego wyskakiwały kury. Z komina, przedtem niewidocznego zza drzew, wydobywała się cienka strużka dymu. Chulikańska banda zatrzymała się nieco skonsternowana.

— Chyba już wstali — szepnął niepewnie Karolek.

— Co tam! — rzekł gniewnie Stefan i energicznym krokiem ruszył ku drzwiom. — Wstali, nie wstali, byle z biglem!

Zespół ruszył za nim na palcach. Drzwi okazały się otwarte. Wstrzymując oddech chulikańska grupa stłoczyła się w sieni. Stefan otworzył drzwi wiodące do owej bardziej rozbudowanej części i przekroczył próg. Reszta za nim. Wszyscy znaleźli się teraz w ogromnej kuchni wyposażonej, jak na głąbą wieś, dość niezwykle. Obok węglowego paleniska z okapem i polepą znajdowała się wielce wymyślna kuchnia elektryczna, przy sąsiedniej ścianie stała elegancka lodówka, dwa wiadra z wodą i cebrzyk sąsiadowały z klubowym, krytym czarną skórą fotel. W przeciwległej ścianie widniały otwarte drzwi, wiodące niewątpliwie do owej rozbudowanej szopy. Nikt nie wiedział, co teraz robić.

W drzwiach naprzeciwko ukazał się nagle średniego wzrostu i skromnej postury człowiek, z małą bródką i wielkim kołtunem włosów na głowie. Miał na sobie stare dżinsy, starą koszulkę polo i ceratowy fartuch. Przekroczył próg i zamarł na widok liczego towarzystwa stłoczonego na środku pomieszczenia.

Towarzystwo zamarło również. W najgłębszej ciszy grono początkujących bandziorów i ich ofiara przypatrywali się sobie nawzajem. Nikt nie czynił najmniejszego ruchu i nikt nie wydawał z siebie głosu, wszystkim bowiem pchały się na usta zakazane przez Lesia słowa „dzień dobry”

Lesio wepchnął się do kuchni ostatni. Przejęty był do szaleństwa, co usiłował ukryć, żeby się znów nie wygłupić, tak, jak tyle już razy w przeszłości. Przekonanie, iż napad należy rozpocząć wysoce grubiańsko, zgoła po chamsku, kazało mu gorączkowo szukać w myślach stosownego okrzyku. Repertuar mu się jakoś dziwnie zawęził i ograniczył do jednego tylko apelu. „W ucho drania. . . ! Tak, „w ucho drania” może być nieźle. . .

Posępne, chrapliwe, grzmiące „uuuuuuu. . . !”, które rozległo się z nienacka w drzwiach za plecami zespołu, dało efekt straszliwy. Przypominało nieco ryk zrozpaczonego lwa. Przeraziło jednakowo ofiarę i napastników, zmiotło paraliżującą niepewność i dziabnęło ostrogą przywiedłą energię. Spłoszony samym sobą Lesio urwał w połowie, Stefanowi zaszumiło w głowie i pociemniało w oczach.

Gwałtownie postąpił dwa kroki do przodu.

— Gdzie łeb? — spytał ostro.

Osobnik w przeciwległych drzwiach skierował na niego osłupiałe spojrzenie. Otworzył usta, ale milczał. Stefana ogarnęła rzetelna furia.

— Gdzie łeb pytam?! — wrzasnął okropnie. Człowiek w drzwiach dźwięcznie zadzwonił zębami.

— Jaki... jaki... łeb...?

— Pański — powiedział grzecznie Karolek i zreflektował się. — To jest, nie, nasz... To jest, nie, łososia...

Janusz poczuł, że coś mu się robi w środku

— Rany Boga żywego, czyście zgłupieli...?! Dawaj łeb, lebiego, bo już mnie ręce świerzbią!

— Ale proszę państwa... — zaczęła jąkać śmiertelnie zdumiona i przerażona ofiara napaści. — Ale co to... Ja nie rozumiem... O co chodzi...?

Naczelny inżynier również postąpił dwa kroki do przodu.

— To jest napad — wyjaśnił rzeczowo. — Chuligański, dla ścisłości. Albo pan odda łeb, albo zostanie pan pobity, a tu się wszystko zdemoluje. Gdzie pan ma ten łeb?

— Jaki łeb...?!!

— Łososia... Tfu, łosia. Dostał pan dzisiaj łopaty.

Ku nieopisanemu zaskoczeniu napastniczej grupy twarz kudłatego człowieka rozjaśniła się nagle najszczęśliwszą radością. Wbiegł do kuchni.

— Tego łosia...! Ależ proszę bardzo! To jest, nie, zaraz... Państwo robią napad, żeby mi odebrać te łopaty?

— No, nareszcie! — warknął Stefan. — Przyswoiłeś sobie wreszcie, ofiario boża! Tak jest, robimy napad, żeby ci odebrać łopaty!

— Nie stawiam przeszkód! Tam leży, w szopie, miałem go właśnie zaczynać... Proszę bardzo! To znaczy nie, przepraszam, stawiam przeszkody, protestuję, walczę jak lew! Państwo będą uprzejmi działać przemocą, mnie trzeba związać!

— On zwariował? — zainteresowała się nieufnie Barbara.

Nie zważając na dalsze słowa ofiary, Stefan już po pierwszej wskazówce skoczył do szopy i po chwili z głębi dobiegł jego głos.

— Chodźcie tu! Cholery na was nie ma! Niech mi który pomoże!

Wpatrzony w kudłatego człowieczka Janusz potrząsnął głową, zamrugał oczami i skoczył za Stefanem. Razem wnieśli do kuchni ogromny łeb łosia, opakowany niezbyt dokładnie w kawał folii. Gospodarz domu uporczywie domagał się stosowania przemocy, wygrzebując ze skrzyni w kącie jakieś sznurki.

— Nie zwracajmy uwagi, brać ten łeb i nawiewać — poradził półgłosem Karolek.

Pan domu dosłyszał, poderwał się, rzucił ku drzwiom i rozkrzyżował ramiona.

— Po moim trupie! Łeb sobie bierzcie, ale miejcie litość! Ludzie, tak mnie zostawić nie możecie! Musicie mnie związać! Ja państwa bardzo Proszę, nie bądźcie świnię...!!!

Rozdzierające wezwanie znalazło oddźwięk. Zespół zawahał się i zmiękł, Janusz i Stefan porzucili zamiar utworzenia sobie drogi łbem. Stosunek ofiary do napaści wydawał się dość dziwny, naczelny inżynier z wielką surowością zażądał wyjaśnienia tych kaprysów. Ofiara odstąpiła od drzwi i jęła się krzątać, zarazem zdradzając swój sekret i gorączkowo się tłumacząc.

— Panowie, ja jestem człowiek średnio uczciwy. Garbuję te skóry zgodnie z przepisami, a jak się czasami trafi coś dodatkowego, no, co tam, dziura w niebie się od tego nie robi. A preparuję hobbystycznie, wypchać też potrafię, dlaczego nie... Ale powiem panom, państwu znaczy, że tak raz za razem to mi się to nie podoba, kłusownicy to jest nic, niewinne dzieci w porównaniu z takim jak ten, dopust boży, ten... Nie będę się wyrażał przy damie. Ja rozumiem koziołka, sarenkę, jelenia ostatecznie, ale łoś, to już nie! Wszystko ma swoje granice! Z całego serca się cieszę, że mu państwo to zabiorą, przecież ja doskonale wiem, że on te łopaty robi na handel, na dolary się połasczył, wampir nienasycony! A ze mnie co robi? Zbrodniarza! Przecież ja powinienem siedzieć już za samo to, że nie donoszę, chociaż doskonale wiem, kto tego łosia trzasnął. Ale napadliście na mnie i niech wam Pan Bóg da zdrowie! No, w wasze ręce...!

Zaskoczenie było tak wielkie, że nikt nie odmówił zaproszeniu. Naczelny inżynier, kompletnie skołowany, wziął do ręki szklaneczkę, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni.

— Czy to ma znaczyć, że pan wcale nie chciał czyścić tych łopat...?

— No pewnie, że nie! Siłą mi wtrzyił!

— To po co pan się zgodził? Nie mógł pan odmówić?

Kudłaty człowieczek uniósł swoje naczynie i popatrzył na naczelnego inżyniera z politowaniem.

— Panie, pan niedzisiejszy, czy jak? Ja mam żonę i dzieci. A tak naprawdę, to patrz pan, wyjrzyj pan oknem... I rozejrzyj się pan dookoła. Ile jeszcze mam mieszkać w tej ruderze? Dom stawiam, cegłę dostałem na przydział, niech ja mu spróbuję odmówić, pan wie co dostanę? Ale szczerze panu powiem, przez tego łosia aż mi się coś robiło... No, proszę państwa, nie odmawiajcie, czym chata bogata, naleweczka własnej roboty. Żeby on zdechł, gnida jedna...

— Często panu takie rzeczy przywozi?

— Bezustannie! Łosia pierwszy raz, ale jelenie rogi ciągle! I to jakie! Aż się serce kraje!

— Sam tak poluje?

— Co pan?! Akurat on zdalny do polowania... Z kłusownikami ma spółkę. Jedna sitwa to jest, nikt im nie da rady, bo powiem panu, już sam nie wiem, gdzie się ta sitwa kończy... Ja tam nic nie mówię, ja mam żonę i dzieci... Niech państwo nie zapomną mnie porządnie związać, bo ten podlec ma dzisiaj po południu przyjechać...

W kwadrans później nieznani sprawcy chuligańskiego czynu odjechali z lekkim zamętem w głowie, uwożąc przemocą uzyskane trofeum i pozostawiając swoją ofiarę spętaną rącznikami i przywiązaną do klubowego fotela sznurem od białizny. Małżonkę ofiary zamknęto zwyczajnie na klucz w drugiej części domu.

Na schodkach szpitala siostrzeniec kierownika administracyjnego wymyślił już wszystko. Wiedział dokładnie, o której godzinie i do kogo w redakcji zadzwoni z sensacyjną informacją, które kółko łowieckie wytypuje najlepszego preparatora i w jaki sposób zaangażuje w sprawę swoją Ligę Ochrony Przyrody. Z niecierpliwością czekał chwili, kiedy będzie już mógł dzwonić po ludziach, nie wyrwując ich ze snu i nie zyskując ogólnej niezyczliwości. Z jeszcze większą niecierpliwością wyglądał powrotu chuliganów z dowodem rzeczowym, nie umiając jeszcze tylko rozwiązać jednego problemu, mianowicie, w jaki sposób uzasadni posiadanie łosiego łba, nie narażając się na podejrzenie, iż sam go upolował i nie zdradzając przy tym żadnych szczegółów afery.

Ta sama kwestia dręczyła dzielnicowego, dodatkowo wyprowadzonego z równowagi łosiem, uparcie pchającym się na usta. Doktor Romanowski starał się koić jego uczucia.

— Emocje, panie poruczniku — wyjaśnił pobłaźliwie. — Łoś, to jest za krótkie słowo, żeby wyrzucić z siebie narosłe emocje, zdrowy odruch każe wyrzucić z siebie więcej, przedłużyć je, wzbogacić. . .

Siedzący obok Włodek nie zwracał na nich uwagi, zajęty nowym zmartwieniem. Robiło się późno. Najwyższy był czas zbierać się do powrotu, jeśli mieli zdążyć do pracy, a pojawienie się w biurze o mniej więcej normalnej porze stanowiło warunek ukrycia całonocnego pobytu w Lublinie. Wyjadą o szóstej, około ósmej znajdą się w Warszawie, pójdą prosto do pracowni i wszystko będzie w porządku. Pod warunkiem, że wyjadą o szóstej. Tymczasem jest dziesięć po piątej, a ich jeszcze nie ma. Gdzie są? Co się z nimi stało. . . ?

Przestępcza grupa stała właśnie na szosie pod miastem. Wszyscy zgromadzili się wokół samochodu Janusza, gdzie na tylnym siedzeniu spoczywał potężny, rogaty łeb, byle jak omotany folią i wypełniający sobą całe wnętrze. Nerwowe rozważania na temat pozbycia się łupu doprowadziły zespół bez mała do szaleństwa. Zgodnie i bez namysłu ustalono tylko jedno, że mianowicie, należy go zostawić w miejscu widocznym, a niedostępnym, zaprezentować społeczeństwu, zabezpieczając jednocześnie przed kradzieżą lub też zniszczeniem, ponadto należy to uczynić natychmiast. Janusz i jadący z nim razem naczelnny inżynier nie dopuszczali do siebie nawet cienia myśli o jakiegokolwiek zwłóce.

— Dobra — powiedział cierpko Stefan. — A miejsce macie?

— Nie. Ale pozbyć się tego trzeba czym prędzej. Kombinujcie coś!

— A może jednak. . . — zaczął Karolek i urwał. Przejeżdżający radiowóz MO dostrzeżono z nienacka, dopiero w chwili, kiedy znalazł się tuż obok. Milczenie zapadło kamienne, nikt nie odezwał się ani słowem i nikt nie zdołał powstrzymać

skreću głowy w kierunku wielkich, białych liter. Janusz nad kierownicą zeszywniał. Radiowóz jechał powoli, siedzący w środku milicjanci przyjrzeni się uważnie dwóm samochodom i czterem osobom obok jednego z nich, po czym odjechali bez przyśpieszenia. Zespół odzyskał dech.

— Nie gapić się na nich! — syknął Stefan. — Nie daj Boże, mogą zawrócić.

— Nie powiem, gdzie mam to niedostępne miejsce — zdecydowanie oznajmił pobladły Janusz. — Zostawiam to byle gdzie! Za skarby świata nie zgadzam się, żeby mnie z tym złapali!

— Zawracają!!! — krzyknął Lesio w panice.

Niczym stado spłoszonych jeleni grupa spod samochodu Janusza runęła do samochodu Stefana. Wydarzenia tej obfitującej w przeżycia nocy bez reszty wyczerpały siły psychiczne całego zespołu. Do czynów rozumnych i przemyślanych nikt już nie był zdolny. Dwa samochody ruszyły z poślizgiem, wyskoczyły z pobocza na jezdnię i pognały ku miastu, nie zauważywszy nawet, iż radiowóz skręcił w lewo, zjechał w boczną drogę i udał się gdzieś w dal.

— Nie wytrzymam tego dłużej — oznajmił z ponurą zaciętością Janusz, zwalnając nieco na pustych ulicach miasta. — Nerwowy jestem. Jeszcze jeden radiowóz i nie odpowiadam za siebie.

Naczelnny inżynier chciał mu przyświadczyć i uprzytomnił sobie, że przez cały czas, aż do tej chwili, zaciska zęby, co spowodowało odrętwienie szczęk. Nie powiedział zatem nic, rozluźnił mięśnie twarzy, przechylił się do tyłu przez oparcie fotela i rozpoczął jakieś manipulacje w okolicy łosiego łba. Stan Janusza rozumiał doskonale i całkowicie się z nim solidaryzował. Myśl, że mogliby teraz zostać zatrzymani, że musieliby wyjaśnić pochodzenie łba, że wykryłyby się wszystkie związane z tym okoliczności, była tak przerażająca, iż absolutnie nie mógł jej znieść. Ponadto łeb śmierdział straszliwie. Naczelnemu inżynierowi z rozpacz zaczął się krystalizować pomysł.

— Co ty tam robisz? — zaniepokoił się Janusz, rzucając do tyłu podejrzliwe spojrzenie.

— Róg jest złym przewodnikiem! — wymamrotał naczelnny inżynier z zaciętością w głosie, klęcząc tyłem do przodu na fotelu, przygniatając sobie żołądek i wykonując jakieś tajemnicze, skomplikowane ruchy rękami. — Cud, że kawałek drutu ocalał, to już go odżałujesz. Zatrzymaj się pod czymkolwiek... Co będzie u góry...

— Kurza twarz, jadą za nami! — syknął dziko Janusz. Naczelnny inżynier poderwał się, porzucił łeb i opadł na fotel, trzymając w ręku koniec grubego drutu, wyginanego właśnie w hak. Kolejny radiowóz MO zbliżył się, wyprzedził ich, wyprzedził jadący przed nimi samochód Stefana i znikł w głębi ulicy. Miasto było ciągle prawie puste, ruch się ledwie zaczynał. Janusz i naczelnny inżynier przestali ze sobą rozmawiać, nagle zaczęli się rozumieć bez słów. Janusz przyhamował...

Patrzący ciągle we wsteczne lusterko Stefan ujrzał, iż jadący za nim samochód zatrzymuje się na środku prawego pasa jezdni. Zaniepokoił się, mocno zwolnił i wreszcie stanął. Widząc, że Janusz i naczelny inżynier wyskakują w pośpiechu, bez chwili namysłu ruszył wstecznym biegiem do tyłu.

Janusz i naczelny inżynier wywlekli z samochodu łeb, nie odpowiadając na nerwowe pytania. Łopaty łba omotane były porządnie grubym drutem, którego końce, skręcone razem, sterczały na metr i wygięte były w imponujący hak. Trzymając ciężar w objęciach, Janusz spojrział w górę, następnie spojrział na naczelnego inżyniera i obaj razem kiwnęli głowami. Naczelny inżynier rozejrzał się szybko. Tuż za nim zaczynał się niewielki skwerek, na którym stała nieco zdemolowana ławka ze złamaną i naderwaną jedną listwą. Naczelny inżynier dopadł ławki i szarpnął listwę.

— Czy oni obaj zwariowali! — spytała ze zgrozą Barbara. Karolek zorientował się nagle w czym rzecz i pomysł wydał mu się znakomity. Z błyskiem w oku skoczył na pomoc naczelnemu inżynierowi. Solidna, choć wąska, dwumetrowa deska znalazła się w ich rękach.

— Czyście z byka spadli, gliny jeżdżą, ludzie chodzą, co robicie?! Jeszcze kto zobaczy! — awanturował się Stefan. — Coś tak zaniemiał, jak święta krowa?! O co chodzi?!!!

— Ani chwili dłużej! — zawarczał Janusz. — Dosyc tego, co przeżyłem, to moje. Jazda, wieszamy!

— Chryste Panie...! — jęknęła zdławionym głosem Barbara.

— Trochę wysoko — skrytykował niepewnie Lesio z głową zadartą do góry, bardziej jednakże skłonny zaaprobować szaleństwo, niż protestować przeciwko niemu.

Naczelny inżynier był już gotów na wszystko i nie tolerował najmniejszego oporu. Jednym ruchem zaklinował omotujący rogi drut w nadłamanym końcu deski i nakazującym gestem wezwał współpracowników.

— Jazda, brać go! Trzymaj, potem mu podasz! Łapiemy go, razem...!

W cały zespół wstąpiły nagle nadludzkie siły. Widać było, iż straszliwy pomysł naczelnego inżyniera musi doczekać się realizacji, a zatem im prędzej się to załatwi, tym lepiej. Wszyscy równocześnie spełnili jego rozkazy. Uchwycony krzepko sześciorgiem ramion Janusz podjechał w górę razem z łbem i znalazł się na ramionach przyjaciół. Lesio pchał z dołu deskę z zaczepionym drutem. Nie bacząc na woń, Janusz oparł sobie łeb o pierś, wyrwał Lesiowi deskę i wyteżywszy wszystkie siły, desperackim zrywem podrzucił ciężar jeszcze wyżej. Drutu wystarczyło, sterczący wysoko hak znalazł się tam, gdzie powinien. Sił natychmiast po zrywie zabrakło i wszystkie elementy pomocnicze runęły na ziemię. W górze pozostał tylko ogromny łeb łosia z potężnymi rogami, kołyszący się na zwisłym nieco pod jego ciężarem przewodzie trolejbusowym. Niestaranne opakowanie odwinęło się i foliowa płachta majestatycznie spłynęła w dół jako ostatnia.

W pięć sekund później oba samochody wraz z sześciorgiem pasażerów zniknęły w głębi ulicy.

Mniej więcej po dziesięciu minutach pierwszy, prawie pusty trolejbus zahamował przed niespodziewaną przeszkodą. Kierowca już z daleka widział, że coś na linii jest nie w porządku, podjechał bliżej i zatrzymał pojazd. Nie wysiadał. Nie wierząc własnym oczom, patrzył na kołyszący się na wysokości prawie trzech metrów rogaty łeb i usiłował pojąć, skąd mu się wzięły takie dziwne halucynacje. To, co widzi, nie może być przecież rzeczywistością. Alkoholu nie używał od zeszłego tygodnia, chory nie jest, a przynajmniej nie był aż do dzisiejszego ranka, nie śpi już z całą pewnością. . .

Nie wiadomo, czy nie próbowałby zlekceważyć widziadła, podejmując dalszą jazdę przez złudzenie optyczne na durch, gdyby nie to, że jeden z nielicznych pasażerów, stojący tuż przy nim, dotknął nagle jego ramienia.

— Panie szefie — rzekł tonem głębokiej zadumy — czy mnie oko myli? Widzi mi się, że duża buźka wisi przed nami. Pan może widzisz to samo. . . ?

W pół godziny później na linii stały już cztery trolejbusy, kilkaset osób i trzy radiowozy MO. Ukryci za jednym z nich szpitalny laborant i dzielnicowy składali sobie nawzajem ogniste gratulacje. Dwóch fotoreporterów robiło zdjęcia, warczała kamera kroniki filmowej, prezes miejscowej Ligi Ochrony Przyrody w spodniach naciągniętych na piżamę wsiadał do swojego samochodu, trzech członków redakcji, która przed dwoma dniami zamieściła wzmiankę o łosiu, jechało taksówkami na miejsce wydarzenia. Z garażu straży pożarnej wyjeżdżał wóz bojowy.

W stronę przeciwną, oddalając się od Lublina, pędziły trzy samochody. Panowały w nich uczucia mieszane.

— Cholera, z tego wszystkiego zapomnieliśmy o skórze — mówił zirytowany Janusz. — Skóra tej pluskwy została, nie odżaluję, chory jestem od tego!

— Nie przejmuj się tak, może mu zabiorą — pocieszał go naczelnny inżynier. — Teraz już mogą działać jawnie, więc mam nadzieję, że dzielnicowy nie popuści. . .

— A te narożniki, to nam w ogóle wyszły doskonale — mówił z radosnym ożywieniem Karolek do Barbary. — Byłby problem, skąd pomyłka w pomiarach, a tak będzie można powiedzieć, że mierzyli do narożnika i stąd różnica. Nikt z tych mierzących nie zauważył, że środek jest przesunięty i niech sobie teraz wprowadzają poprawkę!

— Bardzo dobrze — pochwaliła zadowolona Barbara. — Wyjdzie z tego, że nawaliły skoczybruzdy, a ja akurat mam z nimi na pieńku. . .

* * *

Otepiałym wzrokiem wpatrzony w ścianę Lesio siedział na fotelu, piastując na kolanach stos zadrukowanych kart w pożałowania godnym stanie. Niektóre z kart trzymały się jeszcze razem, żadna jednak nie stanowiła całości. Zostały poszarpane i pogniecione z budzącą podziw starannością, większości brakowało, te zaś, które udało mu się odczytać, treścią swoją wywoływały zgrozę.

Zaskoczenie i przerażenie, jakie ogarnęły go, kiedy po powrocie z Lublina sięgnął po dzieło traktujące o toksykologii żywienia i ujrzał tylko jego strzępy, zbłądły już całkowicie. W pierwszej chwili na widok zniszczeń wpadł w panikę, przez kilka następnych chwil próżno silił się odgadnąć, co sprawiło, iż pod książką telefoniczną odnalazł szczątek tego, co położył tam w całości, potem przez pół dnia zastanawiał się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji, nic nie wymyślił i na razie postanowił rzecz ukryć. Odkupienie książki uniemożliwiał brak kart zawierających tytuł i nazwisko autora. Wreszcie zaczął czytać dostępny mu tekst i wówczas straszna treść przesłoniła wszystko inne.

Szczerze żałował, że w ogóle przystąpił do tej lektury, a co gorsza pretensje mógł mieć tylko do siebie. Sam rozpetał całą burzę. Sam, dobrowolnie, przez nikogo nie przymuszony, przechodząc przez bazar, kupił na straganie pęczek marchwi i dwa pęczki rzodkiewek. Ułożywszy je starannie i dekoracyjnie, wkroczył do pracowni z efektownym bukietem, zwracając na siebie powszechną uwagę.

— Hej, popatrzcie, czy to nie piękne? — rzekł, dumnie prezentując swoją kolorową zdobycz.

Barbara, Karolek i Janusz od razu spojrzeli na niego. Patrzyli długo i w milczeniu, podczas gdy Lesio układał jarzyny jeszcze ozdobniej.

— Aż szkoda zjeść! — zauważył z wyraźnym żalem.

— A ty masz zamiar to zjeść? — spytał Karolek z wahaniem.

Lesio zdziwił się trochę.

— A co mam z tym zrobić innego? Witaminy są zdrowe.

— O rany boskie — powiedział Karolek jeszcze niepewniej i zamilkł stropiony.

Barbara i Janusz spojrzeli teraz na niego.

— Myślisz...? — spytała Barbara niespokojnie.

Janusz nic nie mówił, z zainteresowaniem przenosząc wzrok z Karolka na bukiet i z bukietu na Lesia. Lesio zdziwił się bardziej.

— A co...? Umyję to, oczywiście...

Karolek podniósł się z krzesła, podszedł do Lesia i z wielką uwagą obejrzał marchew.

— Sztuka w sztukę wystawowa — stwierdził. — Dorodna, aż się niedobrze robi.

— No właśnie! — podchwycił Lesio. — To o co chodzi?

— Nic, nic, niech zeżre, za parę dni zobaczymy, jak się czuje — powiedziała kąśliwie Barbara.

— Żadne parę dni! — zaprotestował Karolek. — To działa długofalowo. Za parę lat owszem, ale ja nie mam cierpliwości tyle czekać.

— Nie wiem, czy jeden pęczek wystarczy — zauważył krytycznie Janusz. — No, trzy, razem z rzodkiewkami, ale to też mało. Musiałby chyba żreć codziennie.

— Powiedzmy, co tydzień — oceniła Barbara. — Możliwe, że już za rok mielibyśmy rezultaty. . .

Lesio stał nad swoim bukietem, gapiąc się na współpracowników.

— O co wam chodzi? — spytał podejrzliwie. — Czy ja może coś przeoczyłem?

Karolek westchnął.

— Najpiękniejsza marchew jest najbardziej szkodliwa — wyjaśnił smutnie. — Zawiera w sobie te różne środki. Przypomnij sobie, co mówił doktor w szpitalu, rakotwórcze i tak dalej. A oprócz tego mówiłem wam przecież. . . A nie, ciebie nie było. Ale mogę ci powtórzyć Jak chcesz, chociaż myślałem, że nam tego całego gadania wystarczy.

Drzemiąca w ostatnich dniach pamięć Lesia ocknęła się nagle i odbiła sobie przestój. Odezwała się potężnie, za jednym zamachem podsuwając pełny serwis informacyjny. Nic już nie trzeba było wyjaśniać.

— Cholera — powiedział smętnie właściciel pamięci i usiadł ciężko na krześle.

— Sam zresztą miałeś to sprawdzić dokładnie — mówił dalej Karolek z lekkim wyrzutem. — Sam mówiłeś o tej siarce i ołowiu. . .

— O siarce mówiła Barbara — poprawił Janusz.

— Wszystko jedno. Miałeś sprawdzić i co? Mówiłeś, że masz jakieś możliwości.

— Myśmy w ogóle myśleli, że już sprawdziłeś — powiedziała zimno Barbara. — Tymczasem, zdaje się, kompletnie to sobie lekceważysz. . .

Trzy pary oczu patrzyły na winowajcę surowo i z głęboką naganą. Lesio, pełen skruchy, wpatrywał się w bukiet. Rzeczywiście, zobowiązał się i zapomniał, wyleciało mu z głowy, chociaż pożyczył przecież nawet stosowne materiały naukowe. Zapomniał, wypchnął z umysłu odrażający temat i oto skutek. . . Niewiele brakowało, a byłby spożył truciznę. . .

Dreszcz przerażenia przeleciał mu po plecach.

— Nie będę tego jadł! — powiedział stanowczo. — Będę to malował

— Mnie przez niego coś trafi! — zasyczała z furią Barbara. — Jutro masz mieć wszystkie konkretne informacje! Jutro! Rozumiesz, co do ciebie mówię?! Rób sobie co chcesz, ale nie próbuj nawet pokazywać się nam na oczy bez nich! Mają być czarno na białym! . . .

W ten sposób Lesio zasiadł do lektury poszarpanego dzieła, którego treść odebrała mu resztę spokoju ducha.

Co najmniej połowy nie rozumiał wcale. Wyraźnie czując, iż nie zapamięta niczego poza ogólnym wrażeniem katastrofy, skupił się, oderwał ogłupiały wzrok od ściany i sięgnął po długopis. Długopisu nie znalazł, w zasięgu ręki miał tylko gruby, czarny mazak i ołówek o twardości H6. Nie mógł wstać i poszukać czegoś innego, bo porozdzierane kartki w miarę lektury układał sobie na kolanach, na poręczach fotela, na nogach i na podłodze wokół i wydawało mu się, że jeśli znów się rozsypią, drugi raz poukładać ich nie zdoła. Z zamętem w umyśle, okropnie zdenerwowany, jął czynić notatki na marginesie leżącej pod ręką gazety i na jakichś skrawkach papieru, poniewierających się pod nią. Mazak pisał za grubo, rychło wyczerpał wszystkie wolne miejsca, Lesio przerzucił się zatem na ołówek H6. Ryjąc nim pracowicie, niewidocznym pismem zapełniał przestrzenie między grubymi, czarnymi krechami. Część poszarpanych kartek udało mu się dopasować do siebie, zagarnął je zatem i razem ze swoimi oryginalnymi graficznie notatkami wepchnął do aktówki. Resztę ukrył w poprzednim miejscu, pod książką telefoniczną. Poszedł spać wyczerpany całkowicie, niezdolny do dalszego segregowania informacji.

Zespół czekał na niego nazajutrz w stanie dużego napięcia i zdenerwowania. Janusz przyniósł wiadomość o zaoraniu kolejnego pola truskawek, Barbara od przyjaciółki pracującej w przemyśle spożywczym uzyskała niejasną informację o szkodliwym mleku w proszku, a Karolek trzeci raz powtórzył wszystko, co usłyszał w sklepie od eleganckiego pana, zapadłego w jego pamięć na zawsze. Niepokój w umysłach rósł i rozstrzygnięcie kwestii w sposób precyzyjny i naukowy stawało się absolutnie nieodzowne.

Atmosferę pogarszał Janusz, uporczywie szukając po całym pokoju pisma od inwestora, domagającego się zastosowania wielkiej płyty w ośrodku zdrowia. Pismo przepadło i nikt nie umiał o nim nic powiedzieć.

— Po co ci to, przecież i tak miałeś zamiar im odmówić — perswadował Karolek, usiłując ułagodzić irytację Janusza. — Odmów zwyczajnie i cześć.

— Jak im mogę odmówić, skoro nie ma zlecenia! Na coś przecież muszę odpowiedzieć, nie? W ogóle nie pamiętam, co oni tam napisali!

— A nie mamy kopii?

— Nie mamy, kurza ich twarz, oryginał przysłali, w jednym egzemplarzu! Gdzie ta cholera mogła się podziać?

— Szlag mnie trafi od tego twojego szukania! — zdenerwowała się Barbara. — Zadzwoń do inwestora, niech ci przyślą odpis kopii i przestań się tu miotać! Zwariować można!

— Nie mogę do nich dzwonić, oszalałaś?! Pomyśla, że będę robił, a chała! Ja im odmawiam, nie dociera to do ciebie?! Nie dam się wrębać w trucicielstwo!

— Ciągłe nie wiemy dokładnie, jak to jest z tym trucicielstwem — westchnął Karolek. — Gdzie ten Lesio?

— Jestem, jestem — odezwał się od drzwi Lesio, wbiegając truchtem z aktówką w objęciach. — Proszę państwa... A to co? Przeprowadzamy się?

— Nie, Janusz szuka pisma od inwestora.

— Nie włącz mi tu kopytami, bo rulony pognieciesz! — wrzasnął gniewnie Janusz. — Siadaj i siedź na tyłku chociaż parę minut! Chwili spokoju człowiek tu nie ma!

— Nie zwracaj na niego uwagi — poradziła niecierpliwie Barbara.

— Siadaj i mów, czego się dowiedziałeś! I żadnych wykrętów...!

— Dostałeś jakieś konkretne dane? — spytał chciwie Karolek.

Lesio energicznie kiwnął głową trzy razy, otwierając swoją aktówkę i ostrożnie wyciągając z niej kłęb papierów razem ze złożoną, zamazaną na czarno gazetą. W skupieniu zaczął to wszystko rozkładać na stole.

— Naukowe materiały — wyjaśnił dumnie. — Mam tu notatki, wszystko na bazie prawdziwej chemii, sprawdzone. Więc jest tak... Niech on przestanie, ja się muszę skoncentrować.

Janusz przekładał właśnie pod jego stołem wielką kupę odbitek.

— Nie wierzgaj nogami! — ostrzegł gniewnie. — Robaki masz, czy co? Mówiłem, siedź spokojnie!

— Chyba trzeba go zabić, bo inaczej nie przestanie — powiedział z rezygnacją Karolek.

Lesio rozprostował jeden ze swoich pogniecionych karteluszków.

— Możemy mu dać parę kilo rabarbaru — zaproponował złowieszczo.

— Rabarbar zawiera kwas szczawiowy, najniższa śmiertelna dawka wynosi trzy i osiem dziesiątych grama. Po ośmiu godzinach trup.

— Nie wytrzymam tego przez osiem godzin — oznajmiła stanowczo Barbara. — Nie masz tam czegoś radykalniejszego?

— Jest cyjanek. Na cyjanek jest odporny tylko wołek zbożowy. Powoduje tyłozgięcie tułowia.

— Cyjanek u wołka? — spytał Karolek, nieco oszołomiony.

— Nie, to znaczy, możliwe, że i u wołka też. Jeden z objawów zatrucia. Jest więcej, ale brakuje mi tekstu, tylko tyłozgięcie tułowia pewne.

— No więc nie ma — powiedział Janusz, wyłaząc spod stołu, podczas gdy Barbara i Karolek zamilkli, ogłuszeni już pierwszymi rewelacjami Lesia. — Przeszukałem wszystko, diabli ten papier wzięli i nie ma siły. Będę udawał, że go wcale nie dostałem i poczekam, aż się upomną.

Lesio wciąż układał i porządkował kartki. Janusz zaczął sprzątać po sobie i zdążył usunąć ze środka pokoju wszystkie rulony, zanim odezwała się Barbara.

— Czy ktoś z was wie, jak wygląda wołek zbożowy...?

— Ja wiem — odparł Karolek. — Kiedyś widziałem na obrazku. On właściwie cały się składa z tułowia, więc nie bardzo wiem, jak może mieć to tyłozgięcie...

— Co? — spytał Janusz, odwracając się gwałtownie od szuflad, w których upychał resztki niepotrzebnych rysunków. — Wołek zbożowy ma tyłozgięcie? Kto tak powiedział?

— Lesio...

— Nic podobnego! — zaprotestował Lesio energicznie. — Cyjanek powoduje tyłozgięcie tułowia, a wołek zbożowy jest na to odporny. Więc możliwe, że właśnie nie ma tyłozgięcia!

— O ile wiem, cyjanek powoduje też parę innych nieprzyjemności — zauważył Janusz, patrząc na Lesia ze zdumieniem. — Poza tym, miało być o żarciu! Co tu ma do rzeczy wołek zbożowy? Zaczyna być jadalny, czy jak?

— Wołek jak wołek, ale cyjanek jest jadalny. Możesz zjeść i wreszcie będzie z tobą spokój.

— Ale mogę i nie zjeść?

— Możesz — przyzwoliła Barbara.

— Nie możesz — zaprzeczył Lesio z wielką stanowczością. — Żresz go w mące i nic na to nie poradzisz. Także w nasionach, orzechach, owocach suszonych i tytoniu.

Siedzący w kucki przy szufladach Janusz podniósł się i ruszył do swojego stołu.

— Nasion i tytoniu nie jadam — zawiadomił z urazą. — Tyłozgięcia się po mnie nie doczekacie. A w ogóle nic z tego nie rozumiem, mówże jakoś po ludzku!

Barbara i Karolek poparli go, domagając się wszystkiego od początku, z konkretnymi przykładami i liczbami. Lesio wygładził uczernioną gazetę.

— Zdrowemu człowiekowi, który waży sześćdziesiąt kilogramów, nie zaszkodzi w ostateczności do trzech miligramów ołowiu — zaczął swój wykład uroczystym głosem. — Kilo sałaty, rosnącej przy szosie, zawiera przeszło siedem i pół miligrama. Wystarczy?

— Tak. Dla dwóch osób — obliczył odruchowo Karolek.

— Czy to ma być porcja na jeden raz? — przerwała nieco zdezorientowana Barbara. — Ile to główek? Nigdy w życiu nie ważyłam sałaty!

— Nie wiem, ja też nie ważyłem. Tu o główkach nie było, wszystko na wagę. Czekaście... Działanie chemiczne związków rakotwórczych... Nie, przepraszam, nie tak, działanie rakotwórcze związków chemicznych odbywa się w wątrobie. Z żywności pochodzą aflatoksyny, wnikają za pomocą spożycia i oddychania, narząd najbardziej narażony, wątroba!

Przerwawszy na chwilę, Lesio popatrzył na współpracowników. Wszyscy milczeli, trzy pary oczu zawisły na jego twarzy z wyrazem całkowitego osłupienia. Lesio poczuł w sobie ducha Kassandry.

— Istnieją też związki teratogenne — podjął ze złowieszczym naciskiem. — Sprawdziłem w słowniku wyrazów obcych. Tworzące potwory.

Zespół nadal milczał. Lesio, przyjrzawszy się im kolejno, wrócił do porozkładanych na stole kartek i gazety.

— Co do cyjanku, to sprawdzono, że dopuszczalna dla człowieka dawka wynosi sto miligramów na jeden kilogram paszy szczura dziennie. . .

— Co takiego. . . ? — wyrwało się Karolkowi.

— Nic. Paszy szczura. Co oznacza do zero pięć miligrama dziennie na jeden kilogram człowieka.

— Zwariowałeś? — spytał ze szczerą zgrozą Janusz.

— No co ci poradzę, oni tak liczą. Chcieliście naukowo, nie? Otóż. . . badania zachorowalności na raka przełyku mężczyzn palących tytoń i pijących alkohol, wykazują, że. . .

— A kobiet? — przerwała żywo Barbara.

— O kobietach nie ma. Tylko mężczyzn. Wykazują, że jeśli ktoś pali po dwadzieścia godzin dziennie i chla po osiemdziesiąt jeden godzin dziennie. . .

— No nie, to już musiałeś chyba coś pokręcić — wtrącił się stanowczo Karolek. — Nawet naukowo doba nie ma osiemdziesięciu jeden godzin! Musi być inaczej!

Lesio pilnie zagłębił się w tekst na kartce.

— Możliwe. To nie godzin. Jeśli ktoś pali przeszło dwadzieścia sztuk dziennie i pije przeszło osiemdziesiąt jeden litrów dziennie.

— O, jak rany Boga żywego, co on bredzi?! — zdenerwował się Janusz. — Jakie osiemdziesiąt jeden litrów?! Najgorszy opój nie da rady! Zerwał się z krzesła, podbiegł do Lesia i pochylił się nad jego zapiskami.

— Gdzie to masz? Tu? Gwoździem to pisałeś?

— Ołówkiem H6.

— Zgłupiał. . . Faktycznie, osiemdziesiąt jeden. . . No nie, to musi być zero osiemdziesiąt jeden. W osiemdziesiąt jeden litrów w życiu nie uwierzę!

— No dobrze, dwadzieścia papierosów dziennie i prawie litr wody — zniecierpliwił się Karolek. — To co? Co te badania wykazują?

— Że prawdopodobieństwo zachorowania jest po prostu potworne — odparł Lesio z namaszceniem. — Nie wiem jakie, bo nie mogłem się połapać, w czym jest wyznaczona ta skala, ale graficznie wygląda, że ho ho!

— To już było od dawna wiadome i bez graficznego wyglądu — zauważyła zimno Barbara. — Co tam dalej, mów, bo środków spożywczych ciągle nie widzę.

— Fityna — podjął pośpiesznie Lesio. — Bardzo szkodliwa, jeden procent wystarcza, żeby zahamować wzrost młodych szczurów, prosiąt i kur. Histamina, dziesięć do stu miligramów może być przyczyną zatrucia. Znajduje się w czym popadnie, najwięcej. . . zaraz. . . tu mam tabelę. . . Najwięcej. . . grzyby suszone prawdziwe, trzysta sześćdziesiąt miligramów na jeden gram produktu. . .

— A Egri Burgundi tylko osiemnaście! — ucieszył się nagle Janusz, zagląda-
jący mu przez ramię. — Proszę, czerwone wino jest zdrowe!

— A pomidory tylko dziesięć — wytknął Lesio. — Jeszcze zdrowsze!

— Zaraz, czekajcie, czy to mają być ilości szkodliwe? — spytała podejrzliwie
Barbara. — Grzyby suszone jada się od wieków. . .

— Tego na pewno nie wiem, bo reszta tekstu jest w ogóle niezrozumiała —
odparł Lesio z godnością. — Poza tym go brakuje.

Poza tym. . .

— Samce są bardziej wrażliwe! — przeczytał nagle Janusz. — Wiecie, że to
niegłupia rzecz, zawsze byłem zdania, że mężczyźni są delikatniejsi. . .

— A cóż to za jakiś kretyński pogład? — zdziwiła się Barbara. — Co to w ogó-
le za szmatławiec?

— Nie żaden szmatławiec, tylko naukowe dzieło — sprostował Lesio urazo-
ny. — Czekajcie, następna trucizna to saponiny. Atakują układ nerwowy. Nasiona
kąkolu zawierają pięć do siedmiu procent tej rzeczy i mogą się znaleźć w mące.
Cholesterol zmniejsza szkodliwy wpływ saponin. . .

— Aha, to znaczy, że jeśli jeść mydło, to tylko z masłem? — przerwał Karo-
lek, — usiłujący praktycznie przetworzyć informacje Lesia.

— Tak — przyświadczył Lesio z roztargnieniem. — Jeszcze mamy
aflatoksyny. Cielę karmione paszą z aflatoksyną zdycha po szesnastu tygo-
dniach. . .

— O Boże, to stąd ta moda na cielęcinę! — zawołał żywo Karolek.

— Achchchch. . . ! — wykrzyknęła Barbara i gwałtownie szurnęła swoim krze-
słem. — Więc to tak. . . ! A mówiłam. . . !!!

— Co mówiłaś?

— Dzień w dzień powtarzam! Cielęcina, idiotyzm, mięso bez smaku, bez żad-
nej wartości, teraz jeszcze okazuje się, że zatrute! Baby chodzą po domach, pchają
na siłę. . . !

— Myślisz, że to wszystko z tych cieląt padłych po szesnastu tygodniach? —
zainteresował się Janusz.

— A jak?! Kto przy zdrowych zmysłach będzie tak niszczył bydło bez żadne-
go powodu?! Cielęta im padają, więc jazda z tym na handel! A to głupie społec-
zeństwo kupuje! No, nareszcie zrozumiałam źródło tej orgii. . . !

— Może i masz rację, coś w tym jest. . .

— To właściwie co nam razem wychodzi z tego naukowego gadania? — spy-
tał zdenerwowany Karolek, odwracając się do stołu Lesia. — Możesz to jakoś
streścić?

Lesio pokręcił głową.

— Streścić wykluczone. Można wyciągnąć częściowe wnioski. Wszystko jest
cholernie szkodliwe i w żadnym wypadku nie należy jeść sałaty rosnącej przy

szosie. Z tym, że o tej sałacie miałem zapisane jakoś oddzielnie, więc możliwe, że sałata pochodzi z innego naukowego dzieła.

— Ty, a czy to wszystkie naukowe dzieła tak wyglądają? — zainteresował się Janusz. — Dlaczego to jest w takich strzępach? Każdy, kto czyta, popada w zderwowanie?

— Nie dziwiłabym się — mruknęła Barbara, wciąż jeszcze zionąca potępieniem cieleciny.

Lesio ujawnił zakłopotanie. Westchnął ciężko i usiadł, zagarniając szczątki. Smętnym głosem opisał niezrozumiałe wydarzenie, podkreślając niezręczność swojej sytuacji. Wszyscy okazali zainteresowanie i niepokój.

— Znacząco, pożyczyleś i musisz oddać?

— No właśnie. I nie wiem co zrobić.

— Pewnie, że w takim stanie oddawać nie możesz. . .

— Trzeba chyba odkupić, nie?

— No zaraz, czekajcie — zreflektował się Janusz. — Ale to przecież samo się nie podało? Jak pożyczałeś, było w całości?

— Nawet nieźle wyglądało. Chociaż widać było, że używane.

— No więc jak? Ktoś przyszedł i poszarpał?

— A twoja żona. . . Nie była może niezadowolona z czegoś. . . ? — spytał delikatnie Karolek.

Lesio spojrział na niego żałośnie i znów westchnął.

— Przeciwnie. Nawet mi się wydawało, że jest w dobrym humorze. . . Ale nawet gdyby ktoś przyszedł, to mówię wam przecież, że leżało pod książką telefoniczną. Najpierw by chyba poszarpał książkę telefoniczną?

— A w ogóle jeszcze coś więcej było poszarpane?

— Nie, tylko to. . .

Zagadka wydawała się nie do rozwiązania. Tajemnicza siła w domu Lesia wyładowała swoje namiętności wyłącznie na elaboracie o żywieniu i myśl, że musiało to być związane z treścią dzieła, pchała się natrętnie. Niemniej, dzieło należało do ciotecznej szwagierki Lesia i musiało jej być zwrócone. Po krótkich rozważaniach zdecydowano, że książkę należy odkupić i starania w tym kierunku będzie robił cały zespół. Trudność polegająca na braku tytułu i nazwiska autora rozwiązano w ten sposób, że każdy wziął jedną kartkę, wybierając takie, na których oprócz kawałka tekstu widoczny był także numer strony. I rozumiesz — wyjaśnił Janusz, który wpadł na ten pomysł — dostaniesz coś tam o żywieniu. . . Co to miało być?

— Toksykologia czegoś. Żywienia, albo żywności, albo coś w tym rodzaju.

— Coś o toksykologii żarcia, porównasz sobie ze stroną. . . Ile to tam? Dwieście czterdzieści trzy. I jak będzie tekst o wędzonych na gorąco dorszach pobranych ze sklepów i tak dalej, a z drugiej strony. . . Bekon gotowany Kanada nitro coś tam. . . Już wiesz, że to jest to!

— Wiecznie jakieś kłopoty! — westchnął Karolek, oglądając z obu stron swoją kartkę i usiłując zapamiętać podwójną treść.

Barbara pieczołowicie wygładziła strzępek i schowała do torebki.

— Chyba jednak to źródło było przesadnie naukowe — rzekła w zamyśleniu. — Czy to nie było przypadkiem coś specjalistycznego dla fachowców? W dalszym ciągu nic nie wiem, ale teraz już nie mam odwagi od nikogo pożyczać lektury. Może by w kontaktach bezpośrednich?

— Z kim?

— Nie wiem. Z fachowcem. . .

— Z moją cioteczną szwagierką będę na razie unikał bezpośredniego kontaktu — zakomunikował Lesio stanowczo. — Po odkupieniu książki mogę spróbować. . .

Z dwóch upragnionych elementów, poszarpanego dzieła o żywieniu i informacji o szkodliwych substancjach, łatwiejsze do uzyskania okazało się to drugie. Pierwsze stawiało opór nie do przezwyciężenia, drugie natomiast sypało się jak z rogu obfitości, siejąc ogólny popłoch i rosnącą panikę. Pestycydy, jak się okazywało, znajdowały się wszędzie i zagrażały egzystencji na każdym kroku, a oprócz nich pojawiały się jeszcze inne jakieś produkty, nikomu nie znane i nie wiadomo skąd pochodzące.

— Jedna pięcioletnia funta endryny na trzy akrostopy wody zabija ryby — oznajmił ponurym głosem Włodek, wchodząc do pokoju architektów.

— Nie denerwuj mnie — powiedziała z wściekłością Barbara. — Co to w ogóle za wiadomość, czy ktoś z nas hoduje ryby? Jakie ryby?!

— Co to są akrostopy? — zainteresował się Karolek.

— Nie wiem. Jakaś ilość chyba, nie?

— A co to jest endryna? — spytał ciekawie Lesio.

— Też nie wiem. Ale dosyć wyraźnie widać, że coś szkodliwego.

— Żadnej zdechłej ryby do ust nie wezmę! — oznajmił stanowczo Janusz. — Będę jadł tylko żywe!

— Wiecie, mnie się wydaje, że chyba z tego nie wybrniemy — powiedział Karolek niepewnie i ze smutkiem. — Czy ci fachowcy nie powinni tego jakoś przystępnie opracować i podać do publicznej wiadomości? Ja się gubię.

— Namów ich! — warknęła Barbara.

— Fachowcy milczą jak zakłęci — powiedział równocześnie Włodek z wielkim rozgoryczeniem. — Ile się człowiek naszarpie, żeby z nich coś wydusić, to ludzkie pojęcie przechodzi. Zmowa jakaś, czy co. . . A jak już otworzą ten głupi pysk i puszcza farbę, to się od tego niedobrze robi.

— I słowa mówią jakieś takie. . . — dodał Janusz z niesmakiem. — Na inwektywy się nadają. Jak powiem do kogoś, ty endryno hormonalna, to jak wam się zdaje, co będzie?

— Nawet nie próbuj — ostrzegł go Lesio życzliwie. — Da ci w mordę od razu.

— Ale...! W mordę to ty powinieneś dostać! Znalazłem ci już tytuł i autora, mówiłem, toksykologia żywności, a propos, to jest rzeczywiście specjalistyczna rzecz, mało że dla lekarzy, to jeszcze dla biologów w laboratoriach, ale ganc pomada, znalazłem i co? Gdzie ta twoja cioteczna powinowata?

— Co znalazłeś, gdzie znalazłeś?! W Bibliotece Narodowej! Dużo mi z tego...

— Trzeba było od razu ukraść — mruknął z wyrzutem Karolek.

— Niech sam kradnie. I tak z siebie głupiego zrobiłem...

— W antykwariacie — odpowiedziała gniewnie Barbara. — Na bazarze. Złożymy się w końcu, żeby to odkupić, ale rusz się wreszcie i zrób coś!

— Tak jest! — przyświadczył energicznie Janusz. — Od ciebie teraz zależy zguba ludzkości...!

Obarczony straszliwą odpowiedzialnością, zgoniony, zziębnięty i zgnębiony Lesio wrócił do domu z kolejnej rundy po antykwariatach z poczuciem całkowitej klęski. Upiornego dzieła nie było nigdzie. Wtykając klucz w zamek, usłyszał za własnymi drzwiami jakieś głosy. Zatrzymał się, chwilę nadśluchiwał, rozpoznał głos swojej ciotecznej szwagierki i zawahał się. Najśluszniej byłoby uciec, ale czuł się śmiertelnie zmęczony, okropnie głodny, nogi bolały go od przemierzania miasta na piechotę i w ogóle miał dosyć wszystkiego. Postanowił zatem wejść i cichutko przemknąć się do drugiego pokoju w sposób niezauważalny.

Delikatnie przekręcił klucz, bezszelestnie otworzył i zamknął drzwi, odczekał chwilę, po czym na palcach przebiegł do kuchni. Pośpiesznie zajrzał do garnków, znalazł jeden, którego zawartość stanowił gulasz z makaronem, chwycił go, chwycił widelec i również na palcach podążył do drugiego pokoju. Nie zamykając drzwi, ponieważ lekko skrzypiały, ukrył się w kącie za nimi i przystąpił do łapczywego spożywania potrawy, wprawdzie zimnej, niemniej jednak jadalnej i dość smakowicie przyprawionej. Zza otwartych drzwi dobiegały dźwięki wskazujące, iż do jego żony przyszła z wizytą jej cioteczna siostra z dzieckiem. Dziecko gaworzyło, a panie rozmawiały na tematy krawieckie.

Z odgłosami rozmowy zmieszał się nagle gwałtowny szelest papieru.

— Co ona tam ma? — usłyszał Lesio niespokojne pytanie ciotecznej szwagierki. — Jezus Mario, to Burda! Zabierz jej!

— Daj cioci, daj — nakłaniał głos żony. — Tego nie można czytać, daj!

— Ciii, ciii, ciii! — zawołało energicznie dziecko.

— Ona chce czytać — rzekła szwagierka. — Coś jej trzeba dać i będzie spokoj. Nie masz jakiej starej gazety?

— Możemy jej dać to, co już przedtem czytała. Wielkiej różnicy nie będzie.

— Co.. A, tę moją książkę? Bardzo dobrze, daj jej...

Zimny gulasz z makaronem stanął nagle Lesiowi w gardle. Szczęki mu znie-
ruchomiały, a serce zabiło.

— Czekaj, zaraz znajdziemy coś do czytania — mówił czule głos żony. —
Nie, tego nie. To! Proszę bardzo, Pyziunia sobie poczyta. . .

W odpowiedzi rozległo się radosne gruchanie dziecka i jeszcze gwałtowniej-
szy szelest papieru. Lesio podniósł się z kąta za drzwiami i odstawił garnek. Na
palcach podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju.

Jego żona i jej cioteczna siostra zajęte były wykrojami kiecek. Na podłodze,
obok stolika z telefonem, siedziało dziecko i z wielkim zapałem wykańczało wyję-
te spod książki telefonicznej dzieło o żywieniu. Dziecko promieniało szczęściem,
a dzieło o żywieniu w szybkim tempie przestawało istnieć do reszty.

Pełen zarazem niebotycznej ulgi, śmiertelnego oburzenia i żrącej goryczy Le-
sio tak długo stał oparty o futrynę, bolesnym wzrokiem wpatrzony w cioteczną
siostrzenicę, aż obie zajęte wykrojami damy zwróciły na niego uwagę.

— O, już jesteś? — zdziwiła się żona. — Nie słyszałam, jak przyszedłeś. . .

— Witaj Lesiuniu — powiedziała szwagierka. — Jak się masz?

Lesio bez słowa wpatrywał się w dziecko.

— Co ci się stało? — spytała żona. — No i co tak patrzysz? Dziecko sobie
czyta. Nie widziałeś czytającego dziecka?

Lesio skierował bolesny wzrok na matkę dziecka.

— Wiem co czyta, wiem — powiedziała szwagierka pobłaźliwie. — Dałyśmy
jej tę książkę już poprzednio, bo ona woli książki niż gazety. Niech ją sobie podrze
do reszty.

Lesio chrząknął, zawierając w tym chrząknięciu tyle treści, że szwagierka po-
czuła się zmuszona rozszerzyć wyjaśnienie.

— Nie zwracaj głowy, nic się nie stało. Mamy już nowsze opracowania, tamto
mi niepotrzebne. Nasze laboratorium już to wszystko umie na pamięć. Zrobiliśmy
sobie alfabetyczne tabele, uzupełniane na bieżąco i ja nie muszę się przywalać
książkami. . .

— No więc, to jest nie do wytrzymania! — zawyrokował Karolek z wielką
energią i stanowczością. — Coś musimy zrobić, jeżeli nie ogólnie, to przynaj-
mniej we własnym zakresie!

Cały zespół zgodził się z nim bez najmniejszego wahania. Przyniesione przez
Lesia najnowsze informacje stały się kroplą, przepełniającą miarę. Wynikało
z nich wyraźnie, że właściwie nie ma co jeść. Sposób na warzywa znaleziono
od razu, postanawiając, pod wpływem sugestii Karola, poszukać jakiegoś leniwe-
go i niedbałego chłopca, zamieszkałego w pewnym oddaleniu od szosy, w kwestii
mięsa natomiast zapanowała niepewność i dezorientacja.

— Te sztucznie karmione są niedobre dlaczego? — spytała nerwowo Barba-
ra. — Bo już mi się wszystko myli. Co one tam zawierają?

Lesio przechylił się z krzesła ku ścianie. Wisiała na niej długa kartka, na której informacje spisane były w punktach. Szukał przez chwilę właściwej pozycji.

— Mięso sztucznie karmione — odczytał — zawiera mniej białka, a więcej wody. Kurczaki zapaskudzone hormonami. Szczepienie penicyliną może spowodować zaburzenia odporności na antybiotyki. . .

— O Boże, nie dość, że świństwo, to jeszcze w ogóle go nie ma. . .

— Słuchaj no, ja się nie mieszcę z rozdzielnią w warsztacie — powiedział wchodzący do pokoju Włodek. — Stefan się tam rozpycha. Przerzuć mnie do administracyjnego.

Posępnie przygnębiona Barbara rozpogodziła się natychmiast i odwróciła ku niemu.

— Właśnie chciałam ci to zaproponować, bo w tym warsztacie mam za dużo wszystkiego. Gdzie chcesz?

— Na parterze. Za dyżurką masz ścianę akurat dla mnie.

— Bardzo dobrze, pchniemy tylko grzejnik odrobinę dalej. Stefan się troszeczkę wydłuży. . .

Zgodnie pochylili się nad rysunkami, nanosząc na nie poprawki. Za ich plecami w mgnieniu oka rozgorzała dyskusja na mięsne tematy. Włodek słuchał jednym uchem, zwinął swój rulon i przyłączył się do rozważań.

— Mięso jest! — oznajmił grobowo. — W ogrodzie zoologicznym zwierzęta żrą. Takie duże kawały.

— Żałujesz im?! — oburzył się Lesio. — Zwierzęta żrą koninę!

— No to co? Konina to nie mięso? Koń szlachetniejsze zwierzę, niż świnia!

— Mnie konia szkoda — powiedział Karolek. — Wolałbym jeść świnię.

— A pies zeżre — wytknął Włodek. — Kto szlachetniejszy, ty czy pies?

— Pies, niewątpliwie.

— No to szakal! Hiena! Krokodyl!

— Nie żartuj! — zdziwił się Lesio. — Krokodylom dają mięso?

— A co im mają dawać? Rodzynki w czekoladzie?!

— Rodzynek w czekoladzie też nie ma. . .

— No dobrze, mogę być szlachetniejszy niż hiena albo krokodyl — zgodził się Karolek. — To co to ma do rzeczy?

— A to, że istota szlachetniejsza ma prawo żreć szlachetniejsze mięso. Jeżeli hiena żre koninę, możesz i ty!

— Czyście zgłupieli ostatecznie?! — zirytowała się Barbara. — Cóż to, marnują się nam tabuny koni, czy co?! Konina i konina, a gdzie wieprze i woły?! Barany, ostatecznie. . . !

Włodek uparł się przy swoim.

— Właśnie że mięso jest! Jak wam mówię, że jest, to jest! Tylko się je wykupuje. . .

— No to chyba po to powinno być. . . ?!

— Ale zależy jak i kto. Wykupuje ludność wiejska. Na własne oczy widziałem, jak w supersamie jedna baba przy pomocy dwóch innych bab kupiła najmarkniej dwieście kilo w drobnych kawałkach!

— Niemożliwe!

— Co znaczy niemożliwe, stałem tam jak pień i przyglądałem się im specjalnie! Półtorej godziny straciłem! Dwie stały w ogonku, a jedna pilnowała tej kupy ścierwa! Ludzie mówili, że to codziennie tak!

— Jeżeli ludność wiejska wykupuje mięso w miastach, to znaczy, że już wszystko stoi na głowie — zawyrokował posępnie Janusz. — Nie wiem, co będzie. I też uważam, że trzeba coś zrobić.

— Zacznijmy może od tego, co prostsze — zaproponował niepewnie Karolek.

— Co niby uważasz, że jest prostsze? Tu od wszystkiego można dostać kołowacizny!

— Te marchwie i sałaty. Poszukajmy marchwi. . .

— On ma rację — poparła Karolka Barbara. — Jeżeli znajdziemy leniwego chłopa, to już będzie jakiś początek. Najtrudniejszy jest pierwszy krok i nie ma co czekać miłosierdzia pańskiego! Jutro jest wolna sobota..

Propozycja została przyjęta przez akklamację i od razu zdecydowano, iż nie należy jechać razem, tylko rozproszyć się w różnych kierunkach, co wydatnie rozszerzy zasięg poszukiwań. Dokooptowano Stefana i ustalono trasy. Sobotni rano ujrzał trzy samochody, wyjeżdżające z miasta w trzy różne strony świata.

Zmierzający ku północy Janusz i Karolek dość szybko wyplątali się z ulic Śródmieścia i znaleźli na Marymoncie. Janusz okazał lekkie zdenerwowanie.

— Cholera — powiedział. — Nie wziąłem papierosów. Trzeba znaleźć jaki kiosk Ruchu. Uważaj na taki, przy którym można stanąć.

Karolek posłusznie zaczął uważać. Trzeci kolejny kiosk zaspokajał wymagania, zatrzymali się tuż za niebieskim volkswagenem, Janusz wysiadł i stanął na końcu wyjątkowo długiej kolejki.

Karolek przez chwilę siedział w samochodzie, bezmyślnie gapiąc się na stojący przed nim pojazd. Z pojazdu wysiadła nagle dama w sile wieku i podbiegła do ogonka pod kioskiem. Karolek zwrócił na nią uwagę tylko dlatego, że była w owej chwili jedynym elementem ruchomym w polu jego widzenia, w sekundę później jednakże już ją poznał. Była to ta sama dama, która toczyła dyskusję z panem w spożywczym sklepie. Dążąc za nią oczami Karolek ujrzał w ogonku także i eleganckiego pana. Bez namysłu wysiadł również.

Eleganckiego pana przedzielała od Janusza tylko jedna osoba. Karolek sam właściwie nie wiedział, czego chce. Nagle wybuchły w nim jakieś chęci, niejasne pragnienie pokazania Januszowi tych szalenie interesujących ludzi, mglista nadzieja usłyszenia czegoś nowego, zarazem, nie wiadomo dlaczego, zakwitło w nim przekonanie, że oni jadą do jakiegoś zaniedbanego chłopa, lub też innego

źródła nieszkodliwej żywności, dobrze byłoby zatem podążyć za nimi. Szybkim krokiem podszedł do Janusza, zbliżając się przy tym także do pary w sile wieku.

— Zostaw to! — mówiła właśnie dama złym głosem. — Niech szlag trafi kioski Ruchu! Kupię sobie papierosy w knajpie.

— A jak tam nie będzie? — spytał pan ostrzegawczo.

— To spróbuję gdzie indziej. Nie stój w tym ogniu! Potem się okaże, że przeze mnie jest późno!

— Jak chcesz — powiedział pan i opuścił kolejkę.

Karolek złapał Janusza za rękaw.

— Chodź, zostaw to! — zawołał szeptem. — Prędeż, jedźmy za nimi!

Zdumiony i zaskoczony Janusz wybiegł z kolejki i wpadł do samochodu. Wystartował za niebieskim volkswagenem i zreflektował się.

— Zgłupiałeś?! Volkswagena mam ganiać małym fiatem?! Kota masz, czy co?! O co ci chodzi?! Papierosów nie mam!

— Nic, nic, ona też nie ma — powiedział pośpiesznie Karolek, nie odrywając oczu od niebieskiego pojazdu przed nimi. — Może nie będą jechali bardzo szybko. To są właśnie ci, o których wam mówiłem, ci od artykułów spożywczych. Jestem pewien, że warto jechać za nimi!

— Po co? Skąd wiesz, gdzie oni jadą?

— Nie wiem, ale wydaje mi się, że też po marchew. . .

— Tyś chyba zgłupiał, na umysł ci padło! Cały świat szuka marchwi?! Papierosy chcę kupić!

— Ona też. Spróbuj, co ci zależy. . .

Volkswagen przed nimi na Marymoncie skręcił w lewo. Istotnie, nie jechał zbyt szybko, nie stracili go zatem z oczu. Kiosków Ruchu wkrótce zabrakło zupełnie. Janusz mamrotał pod nosem pełne irytacji inwektywy, Karolek z natężeniem patrzył przed siebie, a przekonanie o słuszności trzymania się znajomej pary rośło w nim gwałtownie. Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie szosy, na zagrody, wille, ogródki i pola uprawne. Otumaniony perswazjami Karolka Janusz również zaczynał już wierzyć, iż pogoń za niebieskim volkswagenem jest jedynym racjonalnym sposobem poszukiwania jadalnych warzyw.

Volkswagen odskoczył i znikł w oddali, po krótkiej chwili jednakże ujrzeli go znów. Stał po lewej stronie szosy.

— Są! — wykrzyknął z ulgą Karolek.

— Bar! — zawołał równocześnie Janusz z nie niniejszą ulgą. — Może otwarty, stoją, zdążę kupić papierosy.

Wchodząc do przydrożnego baru, minął jakieś dwie wychodzące osoby. W chwilę później wpadł za nim Karolek.

— Ty, odjeżdżają. . .!

— Odczep się! Nie mówiłem, że rzucam palenie! Jazda, zobacz, w którą stronę jadą!

Piaszczysta, polna droga, na której kłęby kurzu dobitnie świadczyły o przejeździe volkswagena, poprowadziła ich przez pola uprawne w kierunku lasu, potem przez las, potem zaś po prawej stronie ukazała się ogromna łąka, ze wszystkich stron otoczona puszczą. Na środku łąki manewrował niebieski pojazd. Skręcił, wjechał tyłem do niewielkiego zagajnika i zatrzymał się. Wsiadły z niego dwie osoby.

Po bardzo długiej chwili, poświęconej kontemplacji pejzażu i ocenie nawierzchni, upór Karolka zwyciężył. Pozostawiwszy samochód na poboczu, ruszyli na piechotę w kierunku zagajnika drogą ugniecioną w wilgotnej trawie. Janusz narzekał znękany głosem.

— Po jaką cholerę nas tu przyniosło? Przyjechali na łąkę, opalać się będą, albo co innego, co ma do tego marchew? Po jakiego diabła pchamy się za nimi?

— Może oni jeszcze coś zrobią — odparł Karolek z nieugiętym optymizmem.

— Możliwe, że zrobią, ale mnie się nie chce ich podglądać. Po mordzie można dostać, na co mi te kwiaty?

— Zglupiałeś? Jakie podglądać, na co nam to...?

— Toteż mówię...

— Ale nie, czekaj, już konsekwentnie. Ten facet naprawdę dużo wie. Tam, gdzieśmy skręcili, była wieś, może zna tę wieś, może coś doradzi, a w ogóle możemy go przecież zapytać zwyczajnie, wprost, jak ludzie.

— No może... Jechali tak, jakby znali drogę...

Kiedy dotarli do niebieskiego samochodu, jego użytkowników nie było już widać. Ogromna, piękna łąka rozciągała się jeszcze znacznie dalej, pusta, bezлюдna, gdzieśgdzie poprzerastana kępami zieleni. Pszczoły brzęczały, południowy żar lał się z nieba.

Janusz zaparł się na skraju zagajnika.

— I co teraz? Mam robić za Ducha Puszczy? Cholera wie, gdzie oni się podziiali! Nie idę dalej, gorąco jak piorun!

Karolek rozglądał się bezradnie po słonecznym pejzażu.

— Ty, popatrz, tam chyba rzeczka płynie — powiedział nagle z ożywieniem. — Tam gdzie te drzewa, zawsze tak rosną nad wodą. Moglibyśmy się przy okazji wykąpać, możliwe, że tu jest nawet czysta woda!

Zjawisko tak niezwykle jak czysta woda w rzeczce zainteresowało Janusza. Wylazł z zagajnika i ruszył za Karolkiem. Panująca wokół cisza pozwoliła im usłyszeć dobiegający zza drzew dźwięk klepania kosy.

— Rany, co za miejsce! — westchnął ze wzruszeniem Karolek. — Czegoś takiego już w ogóle na świecie nie ma!

— W puszczy jesteśmy — zwrócił mu uwagę Janusz. — Na ile mi się udało zorientować, to to jest Puszcza Kampinoska...

Dotarli do desek, pełniących obowiązki mostku i ujrzeli płynącą pod nimi strugę. Czysta jak kryształ woda szemrała i pluskała zachęcająco. Oczarowani

tym widokiem dopiero po dłuższej chwili dostrzegli za strugą następną wielką łąkę, na łące zaś poruszające się dwie osoby różnej płci. Jedna z tych osób kosiła trawę, druga opodal przewracała ją widłami.

— Niech ja pierzem porosnę, ty, to oni! — wykrzyknął ze śmiertelnym zdumieniem Janusz.

Rozpromieniony Karolek przyświadczył. Intrygująca niezwykłość pracy, jakiej oddali się eleganccy państwo w sile wieku, wydatnie zwiększyła w nim pragnienie bezpośredniego kontaktu. Nie ulegało wątpliwości, iż tak ścisły związek z przyrodą musiał mieć jakieś znaczenie. Wyrzekł się kąpieli, odsunął ją na później z nie zważając już na Janusza, wielkimi krokami ruszył w głąb łąki...

Włodek i Barbara ominęli lasy Kabackie i udali się w okolice Piaseczna, Włodek bowiem natychmiast po wyjeździe z Warszawy przypomniał sobie, że ma tam daleką rodzinę. Rodzina jest wprawdzie miejska, ale odziedziczyła jakieś grunta i coś na tych gruntach robi. Może stanowić punkt zaczepienia.

— Nie pamiętam, jak się ta wieś nazywa, ale pamiętam drogę — tłumaczył Barbarze. — Raz byłem i zapamiętałem jak się jedzie, bo wiozłem kuzynkę z dzieckiem. Ona temu dziecku opowiadała, co widzi. O, mówiła, patrz jakie krzywe drzewo, patrz jaki duży kamień i tak dalej. Jemioły tam rosły.

— No to co, że jemioły?

— Nic, zapamiętałem tylko ten widok. Jemioła jest jednym z najpiękniejszych pasożytów. Możemy sobie zerwać. To nawet lepiej dla drzewa, bo jemioła je niszczy.

— To potem, jak załatwimy interesy.

— Zaraz skręcimy. Krzywe drzewo, słupek, po lewej stronie będzie taki gąszcz i potem w prawo powinna być droga. Na rozwidleniu dalej są właśnie te jemioły.

Krzywych drzew było kilka, słupki drogowe stały co sto metrów, gąszcze po lewej stronie rosły w obfitości, na jemioły panował nadzwyczajny urodzaj, a liczne drogi gruntowe stwarzały wielkie możliwości wyboru. Nawet rozwidlenia istniały, a pomimo to okolica okazała się nie ta. W charakterze przeszkody występowało bajoro nieodgadnionej głębokości i trzeba było zawracać, lub też droga wiodła wprost w orne pole i należało się wycofywać.

Mniej więcej po godzinie stało się jasne, że Włodek zabłądził beznadziejnie i całkowicie. Drogi, rozwidlenia i jemioły podobne były do siebie jak dwie krople wody i odnalezienie posiadłości dalekich krewnych zaczęło stawać się zadaniem niewykonalnym. Nawierzchnia pokonywanych tras oblewała strumieniami potu czoło kierowcy, upał rósł, ponadto w penetrowanych miejscowościach coś straszliwie śmierdziało. Trzeba było podkręcić szyby, co podniosło temperaturę panującą w samochodzie.

— Szlag mnie trafi za pięć minut — oznajmiła Barbara z narastającą wściekłością. — Czy nie możesz spytać kogoś o nich? Ludzie na wsiach się znają!

— Kiedy nie wiem, jak oni się nazywają. O cholera... Nie widziałem tego kamienia...

— Uważaj, dół z lewej! Jak to nie wiesz, przecież to twoi krewni!

— Ale oni tę ziemię odziedziczyli.

— No to co?

— A to, że odziedziczył mąż mojej kuzynki, a to jest ziemia po przodkach jego matki i ludzie mogą znać nazwisko tych przodków. Cholera wie jakie. To jest nazwisko panięskie jego matki.

— Jego nazwisko też już mogą znać. Spytaj kogoś, albo jedźmy gdzie indziej! Nie czujesz, jak tu śmierdzi?!

— Czuję i właśnie się dziwię. Co tu jest takiego, w tych wsiach? Garbarnie mają, czy co?

— Wszystko jedno co mają, ale to jest nie do zniesienia! Zawróć na szosę! W takich śmierdzących wsiach niczego nie będę załatwiać za skarby świata!

— O zawróceniu nie ma mowy. Drugi raz po tej drodze nie przejeżdżam, nie wiem, jakim cudem przejechałem w tę stronę. Musimy próbować dalej.

— Ratunku — powiedziała jakimś dziwnym głosem Barbara, wpatrzona w perspektywę polnej drogi, której jedna strona wznosiła się o metr wyżej niż druga, środek miał porośniętą trawą wybrzuszenie, a całość urozmaiconą była niewielkimi, ale za to głębokimi dołkami. Dalej widniały grunta orne, a jeszcze dalej las.

Jadąc ugniecionym skrajem kartofliska, Włodek udzielił informacji.

— To się nazywa wygarbienia w poprzek drogi — rzekł przerywanym głosem i przygryzł sobie język.

— To się nazywa pralka — skorygowała Barbara przez zaciśnięte zęby. — Lepiej było przez łąkę. Jedziesz prostopadłe do redlin.

— Toteż dlatego tak trzęsie. Nic straconego, dalej jest wyłącznie łąka. Ten samochód mi się rozleci.

— Też tak uważam. Zwolnij może...

Przejechawszy przez łąkę i sad, Włodek z wielkim wysiłkiem wy dostał się na drogę odgrodzoną głębokim rowem. Barbara przed rowem wysiadła, raz tylko zgrzytnąwszy zębami.

— Kategoriecznie żądam, żebyś odjechał z tej okolicy do wszystkich diabłów — powiedziała z furją, wsiadając z powrotem. — Śmierdzi coraz więcej, tu musi panować jakaś zaraza. Wyjedźmy stąd!

— Chętnie, tylko nie wiem jak. Sama widzisz, że te drogi jakoś dziwnie prowadzą...

Kiedy po następnej godzinie usilnych starań znaleźli się prawie w tym samym miejscu, na tej samej drodze obok sadu, śmiertelnie znękany Włodek zatrzymał

samochód. Bez większej emocji pomyślał, że zostanie tu już na zawsze. Cięży na nim klątwa, nadprzyrodzona siła trzyma go w zaklętym kręgu śmierdzących wsi i nigdy w życiu nie pozwoli się zeń wydostać. Przymknął oczy i z rezygnacją oczekiwał dużych uszkodzeń cielesnych z rąk bliskiej szaleństwa Barbary.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic. Potem nagle usłyszał obok siebie zduszony, syczący szept.

— Ktoś idzie. Jakaś baba. Spytaj ją, o co chcesz. Spytaj ją, bo cię ugryzę... !!!

Groźba zabrzmiała tak, że Włodek, nie otwierając oczu, czym prędzej wysiadł z samochodu i oparł się o maskę. Od strony ostatnich zabudowań nadchodziła jakaś osoba, zmierzająca ku drodze. Włodek na moment uchylił powieki, dojrzał ją pod słońce i znów je zacisnął. Przez głowę przemknęła mu pełna krwawego sarkazmu myśl, żeby może spytać ją, ile jest dwa razy siedem. Osoba dotarła do drogi.

Nie zdążył zrealizować samobójczej myśli, ponieważ osoba odezwała się pierwsza.

— Włodek! — krzyknęła ze zdumieniem. — A ty co tu robisz? Włodek gwałtownie otworzył oczy i poznał swoją poszukiwaną kuzynkę. Ciężar tysiąca kamieni młyńskich z hurgotem zleciał mu z serca, pienia anielskie zabrzmiały mu w duszy, uleciał w przestworza paniczny lęk przed rozwścieczoną Barbarą. Klątwa straciła moc.

— No proszę! — wykrzyknął z ulgą. — A jednak trafiłem!

— Gdzie trafiłeś? — zainteresowała się kuzynka.

— Jak to gdzie, do tej wsi, w której macie ziemię. To przecież tutaj, nie?

— Tu mamy ziemię? Pierwsze słyszę. Coś ci się chyba pomieszało, nasza wieś jest o trzy wsie dalej. Ale dobrze, że cię spotykam, podrzucisz mnie, bo inaczej musiałabym lecieć piechotą. Przyszłam tu zakontraktować gnój pod pieczarki i mam po dziurki w nosie spacerów.

Nic już nie mówiąc, Włodek wpuścił kuzynkę do samochodu. Kuzynka kazała zawrócić. Barbara odetchnęła głęboko kilka razy.

— Czy pani może mi powiedzieć, co tu tak potwornie śmierdzi? — spytała, z wysiłkiem tłumiąc uczucia i starając się, żeby pytanie nie zabrzmiało zbyt nietaktownie. — Czy to może ten gnój?

Kuzynka Włodka poruszyła się żywo.

— Ale co też pani, jaki gnój?! To znaczy gnój, owszem, tyle że nietypowy. To skóry.

— Garbarnie — wtrącił Włodek, spragniony rehabilitacji. — Dobrze zgadłem.

— Garbarnie! Ha, ha! Akurat wręcz przeciwnie! Skóry gniją na śmietnikach dookoła każdej wsi. W prawo teraz i nie gap się na mnie, bo tu są doły! W prawo, mówię!

Zwrotność małego fiata pozwoliła ominąć drzewo, zmieścić się przed parkanem i wrócić na drogę. Wytrącony z równowagi Włodek musiał poświęcić się czynnościom kierowcy, zaskoczona Barbara podjęła temat.

— Jak to, skóry gniją? Dlaczego? Jakie skóry?

— I za kapliczką znów w prawo — powiedziała kuzynka. — Nie przed, tylko za, o rany, czy ja mówię po chińsku? Chłopi wyrzucają skóry na śmietniki, z tym że nie na własne, tylko byle gdzie dookoła wsi. Dużo tego, więc gniją na potęgę, szczególnie w upale.

— A co powoduje ten niezwykły proceder? — spytał ostrożnie Włodek. — Skąd biorą te skóry? Z wrogów?

— Z nielegalnego uboju. To cielęce. Mięso sprzedadzą, wątpia dadzą świniom do zeżarcia, a skóry wyrzucają za stodołę sąsiada i już nie ma śladu. Ile tu się tych skór marnuje, to wy sobie nawet wyobrazić nie potraficie, niby każdy o tym wie, ale to trzeba zobaczyć. Cały kraj dałoby się wytapetować skórami, cały naród ubrać w płaszczyki, kilometry kwadratowe cielęcych skór! I nie ma na to siły, chyba żeby ludzie przestali cielęcinę kupować. Teraz w lewo dokituj trochę, bo tu piach, ale mały kawałek. Rozpędem przejedziesz.

Włodek, zamiast przyśpieszyć, zahamował. Pobladłe oblicze obrócił do kuzynki i milczał. Barbara ze świstem wciągnęła oddech.

— Więc to tak wygląda — rzekła głucho. — Nie mogę, to za wiele dla mnie. A płaszcze jeżdżą kupować do Turcji. Już nie wspomnę o meblach. Nie mogę, mnie się coś robi.

Włodek odzyskał mowę.

— Zejdziemy na psy — oznajmił głosem proroczym. — Jeżeli dzieje się coś takiego i w takim zakresie, na psy zejść po prostu musimy.

— Owszem — zgodziła się kuzynka. — Ale teraz musisz się cofnąć, żeby nabrać rozpędu. I zaraz za piaskiem w prawo, będzie lepsza droga. . .

Dążący w trzecim penetrowanym kierunku Stefan zreflektował się zaraz za Radzyminem.

— Chyba zgłupiałem — powiedział z irytacją, zwalniając. — Gdzie mnie diabli niosą, nikt przecież nie będzie jeździł po marchew na ruską granicę! Bliżej trzeba popatrzeć. A ty też jesteś dobry, siedzisz jak pień!

— Nic po drodze nie było — odparł trochę niepewnie wyrwany z zamyślenia Lesio.

— A kto powiedział, że mamy szukać przy drodze? Przeciwnie, w oddaleniu od drogi! Czekaj, zawrócę i pojedziemy gdzie w bok. Uważaj co rośnie.

Świadom, iż przez dwadzieścia kilometrów zaniedbywał nieco sprawę, Lesio pilnie jął się wpatrywać w pejzaż za oknem, chciwie wyczekując chwili oddalenia się od zabudowań miejskich. Doczekał się wreszcie.

— Kartofle — zaraportował. — Wąsko, ale to za daleko. Kapusta. Nic nie rośnie, to znaczy trawa. Chyba trawa, nie? Ty, to ugór?

— Łąka — mruknął Stefan, odrywając na chwilę wzrok od nawierzchni, składającej się głównie z urozmaiconych dziur. — Piękna łąka, ciekawe, dlaczego nie koszą. . .

— Jakies zboże — meldował dalej Lesio. — Nie żyto. Pewnie owies.

— Jęczmień.

— Możliwe. Po czym poznajesz?

— Po wyglądzie.

— A. . . Znów kartofle. Znów łąka. Dużo tej łąki. I coś w niej. . . Koniczyna!

— Cholera, czego to wszystko nie skoszone? Już najwyższy czas, a pogoda jak dzwon. Taka piękna łąka. . .

— Teraz chyba żyto. Dużo żyta. Żyto, żyto, żyto. . .

— Uspokój się już z tym żytem, mów jak będą warzywa!

— Nie ma warzyw. Łąka. Kartofle. O, jest kapusta! I zdaje się, że wieś. Szklarnie!

— Szklarnie do bani. Na handel hodują.

— A w ogóle stąd widać, że w tych szklarniach same kwiaty. Niemożliwe, żeby marchew albo pietruszka tak kolorowo kwitły. Ogródki widzę. Też kwiaty. . .

— To na nic — zawyrokował Stefan, zatrzymując się na skraju wsi.

— W ten sposób chałę znajdziemy. Trzeba się zapytać, ludzie o sobie wszystko wiedzą. Czekaj, cofnę trochę.

Pierwszy dom za nimi zamknięty był na głucho, nawet pies koło niego nie szczekał. Drugi, bliźniaczo podobny, miał otwarte okna. Lesio i Stefan wysiedli i za budynkiem, na gospodarczym podwórzu, znaleźli osobnika myjącego samochód. Nagabnięty o marchew osobnik długą chwilę patrzył na nich zdumionym wzrokiem, po czym zmarszczył brwi i popadł w zamyślenie.

— No, czy ja wiem. . . — rzekł wreszcie z wyraźną niechęcią i zakłopotaniem. — Kto tu może mieć. . . ? Na sprzedaż to już na pewno nikt. Chyba że magister. . . A w ogóle na co wam to, przecież w sklepach można kupić?

— Może i można, ale my chcemy z ogrodu — uparł się Stefan.

— Co za magister?

— A, jedna taka. Pani magister po wyższej szkole. Rolniczej, znaczy się. Konie trzyma, ale słyszałem, że podobno coś siała. Dokładnie nie wiem.

— Jak do niej dojechać?

— Pan skręci koło tego wielkiego drzewa za sklepem. . . Wie pan, gdzie sklep?

— Wiem. Zauważyłem.

— No, to tam. Skręcić, kawałek prosto i na lewo za drzewami widać komin na dachu. To jej. Ale dojechać się tędy nie da, trzeba dookoła, dalej w prawo, do drugiej drogi i dopiero tą drogą. Na lewo. Ale czy ona co ma, to ja tego na pewno nie wiem.

— Nie szkodzi. Dziękujemy. . .

— Magister, po szkole rolniczej — zaczął półgłosem Lesio, wracając do samochodu. — To jest coś! Chyba uprawia racjonalnie, nie?

— W każdym razie powinna wiedzieć o co chodzi. Czekać, duże drzewo, to tu. O, niech to piorun strzeli, on uważał, że to jest droga?

— Nie, on mówił, że to nie jest droga, to jest dojazd do drogi. Droga ma być dalej. Może ja wysiądę, bez obciążenia jakoś przejedziesz. Widzę drzewa, tam powinien być komin.

— Dobra, spływaj. Gdybyśmy się pogubili, wróć do tego zakrętu. Beztrosko machnąwszy ręką, Lesio wysiadł i udał się w kierunku drzew, oglądając się jeszcze dwa razy na ruszającego ostrożnie Stefana. Po kilkunastu krokach obejrzał się trzeci raz, z przeczności, żeby na wszelki wypadek zapamiętać miejsce ewentualnego spotkania.

Drzewa były blisko, za nimi zaś istotnie ukazał się komin, wyrastający z zieleni. Lesio podążył w jego kierunku miedzą pomiędzy zagonami kartofli i łanem koniczyny, następnie zaś obok czegoś, co wydało mu się nader bujną, bardzo urozmaiconą i trochę nietypową łąką. Następnie ujrzał przed sobą coś jakby obszerny plac, porządnie udeptany, ogrodzony poziomymi żerdziami. Plac przytykał do tyłów widocznych wśród zarośli budynków.

Ogrodzenie z żerdzi ciągnęło się daleko w prawo i w lewo, Lesio trafił na nie w samym środku. Przez chwilę wahał się, czy nie obejść go dookoła, ale po krótkim namyśle uznał, że nie warto. Musiałby iść w poprzek przez te kartofle, albo przedzierać się przez ową bujnie wyrosłą, nietypową łąkę. Znacznie wygodniej było przeleźć po prostu na drugą stronę żerdzi i iść najkrótszą drogą środkiem placu. Żerdzie sięgały mu prawie do podbródka, wydawały się dość cienkie, zdecydował się zatem przedostać pomiędzy nimi. Wyszukał miejsce, gdzie leżały rzadziej i wcisnął pod drugą od góry.

Przestrzeń pomiędzy żerdziami okazała się jednakże niedostateczna i plecy zgiętego w kabłąk Lesia uniosły do góry cienki i lekki drąg, który wyskoczył ze swojego zamocowania i wpadł w kartofle. Przestraszony tym Lesio drgnął, wyprostował się gwałtownie i głową zrzucił drugi drąg. Oba upadły na zewnątrz, podczas gdy Lesio znajdował się już w środku. Zaniepokojony niezamierzoną dewastacją, zbliżył się do słupka i obejrzał sposób zamocowania żerdzi z zamiarem naprawienia szkody. Stwierdził, iż leżały luzem, oparte na wielkich, zgiętych ku górze gwoździach, czy może hakach, skrzywił się z niesmakiem na widok takiego prymitywu i już uczynił ruch, żeby przeleźć po nie z powrotem, kiedy nagle za plecami usłyszał niezwykle, niepokojący odgłos. Tętent kopyt. Grzmiący, narastający, zbliżający się tętent kopyt. Zaskoczony, odwrócił się i zdrewniał.

Prosto na niego pędził koń. Pędził przez plac galopem, z rozwianą grzywą, rozdętymi chrapami i błyskającym dziko okiem. Mało, za tym jednym koniem pędził drugi. W kącie placu, pod drzewem znajdował się jeszcze i trzeci, ale

ten nie pędził, Lesio zatem nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Osłupiałym wzrokiem, ze zgrozą i bez tchu wpatrywał się w tego pierwszego, w głowie zaś z trzaskiem eksplodowały mu wprawdzie migawkowo, ale za to bardzo wyraźnie przypomnienia najrozmaitszych opisów stratowania żywych istot przez rozszalałe tabuny dzikich bestii. Zdążył nawet uświadomić sobie, iż owymi bestiami na ogół bywały bizona, nie był jednakże pewien, czy nie zdarzały się i konie...

Nie uczynił najmniejszego ruchu, ponieważ skamieniał gruntownie. Usiłował zacisnąć powieki, ale i to mu się nie udało. Szeroko otwartymi oczami wpatrzony w nadlatującą pewną śmierć, bez najmniejszych trudności obejrzał sobie piękny, swobodny, lekki skok przez przeszkodę, najpierw jeden, a zaraz potem drugi. Oba pędzące konie, lekceważąc go całkowicie, z wyraźnym zadowoleniem wykorzystwały otwartą nagle drogę, przesadziły obniżone o dwie żerdzie ogrodzenie i wpadły wprost na zarośniętą łąkę. Tam przyhamowały swój pęd i najspokojniej w świecie zaczęły się pożywiać, oddalone nie bardziej niż o pięć metrów.

Lesio odzyskał przyrodzone zdolności. Zaczerpał głęboko powietrza, na co był już najwyższy czas i poruszył się, niepewny, co powinien teraz uczynić. Nie zdążył podjąć żadnej decyzji, bo w tym samym momencie trzeci koń postanowił pójść w ślady dwóch pierwszych. Kolejny tętent unieruchomił Lesia ponownie, trzeci koń podbiegł do ogrodzenia kurcgalopkiem, przeskoczył i wybrał sobie kartoflisko, tratując redliny i z zapalem obgryzając zieloną nać.

Na ten widok Lesiowi zrobiło się gorąco. Gdzieś w zakamarkach świadomości tkwiło mu przekonanie, iż konie na łące nie rażą nikogo, mają prawo tam przebywać, nawet powinny paść się na łące, konie w kartoflach natomiast są niedopuszczalne. Są to konie w szkodzie. On sam, osobiście, wypuścił z zamkniętego terenu konie w szkodę. W kartoflach jest wprawdzie tylko jeden, ale ten jeden odwała robotę za cały tabun...

Wciąż jeszcze wstrząśnięty i nieco otumaniony, pragnąc za wszelką cenę ukryć swój karygodny czyn, przełazi czym prędzej na zewnątrz, podniósł żerdzie i wepchnął je na poprzednie miejsce, po czym rezygnując z prostej i łatwej drogi, chyłkiem pomknął wzdłuż ogrodzenia w kierunku, z którego gdzieś tam, za budynkami, powinien był nadjechać Stefan. Pomykanie było mało zręczne i raczej niemrawe, utrudniały je bowiem wysokie rośliny i rozmaite pułapki, ukryte w gęstym zielsku. Kiedy przy narożniku ogrodzenia oglądał się ostatni raz, jeden z dwóch koni z łąki również przełazi w kartofle i wziął udział w dziele zniszczenia.

Nadjeżdżający powoli równą i gładką drogą Stefan już z daleka ujrzał machającego rękami Lesia i zdziwił się bardzo, że jednak się nie pogubili. Od chwili rozstania gnębiły go złe przeczucia, które, przygasłszy na krótką chwilę, natychmiast rozkwitły na nowo. Lesio całym sobą okazywał wielkie wzburzenie. Na wszelki wypadek Stefan przyhamował od razu i po kilku sekundach brudny, zakurzony i niezmiernie zdenerwowany Lesio wsiadł do samochodu.

— Zawracaj! — wychrypiał. — Cofnij się! Schowajmy się gdzieś, później tu przyjedziemy, rozumiesz, że niby nas tu jeszcze nie było. . .

Stefan odczuł drgnienie ulgi na myśl, że coś złego, czego oczekiwał, musiało już się wydarzyć i przynajmniej przestanie go dręczyć niepewność. Zarazem wybuchł w nim niepokój. Nie tracąc czasu na manewr zawracania, ostro ruszył w tył na wstecznym biegu.

— Cóżś zrobił, pawianie?! — spytał niecierpliwie. — Gadaj od razu, niech wiem, co będzie!

— Nikt nie wie, co będzie. Wypuściłem konie.

— Co?

— Wypuściłem konie, mówię przecież. W szkodę.

— Jakie konie?!

— Nie wiem jakie. Duże. Kasztanowate. Skaczą i mają w sobie strasznie dużo życia.

Stefan zatrzymał samochód za kępą drzew, osłaniającą ich od strony zabudowań i odwrócił się od Lesia.

— Czyś zwariował?! Skąd ci się wzięły konie?! Po cholere je wypuszczałeś?! Kota masz, czy co?!

Ciągle jeszcze nieswój, ale już nieco mniej zdenerwowany Lesio opisał Stefanowi wydarzenie. Obaj przypomnieli sobie uwagę informatora z pudełkowej willi o utrzymaniu koni przez panią magister. Lesio westchnął melancholijnie i zamilkł, Stefan ocenił sytuację.

— No tak, to faktycznie lepiej było chwilowo odcumować. Możemy trochę poczekać, połapią te konie, zamkną, pokażemy się później i nie będzie podejrzeń. Czekaj no! Zaraz. . . Coś ty mówił? Tyś te żerdzie położył z powrotem?

Lesio potwierdził gestem. Stefan chciał załamać rękę i o mało sobie nie zwichnął palca o kierownicę.

— Jołopie boży, co ci do łba wpadło?! Trzeba było zostawić! Zgadliby, że konie same zrzuciły, a tak co? Kto uwierzy, że same założyły z powrotem?! Teraz już muszą mieć podejrzenia, młode kartofle stratowane, będą szukać sprawcy! Żebyś skisł!

— Ale jeżeli odjedziemy nieznacznie, a potem przyjedziemy wyraźnie, na nas nie padnie. Będą szukać takiego, co tu był.

— Jak mam odjechać nieznacznie?! Przypłaszczyc samochód?!

— No to schowaj go chociaż bardziej w te krzaki. Cofnij jeszcze trochę.

Zirytowany wyglupem Lesia Stefan cofnął nieco, wjeżdżając głębiej w zarośla i wpadł jednym tylnym kołem w jakiś głęboki, wąski dół. Próby unoszenia samochodu wypadły mizernie, gęste gałązki bowiem ograniczały swobodę ruchów, dół trzeba było rozkopać, siedząc nad nim w kucki. Kiedy wreszcie wydobyli się z pułapki, czas niezbędnego oczekiwania został już dawno przekroczony.

— Gdybym miał przedni napęd, wyjechałbym ze śpiewem na ustach — rzekł rozgoryczony Stefan, ocierając pot z czoła. — Wsiadaj, możemy podjeżdżać. Do tej pory zdążyli już chyba znaleźć dziesięciu sprawców.

Brama na podwórze pani magister była szeroko otwarta, ale na wszelki wypadek nie zaryzykowali wjeżdżania do środka. Zostawili samochód przed nią i weszli piechotą. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła im się w oczy, była olbrzymia ilość kogutów o wyjątkowo efektownym upierzeniu. Wspaniałe, dumnie wygięte w górę, ciemnozielone ogony lśniły w słońcu blaskiem klejnotów. Płaczące się między nimi kury tej samej rasy, białe z ciemnozielonym kuperkiem, stawały się przy tych wspaniałościach prawie niezauważalne. Lesio zagapił się na ten niezwykle piękny widok od razu, Stefan spojrzął raz z roztargnieniem, potem spojrzął ponownie, a potem wpatrzył się również z wyteżonym zdumieniem.

— Co to może być? — powiedział zaintrygowany. Lesio zdziwił się jego niewiedzą.

— Jak to co? Drób. Koguty i kury.

— To widzę. Ale ciekaw jestem, po jakiego diabła tyle tych kogutów. Coś chyba z nimi robią...?

— A co? — zainteresował się Lesio. — Za dużo?

— No głupi jesteś, czy jak? Do tych kur, co tu widzę, jeden by wystarczył! Góra dwa! A jest ich najmarniej ze czterdzieści! Na pioruna im tyle, do czego to może być? Pióra...?

Lesia problem zaciekał nadzwyczajnie.

— Nie powiem, żebym się specjalnie znał na kogutach jako takich, ale na oko sądząc, musi chodzić o pióra. Te z ogonów chyba, nie? Może robią wachlarze, albo ozdoby do kapeluszy?

— Może to w ogóle na eksport — wysunął przypuszczenie Stefan, przy czym w tonie jego pojawił się odcień szacunku. — U nas wachlarze są mało w użyciu, ale w takiej Hiszpanii na przykład... .

— To i w Ameryce Południowej. Ciekawe, czy wysyłają surowiec, czy gotowy produkt... .

Stefan zawahał się nieco.

— Ale znów na eksport to byłoby za mało. Na eksport, to taka ferma na dwa tysiące sztuk, a nie czterdzieści. Diabli wiedzą... .

Lesio podniósł z ziemi lśniące zielone pióro, wygięte pięknym, szlachetnym łukiem. Pokazał je Stefanowi, obracając w palcach.

— Popatrz, fenomenalne. Cuda z tego można zrobić!

— To czegoż tak się poniewierają? Rozejrzyj się, pełno leży. Wygląda, jakby nikt tego nie zbierał.

Rozejrzeli się z większą uwagą. Poniewierających się piór leżało mnóstwo, prawie wszystkie były brudne i podeptane, z rzadka błyskało wśród nich nowe i lśniące. Marnotrawstwo eksportowego surowca wydawało się niepojęte. Sposób

użytkowania kogutów był widocznie jakiś inny, dla nich nieodgadniony. Snując rozmaite hipotezy i mobilizując całą swoją wiedzę o drobiu, gapili się na ruchliwe, kolorowe ptactwo aż do chwili, kiedy na podwórzu pojawiła się pani z dzieckiem na ręku. Pani była dość młoda, wysoka i dorodna, ale mocno zaniedbana. Proste strąki włosów wymykały jej się z koka związanego gumką, ręce miała czarne, na bosych nogach bardzo podarte i bardzo brudne tenisówki, ubrana była w bluzkę pozbawioną guzików i spiętą dużą agrafką oraz w spodnie do konnej jazdy bez sznurowadeł. Zbliżała się energicznym krokiem.

— Panowie do tryka? — spytała donośnym głosem. — Heniuś!!!

Zanim Stefan i Lesio zdążyli coś odpowiedzieć, odwróciła się i machnęła dzieckiem gdzieś w głąb podwórza. Stały tam obok siebie pod dużym drzewem dwa pojazdy, z których każdy robił wrażenie niekompletnego. Było to coś jakby pół traktora i pół syreny. Zafascynowani poprzednio kogutami Lesio i Stefan nie zwrócili na nie uwagi, teraz jednak przyjrzeni się im z nowym zainteresowaniem. Spomiędzy nich wylazł facet, tak umazany smarami, iż prawdziwe jego oblicze było nierozpoznawalne. Niewątpliwie zajmował się mechaniką, nie sposób jednak było odgadnąć, czy z resztek syreny produkuje traktor, czy z resztek traktora syrenę. Obie ewentualności wydawały się jednakowo prawdopodobne.

— Do tryka!!! — zagrzmiała pani.

Umazany smarami facet kiwnął głową i zawrócił ku syrenie.

— NIE do tryka!!! — ryknął Stefan z wielkim naciskiem. — My do pani magister!

Pani z dzieckiem obejrzała się na niego.

— To ja. Nie do tryka? Heniuś! NIE do tryka! Słucham panów...?

Niewidoczny pod mazidłem Heniuś znów kiwnął głową i znikł pomiędzy pojazdami. Z jakichś tajemniczych przyczyn Stefan przypomniał sobie nagle zwierzenia naczelnego inżyniera. Naczelnny inżynier niejednokrotnie wyjawiał mu w zaufaniu, iż pada ofiarą osobliwego zjawiska. Ilekroć przebywa dłużej w towarzystwie Lesia, robi mu się coś takiego, że przestaje panować nad swoim umysłem i charakterem. Przestaje mieć wpływ nie tylko na swoje czyny i słowa, ale nawet na myśli i fakt ten napełnia go żywym niepokojem. Przypomnienie sprawiło, iż Stefan poczuł lekki dreszcz na plecach i jakiś dziwny war w sobie. Potrząsnął głową i zebrał siłę ducha.

— My po marchew! — oznajmił gromko. — Pani siała!

Pani magister okazała odrobinę zdziwienia.

— Siałam? No owszem, siałam... No, oczywiście, że siałam! A co...? Stefan postanowił się nie dać. Obejrzał się na Lesia, który wciąż łypał okiem na zielone koguty, ujął pod łokieć panią magister i odprowadził ją dalej, nie bacząc na kierunek, byle tylko oddzielić się od Lesia chociaż kawałkiem przestrzeni. Lesio po chwili ruszył za nim, ale koguty fascynowały go nieprzerwanie, nim zatem

zdążył się zbliżyć, Stefan w krótkich słowach wyniszczył problem. Pani magister zrozumiała go błyskawicznie.

— Ach, o to chodzi? O. nie wiem, czy panowie coś osiągną, to nie jest prosta sprawa. Marchew, zresztą nie tylko marchew, w ogóle warzywa, wcale nie chcą rosnąć bez nawozów sztucznych. Wszyscy nawożą. Inaczej, proszę bardzo, może pan zobaczyć, ja mam właśnie marchew na oborniku, nic z niej nie będzie. Właściwie siałam bardziej dla koni, niż dla siebie, konie zjedzą, ale jeśli pan sobie coś wybierze, proszę bardzo, mogę sprzedać.

— Właśnie — powiedział Stefan z zimną krwią. — Słyszeliśmy, że podobno ma pani konie.

— A owszem, mam. Hoduję.

Lesio już się zbliżył. Ciągłe korciły go te zielone, połyskujące pióra. Uwagi o koniach, która замуrowałaby mu usta, nie dosłyszał i nic mu nie przeszkadzało się wtrącić.

— Jakie piękne koguty! — powiedział ze szczerym zachwytem. — Co za upierzenie!

— A tak — przyznała pani magister. — Ładna rasa, ale mało nośna. Stefan ugryzł się w język, Lesio nie zdążył.

— Koguty...? — wyrwało mu się niepewnie.

— Koguty? Skąd! Kury. To znaczy kury się też nie niosą. Jeżeli panów interesuje marchew, to proszę bardzo.

Nie odzywając się, bo w umysłach ich zaległy się dwa rodzaje jakiegoś dziwnego oszołomienia, przeszli za panią magister na drugą stronę domu i trafili wprost na ów wybieg ogrodzony żerdziami. Pani magister otworzyła furtkę.

— Marchew jest tam — powiedziała, machnąwszy dzieckiem gdzieś w dal. — Zaraz za paddokiem. Tu są konie, ale niech się panowie... Wielki Boże! A to co?

Koni na paddoku nie było. Porzuciły już zarówno kartofle, jak i nietypową łąkę i pasły się wszystkie trzy w koniczynie, w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów. Lesiowi zrobiło się słabo, Stefan poczuł uderzenie krwi do głowy i mignęła mu myśl o apopleksji. Pani magister objawiła lekkie zakłopotanie.

— Coś takiego! — rzekła, dążąc przez wybieg. — Jak one wyszły? Przeskoczyły chyba? Znów będą mieli do mnie pretensje, co za nieprzyjemni ludzie tu mieszkają dookoła, to panowie nie mają Pojęcia. Trzeba je połapać. O, stratowały ziemniaki... Ale tylko trochę. Proszę, to jest moja marchew, niech pan sam zobaczy, jaka marna.

Stojąc tuż przy żerdziach, wskazała ów łąn, który Lesio wziął za skomplikowaną łąkę. Czując narastające oszołomienie, Stefan przyjrzał się temu pilniej i wśród przepyszenie wybujających pokrzyw, ostu, piołunu, rumianku, lebiody, perzu i innych podobnych im roślin dostrzegł gdzieś odrobinę pierzastej naci. Z mimowolnym podziwem pomyślał, jak doskonale rośnie zielsko na oborniku.

— Może by to trzeba wypielić — zauważył cierpko.

— Może i trzeba, ale któżby to pieliał? Czy ja mam na to czas? A nająć nie ma kogo, takie sumy każą sobie płacić, że to ludzkie pojęcie przechodzi. Panowie mi pomogą połapać konie?

Ciężko spłoszony Lesio milczał jak głaz. Stefan próbował coś powiedzieć, ale struny głosowe odmówiły mu usług. Spojrzał na stratowane, niemniej przyzwoicie wypielone i okopane kartofle. Odchrząknął.

— A te ziemniaki? — spytał nieco ochryple.

— To nie moje — odparła krótko pani magister i zdecydowała za nich. — Panowie mi pomogą połapać konie. Tamta koniczyna też nie moja i zaraz się ktoś przyczepi. Pan zdejmie dwie żerdzie. Wy pójdziecie z tamtej strony, a ja z tej, trzeba je zająć od tyłu. Hola, hola, Celinka...!

Ani Stefan, ani tym bardziej Lesio nie czuli się zdolni do protestów. Nie czuli się zdolni w ogóle do niczego. Z wielkim wysiłkiem, przemagając jakiś okropny bezwład, Lesio zdjął dwie znajome żerdzie i przelazł na zewnątrz. Pani magister i Stefan przeleźli za nim, pani magister żywo i zręcznie, Stefan jak paralytyk. Lesio starannie omijał go wzrokiem, ale wątpliwości w kwestii jego uczuć i doznań nie miał najmniejszych.

Dokładnie po czterech godzinach różnorodnych wysiłków wszystkie trzy konie znalazły się z powrotem na terenie wybiegu i ciężko schetany Lesio założył na miejsce dwie żerdzie. Stefan przysiadł na innej, wybrawszy sobie najgrubszą. Drące się przeraźliwie dziecko już w połowie akcji zostało przekazane chudej, milczącej dziewczynce, która zabrała je gdzieś na inną stronę domu, a zgrzana pani magister poklepywała odzyskane konie, czułym głosem robiąc im wyrzuty. Wytchnąwszy nieco, okiem znawcy Stefan ocenił zwierzęta.

— Ładne klacze — pochwalił. — Ale ta jedna zapasiona.

Pani magister spojrzała na niego nieprzychylnie.

— Dobrze wygląda po prostu — odparła sucho i z lekką urazą.

— Zapasiona — uparł się Stefan. — W brzuchu rośnie. Powinna być więcej jeżdżona.

— Ona wcale jeszcze nie jest jeżdżona. Ma czas.

— Jak to? — zdziwił się Stefan i aż podniósł się na żerdzi.

— Dorosła klacz! Ma już chyba dwa lata?

— No owszem, przeszło dwa, ale cóż to jest? Taka młoda! Jeszcze się zdąży napracować!

W głosie pani magister zadźwięczał ton czułej pobłażliwości, Stefanowi zaś znów odebrało mowę. Oderwał wzrok od koni, spojrzał na łan przetykanego marchwią ostu i piołunu i poczuł, że ma dość. Możliwe, że kiedyś tam, w przyszłości, uda mu się wrócić do równowagi, teraz jednak nie odezwie się już ani jednym słowem, a Lesio niech sobie robi co chce.

Lesio odzyskał właśnie co najmniej połowę swego normalnego wigoru. Szczęśliwe zakończenie końskiej awantury sprawiło mu niewymowną ulgę, pomyłką

w kwestii marchwianej łąki nie przejął się wcale, a o hodowli młodych klaczy nie miał najmniejszego pojęcia. Za to uparcie siedziały mu w głowę ozdobne koguty i niewyjaśniona zagadka sposobu użytkowania zielonych piór dręczyła jego duszę. Pierwszy pośpieszył na podwórze i przyjrzawszy się jeszcze raz ruchliwej dekoracji, nie wytrzymał.

— A do czego państwo używają tych piór? — spytał ostrożnie. — Nie chciałbym być natrętny, ale jeśli to nie tajemnica. . .

— Jakich piór? — zainteresowała się pani magister.

— No tych, kogucich. Z ogonów. Pani magister zdziwiła się bardzo.

— Piór z ogonów? Do niczego. Do czegoż tego można użyć, to się nawet na pierze nie nadaje.

Lesio poczuł się zdezorientowany. Łypnął okiem na milczącego Stefana i spróbował brnąć dalej.

— To po co pani, w takim razie, tyle kogutów. . . ? Zdziwienie pani magister stało się po prostu bezgraniczne.

— Jak to po co? Koguty są potrzebne kurom!

— Ale tyle. . . ? To znaczy. . . Taka ilość. . . ?

— No, może i jest ich teraz trochę za dużo, ale to dlatego, że kilka kur zdechło. Nawet nie wiem, dlaczego. A tak normalnie, to one stanowią parę. . .

Stefan milczał. Lesio sam nie wiedział, komu wierzyć i czy rzeczywiście coś tu jest nie w porządku. Z tego wszystkiego nie mógł sobie przypomnieć, po co tu w ogóle przyjechali, bo przecież z pewnością nie po to, żeby przez pół dnia po łąkach, polach i ugorach ganiać trzy figlarnie rozbrykane konie. Pani magister patrzyła na niego jakby z lekką naganą, a Stefan milczał.

Bóg raczy wiedzieć, jak długo staliby tak na zakoguconym podwórzu wszyscy troje, zdezorientowany Lesio, niemile zdziwiona pani magister i straszliwie milczący Stefan, gdyby nie to, że przez bramę przejechał nagle tarpan, z którego wyskoczyło dwóch ludzi. Pani magister żywo obróciła się w ich kierunku.

— Panowie może do tryka? Tak? Heniuś. . . !!! Do tryka. . . !!!

Pozostawieni samym sobie Lesio i Stefan zdołali otrząsnąć zły urok z ramion i umysłów. Kiedy pani magister odwróciła się znów, żeby z pewnym opóźnieniem odpowiedzieć na słowa pożegnania, podwórze za jej plecami było już puste. Po gościach nie pozostał żaden ślad.

— Ja nic więcej nie powiem, ale u niej kury i koguty to mają być małżeństwa monogamiczne! — wytrząsał się w poniedziałek Stefan, którego milczenie prysło, a emocje szalały. — Pani magister po esgiegiu. . . !!! Piorun jasny niech to spali, więcej żadnej marchwi nie szukam! Ani pietruszki!!! A ten palant konie zielonym piórkiem poganiał!!!

Oskarżycielsko wskazywał palcem Lesia, który wyjął z teczki i zaprezentował starannie przechowane kogucie pióro. Zachwycili się nim wszyscy.

— Przyczep na ścianie tak, żeby się rzucało w oczy! — zażądała Barbara. — To będzie memento.

— Naprawdę poganiałeś nim konie? — zaciekawiał się Karolek.

— Coś ty chory? Miałem w ręku, to fakt, ale wcale nie poganiałem. Zresztą, nie trzeba było, uciekały same z siebie.

— Tej marchwi mogliście trochę zerwać — rzekł z niezadowoleniem Janusz. — Zarośnięta czy nie zarośnięta, ale to było chyba właśnie to, o co nam chodzi. Zaniedbane gospodarstwo.

— To se jedź i wrywaj! Ja tej wariatce za grosz nie wierzę! Mogła tam wyspać truciznę na szczury! Wyższe wykształcenie rolnicze! Chryste Panie!!!

— Czy to cała polska wieś tak wygląda? — zatroskał się Karolek. — Żadnego sensu już w niej nie ma?

— Coś ty, przecież nie wszyscy mają wyższe wykształcenie rolnicze — pocieszył go Lesio.

— Ale tam, gdzie myśmy byli, żeby nie facet z miasta, zmarnowałyby się cztery hektary łąki!

— Cztery hektary! — wrzasnął urągliwie Stefan. — Ha, ha! U nas się marnuje cztery miliony hektarów!

Włodek, siedzący dotychczas w milczeniu, poruszył się niespokojnie.

— A skóry... — zaczął.

— Zamknij się! — uciszyła go natychmiast Barbara syczącym wściekłością głosem. — Ani słowa na ten temat, bo mnie na miejscu szlag trafi!

— Ja wam to opowiem jak jej nie będzie — powiedział Włodek pośpiesznie. — Zostaw tę popielniczkę, przecież nic nie mówię!

— Z tego wynika, że jednak myśmy się dowiedzieli najwięcej — stwierdził Janusz z triumfem i odwrócił się do Karolka. — To była doskonała myśl, jechać za nimi. Ten facet, co prawda, mówił takie rzeczy, że włos na głowie dęba staje, ale jakieś wyjście pokazał.

— I wykopaliliśmy się w czystej rzeczce — dodał z satysfakcją Karolek.

— Pokażcie mi, gdzie to jest! — zażądała z gniewem Barbara. — Ja też chcę się wykapać w czystej rzeczce!

— Ja też! — wyszeptał przenikliwie Włodek.

— A ja to co, od macochy? — warknął Stefan. — Wszyscy będziemy się kąpać w cholernej, czystej rzeczce! Tyle naszego!

— Dobra, możemy jechać byle kiedy — zgodził się Janusz. — To blisko. A co do marchwi... Mogę mówić?

— Możesz — przyzwoliła posępnie Barbara. — Może mówić każda osoba, która ma do powiedzenia coś pozytywnego. Obrzydliwości wykluczam!

— Będzie pozytywnie. On, znaczy ten facet, powiedział... I to nawet do mnie przemawia, przekonał mnie. Warzywa trzeba kupować w państwowym sklepie,

który bierze towar z pegeerów. Żaden pegeer nie stara się tak jak prywatny właściciel i używają tych wszystkich cymesów o wiele mniej. Znaczący, nawozów sztucznych i innych chemikaliów. Głównie dlatego, że większość sprzedają na lewo prywatnym właścicielom i już im mało zostaje, a jak dobrze pójdzie, przehandlują wszystko i z głowy. Więc trzeba się dowiedzieć, skąd sklep bierze i wybierać sobie odpowiedni, a od bazarów z daleka. Nie wiem, jak wy, ale ja uważam, że to ma sens i w ten sposób jedno mamy załatwione. Co do mięsa. . .

— Czekaj! — przerwał Karolek. — Niech ja powiem o koszeniu. . .

— Czekaj no! — przerwał z kolei Stefan. — A w ogóle skąd on się tam wziął i po cholere koszył? Patrząc nie mógł jak się marnuje, czy co?

— No właśnie mówię! Koszył, bo siano mu było potrzebne dla konia, ma konia w rodzinie. Park Narodowy wydzierzawia te łąki każdemu, kto zechce, no więc wydzierzawił, bo chłopci dookoła wcale nie chcieli. Ta łąka jest okropnie nierówna i żadna kosiarka nie da jej rady i trzeba kosić ręcznie, a nikt inny nie chciał i proszę! Wyłącznie dzięki facetowi z miasta nic się tam nie zmarnowało!

— W takim razie pojedę tam, nawet gdyby nie było żadnej rzeczki! — oznajmił stanowczo Stefan. — Chcę zobaczyć chociaż jedno, miejsce, w którym się nic nie zmarnowało!

— Czy ja mogę powiedzieć o marchwi? — szepnął pokornie Włodek.

— O marchwi możesz — zezwoliła chmurnie Barbara. — Ale więcej ani słowa!

— To może sama powiedz, bo jemu jeszcze się co wyrwie — zaproponował Janusz.

Barbara po namyśle kiwnęła głową i poinformowała o kuzynce Włodka. Wprowadzona w temat kuzynka obiecała w przyszłym roku zaprowadzić gospodarstwo warzywnicze dla kilkunastu rodzin i dostarczyć roślin jadalnych nietkniętych zanieczyszczeniem. Można jej wierzyć, ponieważ też ma dzieci. . .

— Znaczący, od przyszłego roku nawet i sklepy nam już niepotrzebne? — ucieszył się Janusz. — Fajnie! To teraz, co do mięsa. . .

— Czekaj! — przerwał mu Lesio ostrzegawczo. — A czy ta kuzynka daleko od szosy? Bo skoro także sałata. . .

— Tam w ogóle nie ma żadnej szosy — uspokoiła go jadowniczo Barbara, rzucając złe spojrzenie na Włodka. — Jak okiem sięgnąć, po horyzont szosy ani śladu. Nawet nie ma niczego podobnego do szosy, możesz się pozbyć obaw.

— Czy ja mogę wreszcie wejść na mięso? — zniecierpliwiał się Janusz. — Białko zwierzęce jest człowiekowi niezbędne do życia!

— Dobra, wal w to białko — zgodził się Stefan. — A wy zamknijcie gęby i przestańcie przerywać!

Janusz pisnął kręconym krzesłem i odwrócił je dokładnie przodem do współpracowników.

— No więc co do mięsa, to jest draka. Całą żywinę jadalną pędzi się u nas na hormonach i to jest całkiem tak, jak on tam ma napisane na ścianie — gestem brody wskazał długą kartkę za Lesiem. — Jedyne mięso, które ma sens, to dziczyzna...

— Doktor mówił to samo — bąknął Karolek. — I jeszcze mówił, że najlepiej z zaniedbanej puszczy...

— A mówiłem! — wytknął z rozgoryczeniem Włodek. — Trzeba było zrobić napad chuligański na trutnia. I rąbnąć mu to wszystko z lodówki.

— Nic podobnego nie mówiłeś!

— No to myślałem. Wszystko jedno.

— Naprawdę jadłbyś łosia pod ochroną? — zgorszył się Karolek.

— Po śmierci już nie był pod ochroną.

— Ale był za życia. Chronionej przyrody pożerać nie będziemy! Możemy pożerać taką, która się szybko rozmnaża.

— Szczury... — podsunął Lesio zachęcająco.

— Jedna facetka hoduje świnie — oznajmił zniecierpliwiona Stefan. — Jej mąż ma warsztat samochodowy, a ona jest zaopatrzeniowcem, gospodynią domową i matką dzieciom. Gruntu nie ma wcale, tylko mały ogródek i hoduje świnie jak hamany. Na własne potrzeby, bo w tym wszystkim już jej czasu brakuje, żeby stać w ogonkach. Zawsze ma co najmniej dwie.

— Skąd wiesz?

— No mówię przecież, że to jest warsztat samochodowy. Ja tam często bywam, widziałem na własne oczy.

— I gdzie te świnie trzyma? — spytała zimno Barbara. — W kuchni, czy może w kanale?

— W takiej szopie na podwórzu. No, w chlewiku.

— Gdybym miała szopę na podwórzu, też bym hodowała świnie. Ale mam tylko mały balkon. Nie zmieści się nawet jedno prosiątko.

— Cały czas do was mówię, że z mięsem jest problem — przypomniał gniewnie Janusz. — Coś na to trzeba poradzić, bo szopy na podwórzu, zdaje się, nikt z nas nie ma. Musimy się poważnie zastanowić.

— To już mi nawet nie żal, że ludność wiejska wykupuje mięso w supersamie — ogłosił Lesio wspaniałomyślnie. — Nie wiem, co prawda, skąd to mięso, ale na pewno pędzone na hormonach. Słusznie, zastanówmy się.

— Zastanówmy, zastanówmy! — zachęcił z zapałem Karolek. Gorący apel do siebie samych dał efekt straszliwy. Nikt nic nie wymyślił, a nierozwikłany problem jął dręczyć dusze i umysły, ze szczególnym natręctwem zatruwając każdy posiłek. Próbowano zdjąć z piersi zmorę za pomocą intensywnego pograżenia się w pracy, ale tu z kolei pojawiała się widmo wielkiej płyty, wciąż niezwalczonej. Z dnia na dzień i z godziny na godzinę zespół zbliżał się do stanu szaleństwa.

Nieznośną sytuację ostatecznie skomplikował produkt pozornie niewinny i do-tychczas lekceważony, przyniesiony do pracowni przez Lesia. Z właściwą sobie lekkomyślnością Lesio rozpętał żywioły.

— Kto chce jajeczko na miękko? — spytał zachęcająco, wkraczając do pokoju z garnkiem, wypożyczonym ze służbowej kuchenki. — Będę gotował. Umiem. Z zegarkiem w ręku. Jedno jajko zastępuje jakąś szaloną ilość mięsa.

Karolek, Barbara i Janusz odwrócili się natychmiast ku niemu.

— Białko zwierzęce... — zaczął Janusz tonem ponurego protestu.

— A jajko to co? — przerwał mu Lesio buntowniczo. — Roślinne? Kura zalicza się do fauny, chociaż jest ptakiem, poza tym, o ile wiem, jajka składają węże, krokodyle i jakieś stworzenie z Australii. Zapomniałem jak się nazywa. No więc? Kto chce?

— Ja chcę — zdecydował się Karolek. — Zjem dwa.

— Co ci tak zależy, żeby ktoś chciał? — spytała podejrzliwie Barbara. — Nie możesz jeść sam?

— Nie, bo ten garnek jest za duży. Co ja w nim mogę ugotować dla siebie, dwa jajka, góra trzy! Reszta kubatury mi się marnuje.

— To ugotuj dla wszystkich i nie zwracaj głowy...

W garnku znajdowała się już zimna woda. Zadowolony z rozstrzygnięcia Lesio ostrożnie zaczął wkładać do niej dziesięć jajek. Barbara przyglądała mu się krytycznie.

— Jajka na miękko wkłada się do gotującej wody — zauważyła sucho.

— Można i do zimnej — pouczył Lesio z godnością. — Trzeba tylko pilnować momentu zagotowania. Tak umiem i nie potrzebuję instrukcji.

Opuścił pokój razem z garnkiem, reszta zespołu zaś wróciła do pracy. Już po chwili zajęciom służbowym zaczęło coś przeszkadzać. Wszyscy uświadomili sobie nagle, że jajka na miękko należy jeść gorące, bo zimne są niesmaczne i że niezbędne są do nich jakieś dodatki w postaci soli, pieczywa, a także herbaty. Barbara znalazła w szufladzie solniczkę, Karolek podzielił na cztery części swoją bułkę, zjadłszy z niej ser. Janusz zeszkrobał i również zjadł pasztet z dwóch kromek chleba.

Przygotowania do uczty były ukończone, kiedy w progu ukazał się Lesio z garnkiem. Trzymał go przy sobie, uchwyciwszy ucho przez ścierkę, a wyraz twarzy miał żaloszny i nieco spłoszony. Nogą zatrzaskał za sobą drzwi i chrząknął.

— Tego, wiecie... Coś się zrobiło...

— Zaśmiardłe? — zaniepokoił się Janusz i wstał z krzesła.

Lesio postawił garnek na swojej desce i w skupieniu powąchał buchającą z niego parę.

— Nie, chyba nie... Janusz zajął do garnka.

— O rany, co to?

Po chwili wszyscy już wpatrywali się we wnętrze garnka. Jajek nie było tam widać, zawartość naczynia stanowiły dziwne, białe i żółte strzępy, pogrążone w mętnej cieczy i pokryte czymś podobnym do piany.

— Pękły — zgadła Barbara. — I to chyba nie jedno. Chyba zgłupiałeś, gotować popękane jajka!

— Wcale nie były popękane. Pękły w garnku!

— Trzeba było nie mieszać — zganiał Karolek. — Ugotowałyby się w większych kawałkach.

— Ja nie mieszałem! — zakwilił Lesio żałościwie. — Ale jedno rozleciało się całkiem. No, dwa... Chciałem je docisnąć łyżką i tego... No, rozgniotło się...

— Pólgłówek — oceniła z rezygnacją Barbara, wracając na swoje miejsce.

— Zostały tam jakieś całe? — spytał Janusz, próbując zamieszać w garnku dziobem plastikowej ekierki.

— Nie wiem. Chyba tak...

Po ostrożnym wylaniu mieszaniny okazało się, że w garnku ocalało jedno całe jajko. Drogą losowania przypadło ono Karolkowi. Lesio uczuł potrzebę rehabilitacji i zaoferował się skoczyć po następne dziesięć jajek, co zostało przyjęte przychylnie. Te z kolei ugotowała Barbara, ale mimo starań całe okazało się znów jedno. Wylosował je Lesio, z pozostałych zaś sporządzono jajecznicę.

Dyskusja na ten temat wypełniła cały czas posiłku.

— To te cholerne skorupki — zawyrokowała z gniewem Barbara. — Od razu mi się wydały podejrzanym, dlatego zdażyłam wyjąć. Nie wiem co to znaczy, bo przecież te jajka świeże.

— Nikt nie wie...

— Owszem, ja wiem — powiedział Karolek. — Przypomniałem sobie właśnie w tej chwili. O tym też była mowa, to są te kury sztucznie karmione, mają białe skorupki, to znaczy jajka mają białe skorupki, nie kury, bardzo słabe. Należy kupować jajka w ciemnych skorupkach. A w ogóle należy kupować jajka od dzikich kur, mam na myśli od takich, które się dziko chowają, łążą wszędzie i żrą co popadnie. Takie jajka są najzdrowsze i podobno mają smak...

— Skąd wiesz?

— Ten facet mówił. No, ten od koszenia trawy.

— Zgadza się, takie dzikie kury też mają smak i nadają się nawet na rosół — przyświadczyła Barbara, podczas gdy Lesio przechylił się przez swoją deskę i obejrzał spis na ścianie.

— O jajkach tu nic nie ma — oznajmił. — Ale wychodzi, że najlepsze wszystko co dzikie, więc i dzikie jajka.

— Może kupować u tej facetki, co miała same koguty?

— Źle jej się niosły, słyszałeś. Co ona ma tych jajek... Ale może w tej wsi, wiecie, tam gdzie jeździmy do czystej rzeczki?

— Na własne oczy widziałam, jak baby przyjechały z miasta autobusem i przywiozły jajka!

Przez chwilę zespół spożywał jajecznicę w milczeniu, a problem drążył, rósł, pęczniał i wypełniał świat. Jakieś namiętne pragnienia, jakiś wściekły protest i bunt przybierały nadnaturalne rozmiary i zaczynały wymykać się spod władzy zdrowego rozsądku. Piękna twarz Barbary powoli lodowaciała, a błękitne oczy przeistaczały się w dwa lśniące kamienie. Karolek spojrział na nią, poczuł się dziwnie nieswojo i czym prędzej odwrócił wzrok.

— To niemożliwe, żeby we wsiach dookoła Warszawy nie było nigdzie dzikich kur i dzikich jajek — powiedział Lesio z wielką pewnością siebie. — Muszą być. Trzeba je znaleźć.

— Bardzo dobrze, poszukasz i znajdziesz!

Gdzieś w głębiach jestestwa Barbary nastąpiła właśnie eksplozja i krótki rozkaz zabrzmiał niczym świst bicia. Męska część zespołu wzdrygnęła się mocno. Zaskoczony nieco Lesio otworzył usta i zamknął je pod wpływem straszliwego spojrzenia, nie wymówiwszy słowa. Janusz zapatrzył się w Barbarę, niezdolny do oderwania oczu.

— I znajdziesz...! — wysyczała z naciskiem Barbara głosem, od którego zimny dreszcz przebiegał po kręgosłupie. — Bez dzikich jajek nie pokazuj mi się na oczy. Nic już nie ma do jedzenia i mnie od tego szlag trafi najjaśniejszy, kurza jego wszędzie kopana twarz...!!!

W pięć minut potem po Lesiu i Januszu nie było w pracowni ani śladu, a Karolek starał się pracować nie oddychając zbyt głośno...

Po opuszczeniu granic miasta ciężko spłoszony Lesio przyszedł nieco do siebie i zgłosił stanowcze zastrzeżenie co do kur, zamieszkałych blisko szosy. Mogły však spożywać roślinność nasyconą ołowiem. Zdenerwowany i otumaniony jego gadaniem Janusz z góry wykluczył wszelkie gospodarstwa większe i porządniejsze, zdecydowany omijać je niczym źródło morowej zarazy. Wszystkie te wymagania w wysokim stopniu skomplikowały proste pozornie polowanie na dziki drób.

Zwiedziwszy liczne podwórza, opłotki i dojazdy do stodół, wydostali się wreszcie na jakąś szosę, nie wiadomo skąd i dokąd prowadzącą, nie tylko zdezorientowani co do miejsca pobytu, ale także niepewni stron świata. Płon dotychczasowej podróży stanowiło 12 jajek, siłą wydartych trzem gospodyniom wiejskim, które z mocą godną podziwu i przyczyn niepojętych broniły się przed transakcją. Łup wydawał się mizerny, Janusz zatem jechał powoli, zastanawiając się nad wyborem nowego terenu poszukiwań.

Dostrzeżony wkrótce drogowskaz poinformował, że znajdują się mniej więcej w środku pomiędzy Bolimowem i Sochaczewem. Janusz ze zdumieniem pokręcił głową.

— Aleśmy odskoczyli, no no... Nawet nie zauważyłem kiedy. Skręcimy gdzieś i przez wieś polecimy do warszawskiej szosy. Rozglądaj się na wszelki wypadek.

Lesio usiadł wygodniej i jął wypatrywać odpowiedniego obiektu. Upał panował potężny. Napotykanie po drodze bunkry mieszkalne nie budziły wielkich nadziei, a luzem chodzących kur nigdzie nie było widać.

Wpatrzony w szosę przed sobą Janusz ujrzał nagle z daleka coś, co szło jej brzegiem i co wydało mu się dziwne. Spojrzał bystrzej. Nie wierząc własnym oczom, podjechał bliżej, rozpoznał to coś, poczuł jak mu się robi jeszcze gorącej niż dotychczas i gwałtownie zwolnił. Jechał z niewielką szybkością, niezdolny do żadnych manewrów, a ogarniający go żar wzrastał nieznosnie.

Szosą szedł paw. Ogromny, lśniący w słońcu królewskim upierzeniem, włókł za sobą złożony ogon dwumetrowej długości. Ukoronowaną głowę obracał na boki, jakby oglądał okolicę i szedł spokojnie, bez pośpiechu i z wielką godnością.

Janusz nie powiedział ani słowa. Z wysiłkiem uruchomił stopę i zdjął ją z pedału gazu. Przez głowę przeleciała mu niepewna myśl, że powinien się chyba zatrzymać, skoro zaczyna mieć takie dziwne halucynacje. Straszny upał, możliwe, że mu zaszkodził... Jechał coraz wolniej, z kroplami potu na czole, ściskając kurczowo kierownicę, coraz bardziej zbliżając się do widziadła i w żaden sposób nie mogąc oderwać od niego oczu.

Lesio porzucił plenery z boku, spojrzął na szosę i dwa metry przed samochodem ujrzał pawia. Wybuch paniki, jaki w nim eksplodował, godny był wszystkich wulkanów świata, czynnych równocześnie. Jak to...?! Tu, w biały dzień, na zwykłej szosie, nieskalanie trzeźwy...

Janusz przyhamował i zatrzymał samochód, nie zjeżdżając na pobocze. Odchrząknął.

— Czekać, wysiadę na chwilę — powiedział jakoś ochryple. — Zdaje się, że coś mi jest...

— Doskonale, ja też wysiadę — zgodził się Lesio skwapliwie.

Wysiedli, obiegli samochód dookoła, wsiedli z powrotem i jak na komendę spojrzeli przed siebie. Paw ciągle szedł szosą i oddalił się już o kilka metrów. Wzrok Lesia przywarł do niego na mur. Janusz oparł się o kierownicę, na moment zamknął oczy, po czym szeroko je otworzył. Paw nie zniknął. Maszerował brzegiem asfaltu, a gigantyczny ogon włókł się za nim po ziemi.

Janusz odetchnął głęboko kilka razy, z wysiłkiem wrzucił pierwszy bieg i powoli ruszył.

— Ty, słuchaj — rzekł nagle z determinacją — widzisz pawia?

Lesio drgnął nerwowo.

— Jakiego pawia? — zakwilił rozpaczliwie.

Janusz spotniał bardziej. Telepała się w nim jeszcze cicha nadzieja, że może jednak, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ten piekielny paw jest rzeczy-

wistością, on sam zaś zachowuje sprawność umysłu i nie podlega żadnym omamom. Jeżeli jednak Lesio go nie widzi. . .

— Dużego — powiedział z rezygnacją. — Kolorowego jak cholera. Z ogonem.

Lesio uświadomił sobie nagle, że Janusz opisuje ze szczegółami zjawę, którą uważał za swoje prywatne szczęście i do której zamierzał właśnie się nie przyznawać. To znaczy, że przywidzenie mają obydwaj. . .

— No owszem, widzę pawia — wyznał z pewną ulgą. — Idzie przed nami i słowo honoru, wygląda jak żywy. Ty też go widzisz?

— To jednak ty też? — ucieszył się Janusz. — Niech ja skonam, co to może być? Skąd tu paw? Rozumiem gęś, niechby indyk, ale paw. . . ?

— Spróbuj mu wjechać na ten ogon — poradził Lesio, mocno pokrzepiony wspólnotą doznań i zaciekawiony, czy przejechana halucynacja zniknie nagle, rozwieje się stopniowo, czy też zrobi jeszcze coś innego.

— Zwariowałeś? — oburzył się Janusz. — A jeżeli on jest prawdziwy?

— Ale coś ty, kota masz? Prawdziwy paw? Na szosie?! Nam się to tylko wydaje, żywe słońce, to musi być fatamorgana!

Janusz znów poczuł w sobie ten nieznośny żar. Widział tam gdzieś po drodze jakiś piasek, więc może. . . ? Fatamorgana jest złudzeniem zbiorowym. . .

Jechał za pawiem pełen wahań, nie mogąc się zdecydować na spełnienie żądań Lesia. Koniec ogona włókł się tuż przed samochodem, najdłuższe pióra były nieco wystrzępione, o dwa metry dalej słońce połyskiwało na przepysznych zieleniach, fiolektach i błękitach pruskich. Korona na obracającej się głowie lśniła złociście.

— Szkoda, że nie pokazał się nam z rozłożonym ogonem — powiedział Lesio z wielkim żalem. — Halucynacji chyba wszystko jedno, a mielibyśmy rzadki widok. Ten ogon ma rekordowy. W naturze coś takiego w ogóle nie istnieje.

Paw skręcił nagle z szosy na mały mostek nad rowem, ogon zatoczył ćwierć koła. Janusz zahamował w miejscu. Dążąc oczami za widziadłem, ujrzeli gospodarstwo, willę mieszkalną, ogrodzenie, otwartą bramę w tym ogrodzeniu i stojącą w bramie wiejską kobietę. Paw skierował się wprost ku niej.

— A ty gdzie łazisz?! — wrzasnęła na niego kobieta głosem tak przenikliwym, że z łatwością przedarł się przez dźwięk pracującego silnika. — Co to za spacer? Jeszcze cię co przejedzie, albo jaki łobuz ukradnie! Jazda do domu!

Paw zamiótł ogonem i z godnością wkroczył w głąb podwórza. Kobieta zamknęła za nim bramę, łypiąc złym okiem na stojący na szosie samochód. Zza ogrodzenia dobiegł jeszcze jej przenikliwy głos, gromiący niesfornego ptaka.

Po dość długiej chwili Janusz poruszył się, wrzucił jedynkę i powoli zaczął puszczać sprzęgło. Potem nagle znów je wcisnął, przydepnął hamulec i zgasił silnik.

— Nie — rzekł głucho. — Mnie się to przyśni. Ja go muszę pomacać. . .

Do pokoju, w którym Barbara i Karolek wciąż pracowali w milczeniu, wszedł Stefan i od razu zbliżył się do stołu Lesia.

— Gdzie ten artysta? — spytał cierpko.

Karolek spojrział spod oka na Barbarę, niepewny, czy odezwanie się niczym mu nie grozi.

— Coście tak zaniemieli? — zniecierpliwiał się Stefan. — Jest ta lebiega, czy nie?

Karolek pokręcił głową.

— A gdzie się podział? Zresztą, na plaster mi jego miejsce pobytu, chcę wiedzieć, kiedy wróci!

Karolek znów pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce.

— Mowę ci odjęło, czy co? Co mi tu za sztuki pokazujesz? Nie wiesz, czy on przyniósł odbitki z wyświetlarni?

Karolek zaryzykował wydanie z siebie głosu.

— Chyba nie. Nie, nic nie przynosił. . .

— Cholerny świat! — zirytował się Stefan. — Mam przestój i mógłbym robić. . . Dobra, biorę te obrazki, jakby przylazł, powiedzcie, że wziąłem. Głupota z tego robić, ale mam szkice. A tak naprawdę, to gdzie on jest?

Karolek znów niespokojnie spojrział na Barbarę.

— Nie wiem — wyszeptał. — Pojechał po jajka. . .

— Co?

— No i czego mamrociesz jak paralytyk! — rozzłościła się nagle Barbara, podrywając głowę znad rysunku. — Na wieś pojechał! Ma przywieźć jajka!

— Jakie znowu jajka?

— Prawdziwe! Dzikie! Od dzikich kur!

— Czy wam coś na umysł padło. . . ?

Prychnąwszy gniewnie, Barbara udzieliła głosu Karolkowi, a po chwili sama też wzięła udział w wyjaśnieniach. Stefan wysłuchał relacji z wielką uwagą, ale dość sceptycznie.

— Jak on nie przywiezie zbuków z łośkiego roku, to ja jestem arcybiskup. A tak między nami mówiąc, to czy wy nie przesadzacie? Jajka w sklepach wcale jeszcze nie takie najgorsze.

— Doskonale wiemy, że przesadzamy — powiedziała chłodno Barbara z zaciętością w głosie. — Popadliśmy już w urazy i kompleksy. Ale jeżeli nie przebijemy się chociaż przez jedną prostą rzecz, jeżeli nie osiągniemy chociaż jednego jakiegoś rezultatu, diabli nas wezmą i przestaniemy się czuć ludźmi. Jest wstętnie i człowiek musi przeciwdziałać, żeby nie stracić resztek nadziei. Od czasu do czasu życzymy sobie zjeść prawdziwe, świeże, dzikie jajko i ja nie zgadzam się na świat, w którym takiego nędznego życzenia nie można spełnić!

Karolek z rozmachem kiwał głową, przyświadczając. Stefan zawahał się i zastanowił.

— No, owszem, coś w tym jest... Może to i niegłupie. A skoro tak, warto by przy okazji jaką kurkę kupić, też z takich dzikich... Kto wie, może i ja bym pojechał...

Zebrał ze stołu Lesia kolorowe arkusze i wyszedł, głęboko zamyślony.

Jako następna para na poszukiwanie dzikich jajek wyruszyli Włodek z Karolkiem. Lesio został zaarrestowany przez Stefana, domagającego się normalnych podkładów do projektowania, Janusz zaś stanowczo odmówił udziału w przedsięwzięciu.

— Ja nie jadę! — oświadczył gwałtownie. — Co przeżyłem, to moje. Nie jadę, dosyć tego!

Karolek usiłował mu wyperswadować.

— Ale przecież okazało się, że to zwyczajna hodowla, sam sprawdziłeś, więc co ci szkodzi?

— Hodowla kur zamieniona na hodowlę pawie! A gdzie indziej okaże się, że zamiast owiec hodują tygrysy, co?

— No i cóż takiego, mimoza się znalazła, tygrys mu przeszkadza — mruknęła ze wzgardą Barbara. — Skądś chyba muszą brać pawie pióra...?

— Kury zamienili na pawie, w oborze zamiast krów trzymają pieczarki! — wytrząsał się Janusz. — W chlewie może nie być świń, tylko na przykład krokodyl! A zamiast gęsi może strusie, co? Też mają pióra!

— Zdaje się, że otacza nas jakaś strasznie skomplikowana rzeczywistość! — westchnął Karolek, który od początku wspaniałomyślnie zaofiarował się zastąpić Lesia. — To kto teraz pojedzie?

Obecny przy rozmowie Włodek zwinął ładnie w rulon otrzymaną od Barbary odbitkę rzutu parteru, zawahał się, przytulił do łona rulon i zmarszczył brwi.

— Mogę z tobą pojechać. Ale nie dziś. Za późno, potrzebuję dnia. Możemy jechać jutro w południe. Posiedź dzisiaj dłużej, odwal robotę i jutro się urwiemy.

— Dobrze, może być.

— Po co ci dzień? — zainteresował się Lesio.

— Parę zdjęć chcę zrobić. Plenerowych. Światło mi potrzebne.

— A w biurze projektów zamiast elektryka siedzi artysta — wymamrotał Janusz jadowicie.

— Jestem fotografikiem z zamiłowania — nadał się Włodek. — Nie ma zakazu uprawiania hobby. Pozować mi nie musisz, to co ci się nie podoba?

— Wszystko mu się podoba — ucięła stanowczo Barbara. — Jedzicie jutro w południe i w ogóle koniec gadania!

Kolizja zainteresowań sprawiła, iż Włodek z Karolkiem wysiedli z samochodu pod lasem, na skraju kartofliska, w jednakowym stopniu niezadowoleni z wybranego miejsca. Włodek poszukiwał malowniczych i odludnych krajobrazów, Karolek grawitował ku gęsto zaludnionej wsi. Kompromis nie zaspokajał potrzeb

żadnego z nich. Mamrocząc coś pod nosem, Włodek wyciągnął z samochodu dwa aparaty fotograficzne i statyw.

— Ja uważam, że tu jest bardzo ładnie! — powiedział Karolek ze zniecierpliwieniem. — Machnij coś tam i jedziemy!

Włodek rozejrzył się dookoła i schował statyw z powrotem. Jeden aparat powiesił sobie na szyi, drugi wziął do ręki, następnie powiesił na szyi także światłomierz. Wyciągnął z samochodu i schował do kieszeni latarkę elektryczną, sprawdzwszy uprzednio, czy świeci. Karolek nie odzywał się, nie chcąc przedłużać jego przygotowań, chociaż latarka elektryczna w biały dzień, pod bezchmurnym niebem i palącym słońcem, wydała mu się lekką przesadą. Przestał nawet patrzeć na Włodka i poświęcając uwagę zielonej naci ziemniaczanej, ruszył wolnym krokiem wzdłuż kartofliska.

Włodek po krótkim namyśle dokonał wyboru i przystąpił do uwieczniania spróchniałego pnia po ściętym drzewie. Zaczął od góry, stopniowo obniżał poziom, aż w końcu położył się na ziemi i fotografował pień od dołu. Wydobył z kieszeni latarkę i ułożył ją pieczołowicie na kretowisku, kierując na pień niewidoczny w blasku słońca promień światła. Stworzywszy w ten sposób dodatkową jasną plamkę obfotografował pień razem z uzyskanym efektem świetlnym.

Karolek obserwował nać ziemniaczaną z narastającym zainteresowaniem.

— Ty, Włodek! — zawołał, nie odwracając głowy. — Jakie ładne żuczki, popatrz! Możesz im zrobić zdjęcie! Bardzo dekoracyjne!

Włodek wyczerpał własnie możliwości pnia, zgasił latarkę i upychając ją w kieszeni podszedł do schylonego nad skrajem kartofliska Karolka. Pochylił się obok niego, pstryknął, po czym przykucnął i pstryknął jeszcze kilka razy.

— Stonka — powiedział głuchym głosem.

— Co?

— Stonka. Ziemniaczana.

— Co ty powiesz? — zdziwił się Karolek — To jest stonka? Skąd wiesz?

— Widziałem. Interesowałem się. Znam ją osobiście.

— Coś takiego...! Nie wiedziałem, że ona taka ładna. Naprawdę, jesteś pewien, że to stonka? Ta, co to podobno zrzucili nam Amerykanie?

— Mur beton. Widzisz przecież, jak żre. Stonka.

Przykucnął w sąsiedniej bruździe i pstryknął kilkakrotnie drugim aparatem. Karolek z niedowierzaniem rozejrzył się po zagonach.

— Ależ tego jest pełno — wykrzyknął zaskoczony. — Tysiące!

— No! — przytaknął Włodek ponuro. — I kartofle zeżarte.

Karolek podjął swoją przechadzkę wzdłuż kartofliska nieco szybszym krokiem. Dopiero teraz zwrócił uwagę na liście. Były postrzępione i ponadgryzane i wszędzie pełzały po nich kolorowe, pasiaste żuczki. Orgia stonki.

Uczynił jeszcze kilka kroków, pochylił się i znów wezwał Włodka.

— Ty, chodź no tutaj! Popatrz! Tutaj nie ma. Czy ja źle widzę? Dlaczego tam jest, a tutaj nie ma?

Włodek zbliżył się, popatrzył na rośliny pod nogami, a potem podniósł głowę i spojrzął w dal przed siebie.

— Bażanty — oznajmił z ożywieniem.

— Co bażanty?

— No przyjrzyj się, tam. Rąbią aż miło.

Krolek spojrzął w dal, idąc za jego wzrokiem i kilkanaście metrów przed sobą dostrzegł w kartoflisku jakiś ruch. Przyjrawszy się pilniej, rozpoznał stadko szarych ptaków, wśród których niekiedy coś błyskało złotem. Z szaloną szybkością ptaki dziobały po naci, za nimi zaś pozostawał doskonale oczyszczony pas, bez śladu najmniejszego bodaj pasiastego żuczka.

Karolka ten widok zachwycił.

— Nie do wiary! Rzeczywiście, bażanty! Jak one to robią?

— Jak to robią, zwyczajnie. Żrą. Bażanty się żywią stonką.

— Ależ to niemożliwe, taką ilość zdołają zżreć?

— Mają spust jak maszyny. Jedno stado bażantów potrafi odpracować parę hektarów stonki. Za darmo i skutecznie.

Bażancie stado oddalało się w głąb kartofliska, dziobiąc zapamiętale. Włodek położył się w bruzdzie i sfotografował na tle nieba wyjątkowo porządnie objedzony liść. Karolek przez ten czas zdążył przemyśleć rozmaite aspekty sprawy.

— Bażanty powinny być po ochroną — powiedział gwałtownie. — Czy to nie jest lepszy sposób, niż te wszystkie środki piorące... tego, chciałem powiedzieć trujące? Tylko obawiam się, że teraz ta stonka stamtąd z powrotem przelezie tu!

— Nie zdąży — odparł z satysfakcją Włodek, podnosząc się z bruzdy. — Na końcu one zawrócą i pójdą następnym pasem i będą tak odwalały robotę aż do zachodu słońca. Całe to kartoflisko obskoczą. Pod warunkiem, że żadne bydle nie przyjedzie tu na polowanie na przykład za godzinę.

— Poczekamy — zdecydował Karolek bez namysłu. — Godzina to nie wieczność. I temu, kto przyjdzie z przyrządem do strzelania, osobiście wepchnę tę stonkę do gęby. Niech sam zżre.

— A jajka?

— W nosie mam jajka. Godzina nas nie zbawi.

— I pomyśleć, że kiedyś tej stonki nie było wcale! — westchnął Włodek po chwili i wylazł z bruzdy na drogę. — Przylecieli i wysypali. Świnie.

Karolek wyraźnie poczuł, jak w głębi jego łagodnej zazwyczaj duszy zaczyna wzbierać, pęcznieć i kłębić się gwałtownie, nieprzeparłe pragnienie odwetu. Sprawiedliwego odwetu.

— Należałoby to wybierać i odesłać im z powrotem — zawyrokował z zaciętością — Ostatecznie, nie wszystko, ale chociaż część!

— Pewnie. Oni u siebie już zwalczyli, pleni się tylko u nas.

Pragnienie odwetu w duszy Karolka przekształciło się w niezłomną decyzję.

— Dobrze, jeżeli nikt się tym nie chce zająć, ja to zrobię!

— Co zrobisz?

— Nazbieram stonki i odeślę do Stanów Zjednoczonych!

— Zwariowałaś?

— Nie wiem. Może. Ale nawet jeśli, nie przeszkodzi mi to zbierać stonki. Paraliż mógłby mieć negatywny wpływ, obłąd żadnego. Masz jakieś pudełko?

Ruszający już na poszukiwanie kolejnego tematu fotograficznego Włodek zahałał się. Pomysł Karolka wydał mu się kuszący, chociaż nieco skomplikowany w wykonaniu.

— Bo ja wiem. . . Pudełko mam, ale jak ty to myślisz załatwić? To przesyłanie. Poczta?

— Coś ty, jaką pocztą? Człowiekiem! Znajdę kogoś, kto jedzie i wtrzyję mu to. I namówię, żeby wysypał w kartoflach, gdziekolwiek. Może będzie jechał jakiś przyzwoity facet.

— Dużo nie weźmie. A poza tym nie wiem, jak się do tego odniesie kontrola celna. . .

— Przemyci. Nie takie rzeczy ludzie przemycają. Może być niedużo, o ile wiem, ona się łatwo pleni.

Włodek pozbył się wahań i zawrócił w kierunku samochodu.

— Wziąłem na jajka — rzekł, wręczając Karolkowi duże pudełko od butów. — Dziurek chyba robić nie trzeba, nie jest hermetyczne.

— Podobno stonka ma twarde życie. Co ona żre. . . ? A, prawda, kartofle. Doskonale, od razu dorzucę naci. . .

W kilka godzin później ruszyli w drogę powrotną, wioząc pudełko od butów pełne pasiastych żuczków, wymieszanych z zieloną nacią. Jedenaście jajek, stanowiących z trudem zdobyty, ostateczny plon wyprawy, zmieściło się w zwyczajnej, papierowej torebce.

— Pojąć nie mogę, dlaczego oni tych jajek nie chcą sprzedawać — powiedziała z rozdrażnieniem Barbara. — Po tylu wysiłkach dwadzieścia trzy sztuki.

— Mówią, że im się nie opłaca — poinformował Janusz. — W ogóle patrzyli na nas jak na głupich.

— Podejrzliwie — ocenił Karolek. — Patrzyli podejrzliwie i upierali się, że nie mają, a nawet jak mają, nie opłaca im się sprzedawać.

— Przecież chcieliśmy zapłacić drożej!

— No i co z tego? Im się nie opłaca. Nie wiem co z tymi jajkami robią, ale sprzedawać nie chcą i cześć.

— Fakt — przyświadczył Janusz. — A zauważcie, że byliśmy w różnych stronach, więc musi to być jakaś zmowa dookoła Warszawy. Nie mam na to wpływu.

— Z tego wynika, że pozostaje nam tylko satysfakcja moralna

— zawyrokował smętnie Lesio i wskazał pędzlem pudełko od butów, stojące na stole Karolka. — Jak im to dasz? W tym?

Karolek równocześnie ożywił się i zakłopotał.

— Nie, to za duże, chociaż one się tam dobrze czują. Ale trzeba podzielić na dwie osoby...

— Słoik byłby dobry — podsunął Janusz. — Z zakrętką. Podziurkować drobno zakrętkę...

— Mam odpowiednie pudełko — ogłosił w progu wchodzący do pokoju Włodek. — Płaskie, wygodne do zapakowania, ale niedużo tam wejdzie. O, takie. Tylko szczelne. Nie wiem, może im zrobić dziurki...

Akcja odwetowa przeciwko Stanom Zjednoczonym była już w pełnym toku. Od wczoraj mściwie zacięty Karolek i coraz bardziej przekonany do pomysłu Włodek zdążyli obdzwonić całe miasto i znaleźć dwie osoby, udające się za ocean w następnym tygodniu. Niepewny, jak stonka zniesie czas oczekiwania, Karolek nie ustawał w poszukiwaniach, zarazem kłopotząc się podróżnym opakowaniem żyjątek. Dodatkowych trosk przyczyniała kwestia właściwego zużytkowania narzędzia zemsty, które powinno znaleźć się w terenie sprzyjającym jego rozwojowi.

Przyniesione przez Włodka płaskie, metalowe pudełko okazało się doskonałe, aczkolwiek pojemność jego nie zaspokajała potrzeb rozbestwionej duszy Karolka. Rozważywszy propozycję Janusza, wyskoczył do sklepu, nabył słoik kompotu z porzeczek, zmusił zespół do spożycia zawartości, sam zaś z zapałem przystąpił do dziurkowania pokrywy. Obok niego Włodek dziurkował wieko swojego pudełka w ozdobne wzory. Barbara, Janusz i Lesio przyglądali się im z życzliwym zainteresowaniem.

W chwili kiedy oba pojemniki zostały ostatecznie przygotowane do podróży, do pokoju wszedł naczelny inżynier. W rękę trzymał pudełko od butów, które postawił na stole Karolka.

— Słuchajcie, nie śmiejecie się ze mnie — poprosił z wyraźnym zakłopotaniem. — Stefan się natrzęsa, a ja nie bardzo wiem co zrobić. Więc przyszedłem się was poradzić. Mogę?

— Wal śmiało — zachęcił go Janusz, odstawiając na stół oglądany właśnie słoik. — Zachowamy się jak na pogrzebie. Co się stało?

Naczelny inżynier obejrzał się na Barbarę.

— Mam ślub w sobotę — wyznał wzdychając. — Cholernie elegancki i jestem za świadka. Muszę się ubrać przyzwoicie, żadne tam dżinsy, ani nic takiego...

— I masz problem odzieżowy? — zgadła Barbara.

— Właśnie. Ściśle biorąc, nie mam butów. To znaczy butów odpowiednich do garnituru. I przytrafiła się okazja, tu jeden facet od zieleniarzy akurat sprzedaje buty, nawet mój rozmiar i nie wiem, kupić, czy nie.

— Skoro brakuje ci butów, to nad czym się zastanawiasz?

— No tak... Ale widzisz, to są lakierki. O...!

Naczelny inżynier zdjął przykrywkę z pudełka i oczy zespołu poraził z nagłą olśniewający blask, bijący od czarnej, nieskazitelnej powierzchni. Barbara wydała z siebie cichy syk.

— O kurczę — rzekł Janusz, wyciągając jeden but i oglądając go z bliska. — Faktycznie, latarnia nie obuw!

— Nic tam innego nie będzie, tylko twoje nogi — powiedział ostrzegawczo Włodek. — Idziesz we fraku?

— On ma rację — powiedziała smętnie Barbara. — To są lakierki do fraka. W ostateczności mógłby być smoking, ale zwyczajny garnitur odpada.

— Chyba, że masz zamiar często chodzić na bale — wtrącił zachęcająco Lesio. — Albo przyjęcia dyplomatyczne. . .

— Słusznie, w takim wypadku mógłbyś sobie uszyć frak!

— Smoking wystarczy. Niech sobie uszyje smoking.

— Prosiłem, żebyście się nie wygłupiali! — powiedział z wyrzutem naczelny inżynier i stanowczym gestem odebrał Januszowi but.

— Mnie się też wydaje, że to nie ma sensu, ale nie pójdę przecież boso!

— Jakież buty chyba masz?

— Brązowe i beżowe. A garnitur jest czarny.

— Nie powiesz chyba, że w ogóle nigdy nie miałeś żadnych czarnych butów?

— Miałem czarne buty, owszem — przyznał naczelny inżynier, odbierając drugi lakierkę Lesiowi i pakując oba do pudełka. — I aż do wczoraj myślałem, że nadal mam, ale okazuje się, że byłem w błędzie. Wylała się na nie biała farba olejna i już nie mam czarnych butów. W dodatku wylała się parę miesięcy temu, więc zaschnięta jest na kamień i nie ma o czym mówić. Zresztą i tak były stare.

— Ale w tym iść nie możesz — orzekł stanowczo Janusz, popychając pudełko na stole Karolka.

— To co mam robić?

— W sklepach, oczywiście, nie ma?

— Nie ma. Już wczoraj przeleciałem się po mieście. Nic sensownego nie można dostać.

Cały zespół, zatroskany i pełen współczucia, pogrążył się w rozważaniach, usiłując znaleźć wyjście dla naczelnego inżyniera. Lesio zajrzał do pudełka i obejrzał lakierki jeszcze raz, z lubością wywołując refleksy na ich powierzchni. Następnie zamknął pudełko i odepchnął je od siebie, jakby opędzając się od pokusy. Karolek z namysłem bawił się słoikiem, kręcąc go na stole. Włodek w skupieniu przyglądał się nogom naczelnego inżyniera.

— Który numer nosisz? — spytał nagle.

— Osiem i pół.

— No to nic ci innego nie pozostaje, tylko pożyczyć sobie obuwko na tę okazję. Własne kupisz jak trafisz.

— Bardzo dobry pomysł — powiedziała Barbara.

— Od kogo niby mam pożyczyć?
— Ode mnie — powiedział z godnością Włodek. — Też noszę osiem i pół.
Przygnębiony i skłopotany naczelny inżynier ożywił się gwałtownie.
— Nie żartuj! Pożyczyłbyś mi? Masz odpowiednie?
— Nawet dwie pary, możesz sobie wybrać którą chcesz. Możemy jechać razem zaraz po pracy i od razu przymierzysz.

Cały zespół przyklasnął propozycji, a naczelny inżynier rozpromienił się niczym wiosenny poranek.

— Życie mi wracasz! Od wczoraj gryzę się jak głupi, nic nie mam w głowie, tylko te cholerne buty! Sami widzicie, do tego doszło, że byłbym kupił te lakierki! Jak to dobrze, że tu do was przyszedłem, oddam mu to od razu!

Chwycił pudełko ze stołu i wybiegł z pokoju, w drzwiach mijając nadchodzącego kierownika pracowni.

Kierownikowi pracowni już od samego rana obijało się o uszy, iż zespół gwałtownie poszukuje kogoś jadącego do Stanów Zjednoczonych. Nie miał pojęcia komu i po co ten ktoś jest potrzebny, ale nagle zapragnął okazać się operatywny i uczynny ponad zwykłą miarę. Ostatnie dwie godziny spędził przy telefonie, dzwoniąc do wszystkich znajomych bez wyboru i właśnie osiągnął sukces.

— Czy mi się wydaje, czy też rzeczywiście potrzebujecie kogoś, kto jedzie do Stanów? — spytał życzliwie już od progu. — Przed chwilą się dowiedziałem, że jeden mój znajomy leci do Kansas. . .

— Do Kansas! — krzyknął z zachwytem Karolek i zerwał się z miejsca. — Ależ to cudownie! Rolnicze tereny! Kto? Kiedy?!

Kierownik pracowni podciągnął do góry rękaw służbowego fartucha i spojrzał na zegarek.

— Mój znajomy, z zawodu lekarz psychiatra, nazywa się Filipowski, mieszka tu zaraz obok, plac Dąbrowskiego sześć. Mieszkania osiem. Ale on już leci, o drugiej ma samolot, przez Paryż, lada chwila wyjedzie na lotnisko, syn ma go odwieźć. . .

Wybuch bomby nie zdołałby spowodować większego zamieszania. Kierownik pracowni usiłował jeszcze coś mówić, ale nikt go nie słuchał. Karolek wyrwał Włodekowi metalowe, podziurkowane pudełko, Janusz zrzucił pod stół słoik, Lesio rzucił się za słoikiem, obrywając wiszący tam arkusz brystolu, z którego wysypały się rulony rysunków. Barbara zachowała przytomność umysłu.

— Leć ze wszystkim jak jest, pojedziesz z nim na lotnisko, w samochodzie przełożysz! Teraz nie ma czasu, leć, bo nie zdążysz!

Karolek poniechał usiłowań odkręcania drżącymi rękami zaciśniętej, podziurkowanej przykrywki. Chwycił pod pachę słoik, wepchnął do kieszeni płaskie pudełko, porwał ze stołu pudełko od butów i wypadł z pokoju, odpychając stojącego mu na drodze kierownika pracowni. W sekundę potem trzasnęły drzwi wejściowe.

Pan doktor Filipowski stał obok swojego samochodu na placu Dąbrowskiego i patrzył na upychane w bagażniku walizki, kiedy nagle dopadł go nadbiegający galopem młody człowiek o sympatycznej powierzchowności. Ściśle biorąc, nie tyle dopadł, ile minął z rozpędu i zahamował dopiero przy masce wozu. Dyszał ciężko.

— Przepraszam... Czy pan... doktor... Filipowski...?

— To ja. Słucham.

— Pan zaraz jedzie... Do Stanów... Zjednoczonych...?

Pan doktor Filipowski przed kwadransem zaledwie rozmawiał przez telefon ze znajomym, który na wieść o jego wyjeździe do Ameryki okazał wielki entuzjizm, nie wyjaśniając przy tym przyczyn entuzjazmu. Kierownik pracowni poprzestał na znalezieniu podróżnika, pan doktor zatem nie został o niczym uprzedzony. Niemniej odgadł, iż obecność zdyszanego młodego człowieka musi mieć jakiś związek z zasłyszczanymi w telefonie okrzykami radości i odrobinę się zaniepokoił, czy nie narazi go to na zbytnią stratę czasu. Młody człowiek uspokoił się natychmiast.

— Pan się śpieszy — rzekł, chwyciwszy już oddech. — Czy pan pozwoli, że ja też wsiądę? Pojadę z panem na lotnisko i po drodze wyjaśnię... Mogę wysiąść wcześniej, gdybym panu przeszkadzał. Postaram się szybko...

Doktor Filipowski był człowiekiem uczynnym, ponadto interesowały go rozmaite ludzkie poczynania, jako też i motywy. Wyraził zgodę bez oporu. Młody Filipowski zatrzasnął bagażnik i zajął miejsce za kierownicą, z zaciekawieniem przyglądając się nowemu pasażerowi. Doktor z Karolkiem usiedli z tyłu.

Od momentu przybycia na plac Dąbrowskiego do chwili wprawienia w ruch samochodu doktora upłynęło co najmniej pół minuty. Te pół minuty wystarczyło.

Wyobraźnia Karolka wystartowała ze świstem i z miejsca przeszła w ostry galop, usłużnie, acz migawkowo, podsuwając obrazy tego, co jej posiadacz ma zaraz uczynić. Ma mianowicie nakłonić tego zupełnie obcego człowieka, poważnego, sądząc na oko... i chyba normalnego... do przemycenia na amerykańską ziemię stonki ziemniaczanej, żywej i w doskonałym stanie, a następnie do rozsypania jej po polach uprawnych stanu Kansas. Oczyma duszy zdążył ujrzeć postać doktora, wysoką i pełną godności, jak gdzieś w kartoflisku ruchem siewcy wzbogaca miejscową florę reimportowaną fauną...

Gdyby syn doktora ruszył z mniejszym zrywem, względnie napotkał po drodze czerwone światło, Karolek uciekłby z pewnością. Daleki jednakże od skłonności samobójczych, pozostał w samochodzie i tylko zdenerwował się do szaleństwa. Możliwość zwyczajnego zaniechania odwetowych planów nie przyszła mu do głowy, przystąpił zatem do wyjaśnień, pomyślawszy jeszcze z rozpaczą, że może doktor nie będzie tego robił ruchem siewcy, tylko jakoś inaczej. Przykucnie, albo co...

— Otóż proszę pana — powiedział z determinacją. — Myśmy przecież kiedyś tego nie mieli i oni nam to przysłali. I ja uważam, że to jest elementarna sprawiedliwość. Pan jedzie tam, gdzie są tereny rolnicze, sprawdziłem w encyklopedii, tam muszą być kartofle! Jest taka prośba do pana. . . Żeby pan to zabrał do nich i rozsypał, najlepiej w tych kartoflach, a jeśli nie, to chociaż obok. No, gdzieś za miastem. To podobno lata. . .

Nie mając ciągle najmniejszego pojęcia, jaki produkt może tu wchodzić w grę, doktor spojrział mimo woli na duże pudełko od butów na kolanach Karolka. Karolek pochwycił spojrzenie.

— Nie, nie! — zawołał pośpiesznie. — Nie tyle! To znaczy, nie to całe pudełko, ja rozumiem. . . Ja to zaraz przełożę do czegoś mniejszego, o, proszę, w to. . . Albo w to. . . Które pan woli. . .

Słoik wypadł mu z ręki i poturlał się po podłodze samochodu. Łapiąc słoik, upuścił metalowe pudełko Włodka. Doktor Filipowski nie brał udziału w podnoszeniu przedmiotów, nie odrywał już oka od swojego rozmówcy, u którego zaczął dostrzegać nad wyraz interesujące objawy. Karolek wygrzebał wreszcie spod nóg komplet swoich opakowań i podetknął doktorowi słoik pod nos.

— Nie zajmie przecież panu dużo miejsca. . . Potem pan tylko odkręci i siup! Niech pan sam oceni, jakie oni nam okropne świństwo zrobili! A jeśli pan woli mniejsze, może być to, proszę. . . Niech pan pomyśli obiektywnie, oni przysłali mnóstwo, tysiące, a my co, ledwie trochę. . .

Doktor słuchał w milczeniu, odruchowo usiłując postawić diagnozę. Objawy wydawały mu się coraz ciekawsze. Bez względu na to, czym było tajemnicze coś do rozsypania, zdecydowany był to zabrać, pod warunkiem, że po powrocie ze Stanów będzie mógł jeszcze spotkać się z tym młodym człowiekiem i dokładnie go zbadać. Karolek agitował coraz goręcej.

— Dobrze — przerwał mu doktor. — Wezmę i rozsypię. A co to jest?

Komunikat, że zawartość opakowania stanowi żywa stonka ziemniaczana, nie przechodził Karolkowi przez gardło.

— A o, proszę. . . — powiedział zdławionym głosem.

Podsunał doktorowi pudełko ze stonką pod nos i zdjął przykrywkę. I zdrętwiał.

Wewnątrz leżały lakierki naczelnego inżyniera.

Doktor Filipowski z racji zawodu przyzwyczajony był do Napoleonów i Cezarów, nie robiły na nim wrażenia ciągnięte na sznurku guziki i termometry, mające reprezentować żywe pieski, wieszaki na ubranie czające się w charakterze osobistych wrogów, ani też żadne inne przeistoczenia. Mimo wieloletniej praktyki jednakże latające obuwie, zrzucane przez Amerykanów i przeznaczone do rozsypywania w kartoflach, spotkał pierwszy raz. Przypadek był znacznie bardziej interesujący, niż mógł początkowo przypuszczać.

— No, tak — rzekł uprzejmie. — Hm. . . Może pan mieć trochę trudności z przełożeniem tego do mniejszych naczyń. . . Wezmę po prostu całość.

Skamieniały nad pudełkiem Karolek nie mógł wydobyć z siebie głosu. Na myśl o scenach, rozgrywających się prawdopodobnie na piątym piętrze biurowego budynku, gdzie naczelny inżynier odniósł pudełko żywej stonki, oblał się zimnym potem. Akcje odwetowe wyleciały mu z głowy w mgnieniu oka, a ich miejsce zajęła paląca potrzeba natychmiastowego powrotu do biura. Syn doktora jechał wprawdzie niezbyt szybko, bardziej interesowała go bowiem sytuacja wewnątrz samochodu niż droga przed nim, z każdą chwilą jednakże oddalał się od centrum miasta i zbliżał do lotniska. Karolek wpadł w panikę.

— Nie, nie! — zawołał ze straszliwym zakłopotaniem, cofając pudełko. — O Boże, pomyliłem się! Ona została w biurze, bardzo pana przepraszam! Ja muszę wysiąść!

Doktor uczył, iż fenomenalny przypadek wymyka mu się z rąk i przytrzymał pudełko.

— Ależ nie — rzekł łagodnie. — Proszę. Spełnię pańskie życzenie.

— Nie, dziękuję. Ja zrezygnowałem. . .

— Niepotrzebnie. I niesłusznie. Mnie to nie sprawi najmniejszego kłopotu, niech się pan nie krępuje.

— Przecież tego nie wysypie pan w kartofle! — krzyknął Karolek rozpaczliwie.

— Wszystko można wysypać w kartofle — odparł doktor z naciskiem. Syn doktora bawił się znakomicie. Karolek i doktor Filipowski nie zwracali już uwagi na to co mówią, wrywając sobie wzajemnie z rąk lakierki naczelnego inżyniera. Nie wiadomo, kto w końcu wygrałby tę walkę, gdyby nie interwencja miłosiernej Opatrzności, która na skrzyżowaniu z Racławicką zapaliła przed samochodem czerwone światło. . .

— Cud — orzekł pobożnie Lesio. — Razem wzięwszy, stał się cud. Musiałeś się chyba modlić całą drogę.

— Owszem — przyznał Karolek. — Możliwe, że nieco chaotycznie, ale chyba tak.

Siedział na swoim krześle, wachlując się przekrojem pionowym pralni. Wypełnione stonką pudełko od butów bezpiecznie stało na stole. Naczelny inżynier zdążył złapać właściciela obuwia, który właśnie wychodził z biura. Właściciel obuwia nie zajrzał przedtem do pudełka, nie uchylił nawet przykrywkę. Informacja, że przez pomyłkę zwrócono mu inne buty, nie uczyniła na nim żadnego wrażenia, oddalił się nadal nie zaglądając do zamienionego opakowania.

— A w dodatku nie miałem pojęcia, kto te buty sprzedawał — dodał Karolek z westchnieniem. — Nie wiem, co bym zrobił bez Zbyszka. . .

Oderwał plecy od oparcia, odłożył przekrój i zajrzał do pudełka dla upewnienia się, że tym razem wszystko już jest w porządku.

— A co teraz zrobisz? — zaciekawiał się Lesio. — Będziesz łapał te dwie osoby w przyszłym tygodniu?

Karolek znów oderwał plecy od oparcia i wyprostował się gwałtownie.

— O nie! Za nic! Co przeżyłem, tego ludzkie słowo nie opisze! Trudno, poddaje się. Nie będę tego wysyłał.

— I bardzo słusznie! — pochwalił żywo Janusz, odwracając się ku niemu. — Przyszło mi na myśl, że ten kij ma dwa końce. Rozumiesz, rozmnoży się tam u nich i znów nam zrzucą, akurat jak u nas się wytępi i znów będziemy musieli wysyłać do nich i tak w kółko do końca życia. Nie do wytrzymania. Nie zdążyłem ci tego powiedzieć wcześniej.

Karolek westchnął ciężko i oparł się o ścianę, wciąż jeszcze daleki od pełnej równowagi.

— Możliwe, że masz rację. Szkoda. Czuję niedosyt sprawiedliwości. Ale wiecie, ci psychiatrzy rzeczywiście zarażają się od pacjentów, on się uparł, że wyrzuci te buty w kartofle. Ledwie mu wyrwałem.

Janusz przytknął w pudełko.

— I co masz zamiar teraz z tym zrobić? Gdzie wyrzucisz?

— Byle gdzie za miasto...

— Oszalałeś! — krzyknęła Barbara. — Przecież natychmiast polecą w kartofle i zaczną żerować!

— Co...?

— No jak to co? Kota masz? To jest owad! Lata! Zamiast w Ameryce, rozmnożysz ją u nas, a jeszcze możesz trafić na miejsce, gdzie jej przedtem nie było! Chcesz niszczyć własny kraj?!

— Ona ma rację — przyświadczył Janusz. — Żadnego wyrzucania, chyba że zdechnie. Zdechła faktycznie możesz wyrzucić byle gdzie.

— Zgładzić — podsunął Lesio. — Chociaż nie, to będzie niehumanitarne. Zabić jakoś jednym ciosem.

— Najlepiej zwyczajnie wrzucić do ognia.

Karolek siedział nad pudełkiem od butów okropnie zakłopotany i zmieszany.

— Kiedy wiecie... Mnie ich szkoda... Takie ładne te żuczki... Ja się już chyba trochę do nich przywiązałem...

— Psychiatrzy szkodzi kontakt z pacjentami, a jemu zaszkodził jeden kontakt z psychiatrą — powiedziała ze zgrozą Barbara po długiej chwili milczenia.

Janusz zajrzał do pudełka, odrobinę stropiony.

— No, ładne są, owszem. To co? Chcesz je hodować? Stonkę...?!

— Podrzucić z powrotem tam, gdzie je zbierałeś — zaproponował Lesio, w którego sercu życzliwość do pasiastych żuczków z największą łatwością zajęła miejsce wrogości. — Wielkiej szkody nie będzie, parę sztuk mniej, czy parę sztuk więcej. A przy okazji ucieszą się bażanty.

— Bażanty...! Dać do zjedzenia bażantom!

— Albo komukolwiek innemu. Może jeszcze jakiś drób to lubi. To będzie sposób naturalny i zgodny z przyrodą.

Naturalny i zgodny z przyrodą sposób natychmiast zyskał powszechną aprobatę. Własnoręczne wymordowanie dekoracyjnych żyjątek wydawało się czynem zgoła nieludzkim i odrażającym, spożycie ich przez bażanty natomiast mieściło się w zwykłych prawach natury i powinno sprawić przyjemność zarówno ptactwu, jak i spożywanej sponce. Zainteresowany tematem Włodek, który właśnie zajrzał do pokoju, również przyklasnął projektowi.

Pierwsza wyprawa poszukiwawcza wyruszyła w godzinach popołudniowych, co okazało się błędem, zanim bowiem zdołano znaleźć odpowiednie dla bażantów tereny, zapadł zmrok. Karolek nie pamiętał dokładnie, gdzie leżało macierzyste kartoflisko stonki i nie umiał tam trafić. Nazajutrz potraktowano sprawę poważniej, dokooptowano Włodka i dwa samochody opuściły miasto w samo południe.

— Przy okazji możemy spróbować kupić jajka — powiedziała Barbara do Janusza.

— Jajka to we wsi. A bażanty wręcz przeciwnie.

— Ale między ugorem a kartofliskiem jakaś wieś na pewno się przytrafi. Nic nam nie szkodzi zapytać.

Rozdzieliwszy się w celu spenetrowania większej połaci kraju i ustaliwszy na mapie drogowej miejsce spotkania, obie grupy badawcze jęły wyteżać wzrok i uwagę. Włodek, Lesio i Karolek przejechali przydzielony im teren szybciej niż Barbara z Januszem i pierwsi przybyli na upatrzone skrzyżowanie. Bażanta, jak dotąd, nie znaleźli ani jednego.

Czekali na skraju lasu, wzdłuż którego ciągnęła się zwykła, piaszczysta, polna droga, dochodząca do wąskiej, asfaltowej szosy. Po drugiej stronie znajdował się ogromny łąn kartofli.

— Popatrzcie, tyle kartofli i ani śladu stonki — powiedział zmartwiony Karolek, wchodząc pomiędzy redliny.

— A co, mało ci jeszcze? — zainteresował się Włodek i powiesił sobie na szyi aparat fotograficzny. — Chcesz trochę dozbierać, tej swojej do towarzystwa?

— Cóżżeś tak schował ten samochód? — skrytykował Lesio. — Postaw go na widoku, bo nas nie zauważą.

— Nie szkodzi, my ich zauważymy. Powinni przyjechać z tej strony, widać z daleka, a nie potrzebuję, żeby mnie tu jaki traktor zahaczył. Nie leć nigdzie, bo nie zamykam.

Karolek pchał się coraz dalej w kartofle. Włodek z dwoma aparatami fotograficznymi cofnął się polną drogą i zniknął za krzakami na skraju lasu. Lesio pozostał przy samochodzie i błąkał się wśród drzew w pobliżu szosy.

Narastający warkot usłyszeli wszyscy trzej. Znajdujący się najbliżej Lesio chciał pobiec ku szosie wprost przez las, ale zaplątał się w krzaki jeżyn i nieco zmitrzął. Kiedy udało mu się przez nie przedostać, samochód już stał, a jego

silnik milczał. Dwukrotne trzaśnięcie drzwiczek usłyszał jeszcze za pasem zarośli.

Jeden rzut oka pozwolił mu stwierdzić, iż nie jest to samochód Janusza, a wysiadająca od strony pasażera postać w najmniejszej mierze nie przypominała Barbary. Zatrzymał się, zagłębiony w krzakach, wyglądając z nich przez rozsunięte gałęzie.

Obok samochodu kręciło się dwóch osobników. Jeden z nich pośpiesznie otwierał bagażnik, drugi oglądał siedzące tylne koło. Nie był to widok niezwykle, ani też szczególnie atrakcyjny, Lesio jednak nie miał nic do roboty i gapił się nadal. Osobnik przy bagażniku z wielkim trudem, sapiąc z wysiłku, wywłócił na zewnątrz najpierw ogromną torbę podróżną, a potem coś w rodzaju wielkiego, płaskiego kosza. Oba ciężary ulokował na skraju szosy i sięgnął do bagażnika po lewarek i klucz do kół.

Z jałowców za Lesiem wyłonił się Karolek. Od razu ujrzał tył Lesia i zbliżył się, zaciekawiony, co też on tam gdzieś widzi. Rozsunął gałęzie i teraz obaj gapili się w milczeniu.

Jeden z obecnych na szosie dżentelmenów miotał się wciąż przy kole, ujawniając kompletny brak wprawy i rozpaczliwą niezręczność. Drugi nie służył mu żadną pomocą. Nadęty, spęczniały wyraźnym gniewem i zniecierpliwieniem, z rękami w kieszeniach obchodził samochód wkoło dostojnym krokiem, zatrzymując się niekiedy przy bagażach i obrzucając je chmurnym spojrzeniem. Lesio i Karolek ciągle tkwili w krzakach, na ich twarzach zaś pogłębiał się wyraz niesmaku, nagany i potępienia.

W chwili kiedy ślamazarne przedstawienie dobiegło kresu, piaszczystą drogą dotarł do szosy Włodek. Zajęty uprzednio nader malowniczym sękiem, nie od razu oderwał się od ulubionych zajęć. Osobnik pracowity, opływając potem, upchnął w bagażniku ciężkie toboły, osobnik nadęty surowym wzrokiem zbadał ich ulokowanie, Włodek zaś wyszedł na szosę. Zdążył zrobić dwa zdjęcia, zanim spojrzał uważniej i zorientował się, iż w miejsce Janusza i Barbary widzi obcy samochód i nieznanych ludzi.

Dokładnie w momencie pstrykania wsiadający już do samochodu nadęty obejrzał się i dostrzegł Włodka. Na dwie sekundy znieruchomiał. W trzeciej sekundzie ryknął straszliwie, odepchnął się od drzwiczek i runął na niego niczym rozjuszony byk.

Włodek na szosie, a Karolek i Lesio w zaroślach zbaranieli doszczętnie. Nadęty leciał i ryczał.

— Oddaj to!!! Dawaj to!!! Oddawaj to!!!

Gdyby leciał w milczeniu, najprawdopodobniej dopadłby Włodka, który wrósł w asfalt. Treść okrzyków jednakże dotarła do niego i wywołała pewne skojarzenia. W rękach trzymał aparat fotograficzny i nic innego nie miał do oddania. Obawa

o ukochany przyrząd przypięta mu skrzydła, w mgnieniu oka odwrócił się i skoczył w kartofle.

Pracowity przy samochodzie podskakiwał, dreptał, przebierał nogami i jękliwie sapał, Lesio i Karolek zamarli w skamieniałym osłupieniu, Włodek pokonywał kartoflisko w jelenich skokach, a za nim grzmiał ryczący bawół. Włodek był młodszy, szczuplejszy i niewątpliwie bardziej przestraszony, pogoń zatem nie miała szans. W połowie ładu ryczący bawół zatchnął się i zrezygnował, ryczący jeleni zaś znikł osłonięty krzewami tarniny i dzikich róż.

Karolek i Lesio poruszyli się dopiero, kiedy samochód ze zmienionym kołem skrył się za zakrętem. Myśl o udzieleniu pomocy napastowanemu koledze zabłysła im dość szybko, nie byli jednakże w stanie jej zrealizować i doznali ogromnej ulgi widząc, iż napaść nie powiodła się sama w sobie. Wyszli na szosę.

— Co to było, na litość boską? — spytał Karolek, usiłując ochłonać. — Rozumiesz coś z tego?

— Może mu się ten Włodek nie spodobał z twarzy — odparł Lesio, wciąż pełen śmiertelnego zdumienia. — Różne są gusta.

— Krzyczał, żeby mu oddać. Przecież nie twarz! Aparat...?

— Może miał bukiet róż... .

Obaj nagle zamilkli. Podeszli właśnie do miejsca, gdzie przed chwilą stały wyjęte z bagażnika toboły. Wlepili w to miejsce wzrok, a słowa zamarły im na ustach.

Na skraju asfaltu rozlewała się duża, czerwona plama.

Z oczami utkwionymi w plamę Lesio i Karolek tak długo stali bez ruchu i w milczeniu, aż dotarł do nich powracający Włodek, dumny i zwycięski, wciąż jeszcze rozgorączkowany niezrozumiałym i wstrząsającym przeżyciem.

— Widzieliście? — zaczął już z daleka. — Chciał mnie dogonić, a chała! Kto to w ogóle był, ten byk, nie wiecie...?

Karolek i Lesio nie zareagowali. Włodek poszedł oczami za ich spojrzeniem i również ujrzał plamę. Pochylił się, obejrzał ją z bliska i wyprostował się, pobladł.

— Już rozumiem — rzekł głucho. — Zbrodniarze...!

Karolek i Lesio zgodnym ruchem cofnęli się krok do tyłu. Oderwali się od plamy i skierowali wzrok na Włodka. Włodek przytulił do piersi oba aparaty.

— Teraz rozumiem — powiedział. — Chcieli mi wyrwać aparat. Widział, że zdążyłem zrobić zdjęcie. Popelnili morderstwo, dwóch ich było, nie? Dowód rzeczowy, nic dziwnego... A to tutaj, to skąd? Ten trup tu leżał? Zabili go w waszych oczach? No pytam was! Straciliście mowę na zawsze? Widzieliście tego trupa, czy nie?!

Najgłębsze przekonanie, iż toboły zawierały rozkawałkowane zwłoki nie pozwoliło tak Lesiowi jak Karolkowi udzielić odpowiedzi przeczącej. Zarazem jednak potwierdzenie nie odpowiadałoby ścisłej prawdzie, nie widzieli trupa, wi-

dzieli tylko jego opakowanie. W rozterce patrzyli to na Włodka, to na plamę, to na siebie nawzajem. Lesio odchrząknął.

— Walizeczka... — zaczął. — Koszyczek...

Janusz z Barbarą nadjechali w chwili, kiedy uczestnicy wydarzenia po raz trzeci przypominali sobie wszystkie szczegóły. Lesio i Karolek zaczęli czwarty raz od początku, Włodek wziął na siebie zakończenie. Barbara i Janusz wysłuchali relacji w skupieniu i ze zmarszczoną brwią, obejrzeni dowód rzeczowy na szosie i prawie równocześnie wzruszyli ramionami.

— Barany — rzekł Janusz z politowaniem. — Drugiego trupa im się zachciało...

— Co znaczy drugiego trupa! — oburzył się Włodek. — A to tutaj, to co?!

— Mięso — odparła zimno Barbara.

— Co...?

— Mięso, mówię. Półgłówki. Już zdążyliście zapomnieć, co oni robią? Upolowali coś i wieźli świeże mięso. Nielegalnie upolowali i możliwe, że to było coś pod ochroną.

— Ona ma rację — przyświadczył Janusz. — Jakby on faktycznie kogo zabił, to by cię ganiał aż do skutku. A jakby polował legalnie nie ganiałby cię wcale. Kłusownicy.

— Oni nie wyglądali na kłusowników! — zaprotestował gwałtownie Karolek.

— A na co?

— Nie wiem. Wiem! Już prędzej na takich, którzy od kłusowników kupują...

— W takim razie musiało to być coś pod ochroną! — zawyrokował z rozgoryczeniem Włodek. — Nie wiem, czy to nie gorsza zbrodnia!

Kilku zaledwie chwil było potrzeba, żeby gniew zapłonął we wszystkich sercach. Kolejny atak zwyrodnialców na chronioną zwierzynę przekraczał wszelką wytrzymałość i wołał o pomstę do nieba. W przypuszczeniach co do rodzaju zamordowanego łupu nie schodzono poniżej łośa, Włodek wysuwał nawet kandydaturę żubra. Przed niedźwiedziem się cofnięto.

Konieczność przeciwdziałania nie ulegała najmniejszej wątpliwości i rozważania miały przebieg błyskawiczny. Zdecydowano natychmiast zrobić odbitki z wykonanych przez Włodka zdjęć i udać się z donosem do właściwej komendy MO. Na zdjęciach numer samochodu powinien być doskonale widoczny.

— Z trutniem wyszło nieźle, nie? — przypomniał pocieszająco Karolek. — Milicja ich też nie lubi. Nic mu wprawdzie nie zrobili, ale już nie ma tej willi i wyłapali kłusowników. To i tutaj może nastąpić coś podobnego.

— A w ostateczności możemy coś zrobić samodzielnie — podsunęła sucho Barbara. — Widać, że jeżdżą sami, nieznani sprawcy mogą zatrzymać samochód i dać im po mordzie. Nieznani sprawcy też nam wyszli skutecznie.

— Niezła myśl! — ucieszył się Janusz. — Tutaj dosyć pusto...

Na dostarczonych nazajutrz odbitkach widoczny był nie tylko numer samochodu, ale także gniewne oblicze ryczącego bawołu. Włodek na wszelki wypadek zrobił nawet powiększenie antypatycznej gęby. Właściwą terytorialnie komendę MO odnaleziono na mapie drogowej bez żadnego trudu i postanowiono nie zwlekać.

— Z tego wszystkiego zapomniałem o bażantach — powiedział zdenerwowany Karolek, przesuając pudełko od butów na środek stołu. — Chcę jechać!

— A właśnie! — przypomniał sobie Włodek. — Zapomniałem wam powiedzieć, że tam musiały być bażanty. Znalazłem pióro.

— To tym bardziej chcę jechać!

— Jedźmy wszyscy — zaproponował Lesio. — Im więcej świadków, tym lepiej.

Zgodnie z tą propozycją relację o przestępczym procederze złożyło w komendzie wojewódzkiej pięcioro świadków. Władza, w osobie siedzącego za biurkiem kapitana, z kamienną twarzą obejrzała artystyczne podobizny tyłu jednego samochodu, dwóch sylwetek ludzkich i jednej nadętej gęby. Pięcioro świadków otrzymało powściągliwe podziękowanie. Ściągnięty do protokołowania sierżant nie napisał ani jednego słowa, przez cały czas gapiąc się na Barbarę. Świadkowie opuścili gabinet komendanta z ociąganiem, po kilkakroć domagając się stanowczego zapewnienia, iż władza zajmie się sprawą.

Kapitan i sierżant w milczeniu patrzyli za nimi, a po zamknięciu drzwi spojrzeli na siebie. Sierżant pokiwał głową, a kapitan skrzywił się okropnie.

— Cholerny świat! — powiedział, odsuwając zdjęcia Włodka. — Już nie mieli gdzie, zaraza, tego koła robić... Popatrz na to, Antek, czy to nie będzie droga do tego, jak mu tam, Budziaczka? Tego przy starych stawach?

— Możliwe — zgodził się sierżant. — Albo do tych rozjazdów przy kapliczce, tam też, zdaje się, ziemniaki posadzili. Ładne zdjęcia.

— I musieli napaskudzić, jak świnię w chlewie... Weź no kogo, najlepiej Romka, skoczcie tam i załatwcie sprawę. Od razu, bo tylko patrzeć, jak nam tu następny świadek przyleci i mnie już wtedy apopleksja trzaśnie. Jazda, jazda!

— Tak jest! — powiedział sierżant. — A zawsze pociecha, że chociaż koło robili...

Pięcioro świadków, po opuszczeniu komendy, zgromadziło się wokół samochodów.

— Śmierdzi mi to całe przesłuchanie, jak cholera — oznajmił ponuro Janusz, otwierając drzwiczki. — Protokołu żadnego...

— Równie dobrze mogliśmy mówić do ściany — przyświadczył Włodek. — Niepotrzebnie wspomnieliśmy o tej historii z trutniem.

— Myślisz...?

— A jak? Niech pierzem porosnę, jeśli chociaż kichną na ten temat! Boją się.

— I naprawdę uważasz, że ukręca temu łeb?

— A wam się wydaje inaczej?

— Cholera. To co zrobić...?

W Januszu ocknął się nagle bojowy duch. Właściciel ducha oderwał się od drzwiczek samochodu i w krótkich słowach sprecyzował zadania. W pierwszej kolejności należało przekonać się, co zrobi milicja. Dla sprawdzenia rzetelności donosu powinna udać się na miejsce skalane śladami przestępstwa i przynajmniej obejrzeć pozostały tam szczątek dowodu rzeczowego. Należało zatem zacząć się i poczekać w ukryciu. Nieobecność, aż do wieczora, ekipy śledczej potwierdziła by najbardziej pesymistyczne przypuszczenia, obecność mogłaby je co najmniej podważyć. Dalsze ustalenia zostawić można na później.

— Nie musimy tam siedzieć w tych krzakach wszyscy — dodał złym głosem. — Mogę sam czatować, bo mnie cholera bierze, a wy wracajcie do roboty. Ktoś w końcu musi w tym biurze pracować.

— Zostanę z tobą — zaofiarował się Karolek. — I tak czekam na instalacje od Stefana, jeden dzień mi nie robi różnicy.

— Mnie robi — rzekł sucho Włodek. — Ale pomysł bardzo dobry. Wy w krzaki, a my odjeżdżamy. Wsiadać!

Ledwie zdążyli ukryć przy bocznej drodze samochód, z którego Karolek wydobyl troskliwie piastowane pudełko od butów, ledwie znaleźli sobie odpowiednie miejsce do podglądania i podsłuchiwania, ledwie Karolek otworzył usta, żeby napomknąć coś o przechadzce w kierunku widzianego przez Włodka bażanciego pióra, już z dala nadleciał warkot silnika. Na wszelki wypadek przywarowali obaj. Karolek zrezygnował ze spaceru.

Fiat z literami MO nadjechał, zwolnił, zbliżył się do nich i stanął. Wsiadło z niego dwóch ludzi w mundurach, znany im już sierżant i kierowca. Sierżant trzymał w ręku zdjęcia i dusze zaczajonych w krzewach kontrolerów zaczęła ogarniać ogromna ulga. Jednakże, wbrew pozorom, milicja nie zamierzała puścić płazem obrzydliwego przestępstwa...

Funkcjonariusze MO cofnęli się nieco szosą, porównując zdjęcia z terenem.

— Tu — powiedział sierżant, przyglądając się nawierzchni. — A mówiłem, droga do kapliczki!

— Ślad nawet całkiem wyraźny — zauważył kierowca.

— Ciekawość, że się uchował? Coś tu przecież jeździ?

— Mały ruch i wszystko środkiem lata. Skąd ten cholernik tu się w ogóle wziął, zawsze jeżdżą główną szosą...

— Do daczy jechał. On tu ma daczę nad rzeką i tędy mu najbliżej, główną szosą musi okrążyć.

— Gości pewno nasprasał...

— A, kit mu w oko razem z gośćmi. No już, nie ma co tu sterczeć. Najeżdżaj!

Oniemieli ze zgrozy i oburzenia Janusz i Karolek patrzyli, jak sierżant nargarnia butem kurz i piasek z wąziutkiego pobocza na słabo już widoczną plamę,

kierowca zaś przejeżdża przez nią kilkakrotnie tam i z powrotem, starannie zacierając ślady ohydneho czynu. . .

— A o bażantach znów zapomniałem — powiedział z rozgoryczeniem Karolek, stawiając na swoim stole pudełko od butów. — Ale jestem wstrząśnięty i chyba mi to długo nie przejdzie, naprawdę nie spodziewałem się aż tyle!

— Ciekawa rzecz, kto to mógł być, ci dwaj — mruknęła nienawistnie Barbara. — Dostojnicy wysokiego szczebla, czy co?

— W każdym razie ze wszystkiego wynika, że jedynym przyzwoitym milicjantem jest dzielnicowy z Lublina — rzekł smutnie Lesio.

Karolek spróbował być obiektywny.

— Prawdę mówiąc, ci tutaj też nie byli zachwyceni. Mnie się wydaje, że robili to niechętnie. Nie uważasz? Niezadowoleni byli. Zamazywali bez przekonania.

— Możliwe — zgodził się z nim Janusz. — Ale ja, wszystko jedno, nie puszczę. Chromołę organa, sam sprawdzę, kto to jest, a potem się zobaczy.

— Znaczy, zaczynamy prywatne śledztwo?

— I to metodycznie, bo znów się z czymś wygłupimy — zarządziła Barbara. — Niech ktoś zapisuje, albo co. Najpierw wydziały komunikacji. Następnie trzeba znaleźć przyzwoitego milicjanta. . .

— A stonka? — upominał się niespokojnie Karolek.

— Stonka przy okazji. Na pewno wyjdzie z tego jakiś wyjazd w teren. . .

Za pomocą chodów kumoterskich, z wydziału komunikacji uzyskano wiadomość, iż samochód należy do ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Wóz służbowy. Zaskoczeni tym nieco Lesio i Karolek, jako naoczni świadkowie spędzili kilka godzin najpierw w wejściu do właściwego gmachu, potem zaś wewnątrz. Dyplomatyczne zabiegi dały rezultat błyskawiczny.

— Dyrektor departamentu i wiceminister — powiedziała Barbara z ponurą satysfakcją. — Tak podejrzewałam, referenta by nie zamazywali. Co teraz?

— Teraz szukamy doskoku do milicji — przypomniał twardo Janusz.

— Spróbujmy przez dzielnicowego z Lublina — zaproponował Lesio. — Może coś doradzi. Oni w tej milicji znają się ze sobą.

Najprostsze dojście do dzielnicowego z Lublina prowadziło przez naczelnego inżyniera. Naczelnny inżynier wysłuchał opowieści o ohydnej zbrodni w milczeniu i z nieprzeniknioną twarzą. Zażądał pokazania na mapie owego miejsca, gdzie przestępcy kalali naturę śladami czynu, uzyskał od Lesia i Karolka nazwiska winowajców i oko mu błysnęło. Z uwagą obejrzał zacięte oblicza współpracowników, zawahał się, zastanowił i podjął decyzję.

— Do jutra nie robić nic! — rozkazał i opuścił pokój.

Zespół posłusznie przyhamował działalność. Naczelnny inżynier udał się prosto do gabinetu kierownika pracowni. Kierownik pracowni siedział przy biurku i stu-

diował zarządzenia, co uważał za swój obowiązek. Z prawdziwą przyjemnością oderwał się od tego zajęcia.

— Jak się nazywał ten facet, do którego był zaproszony na przyjęcie nasz orzecznik? — spytał naczelny inżynier. — Orzechowski. Parę dni temu, tak się śpieszył, przypominasz sobie? Jak on się nazywał?

Kierownik pracowni po lekturze, jakiej się oddawał, przez chwilę musiał zbierać myśli.

— Orzechowski zawsze się śpieszy... A tak, rzeczywiście, mówił... To jakiś minister. On ma takie dziwne znajomości...

— Wiceminister. Muszę wiedzieć, jak się nazywa. Przypomnij sobie. Kierownik pracowni skupił się nieco i odzyskał sprawność intelektu.

Przypomniał sobie nazwisko, wymienione przez orzecznika Orzechowskiego. Naczelny inżynier upewnił się jeszcze co do daty i porzucił kierownika pracowni.

Reszta jego działalności śledczej ograniczyła się do jednego telefonu w późnych godzinach wieczornych. Rozmowa trwała dość długo i polegała na naleganiach i protestach. Rozmówca naczelnego inżyniera z wielką stanowczością odmawiał usługi, jakiej od niego żądano, naczelny inżynier upierał się przy swoim. Stopniowo protesty zaczęły słabnąć i w końcu rozmówca naczelnego inżyniera uległ, odmawiając już tylko pokazania twarzy. Naczelny inżynier zgodził się na maskę.

— Najlepsza jest z czarnej pończochy — doradził.

— Nie mam pończoch — odparł z troską osobnik z drugiej strony przewodu. — Mam gacie. Może być nogawka od starych gaci?

— W jakim kolorze?

— Taka trochę żółtawa.

— Może być — przyzwolił naczelny inżynier. — Nawet lepiej, z daleka będzie wyglądała jak twarz...

Oczekujący w napięciu zespół już rano dowiedział się, iż w godzinach popołudniowych ma nastąpić wyjazd za miasto, ściśle biorąc, kawałek za Płońsk. Tam cała tajemnica zostanie rozwikłana. Kto nie może, niech nie jedzie.

Nie było na świecie takich przeszkód, jakie mogłyby kogokolwiek z zespołu powstrzymać od wycieczki. Janusz, Włodek i Stefan już w południe wyskoczyli po benzynę. Nie leżało w zamiarach naczelnego inżyniera całkowite oderwanie współpracowników od zajęć służbowych, niemniej ten właśnie skutek osiągnął. W obliczu objawionej znienacka zagadki nikt nie był w stanie poświęcić się pracy. Rozkwit gorączkowo snutyj supozycji i hipotez w chwili wyjazdu osiągnął apogeum i wywołał sytuację konfliktową, wszyscy bowiem usiłowali wsiąść do tego samego samochodu co naczelny inżynier.

Parę kilometrów za Płońskiem zjechało w boczną drogę i zatrzymano się na skraju niewielkiego zagajnika. Naczelnym inżynier wszedł między drzewa i rozejrzał się dookoła.

— Trochę za wcześnie przyjechaliśmy — stwierdził chmurnie. — Musimy poczekać. Nie stójcie tak nade mną, to może potrwać. . . A ty zjeżdżaj z tym aparatem, żadnych zdjęć! Schowaj go, żebyś się nie ważył trzymać go w ręku!

Śmiertelnie zaskoczony Włodek zdarł z szyi rzemień i w nerwowym pośpiechu ukrył swój cenny sprzęt w samochodzie. Napięcie zespołu doszło do zenitu. Nikt nie był w stanie oderwać oczu od naczelnego inżyniera, ani też odsunąć się od niego bodaj na krok. Naczelnym inżynier oparł się o pień drzewa.

— Przestańcie się tak na mnie gapić, zaraz wszystko wyjaśnię. Możecie usiąść. Otóż. . . No mówię, do diabła, nie włączcie mi na głowę, czyście ogłuchli?!

Krag wokół niego rozluźnił się odrobinę. Naczelnym inżynier westchnął ciężko i zrezygnował z większych wymagań.

— Otóż. . . Jak by wam tu. . . Otóż, to jest coś tak obrzydliwego, że aż się bałem, żebyście na to nie zwrócili uwagi, bo diabli wiedzą, co wam wpadnie do głowy. Musicie mi przyrzec, uczciwie, jak ludzie, że nic nie zrobicie. Inaczej chała, nic nie powiem i wygłupiacie się beze mnie!

— I po to nas przywlokłeś aż tutaj? — zdumiał się Janusz. — Nie mogliśmy przysięgać w biurze?

— Na jaskinię spiskowców to mi wcale nie pasuje — ocenił Karolek, tuląc do piersi pudełko od butów i rozglądając się po wdzięcznym, pogodnym, rzadkim lasku. — Chyba że poczekamy do północy i może nadlecą jakie sowy albo nietoperze. . .

— Kto nie przysięgnie, tego się od razu trzaśnie i zakopie w tamtym piasku — wysunął przypuszczenie Lesio, wskazując małą wydmę na skraju zagajnika.

— A kto nie zamknie gęby, tego się trzaśnie jeszcze przedtem! — rozżłościł się Stefan. — Cisza ma być i niech on gada! Ja mogę przysiąc, nie upadłem na głowę, żeby sobie dowalać roboty! Żeby to było najgorsze łajno, w nic się wdawał nie będę!

— W łajno będziesz. . . — mruknął Włodek.

Naczelnym inżynier był chmurny i zakłopotany. Dręczyła go wątpliwość, czy nie przesadził, ale sam przed sobą usprawiedliwiał się prawem do subiektywnych doznań. Jego subiektywne doznania wymagały właśnie czegoś takiego. . . Odetchnął głębiej.

— Zaraz tu przyjedzie jeden facet, którego wcale nie musicie znać. Powie wam całą prawdę, ale nie życzy sobie być rozpoznany. Mogę was tylko zawiadomić, że pracuje w rzeźni w Mławie. . .

— Proszę. . . ? — zainteresowała się nagle Barbara.

— Pracuje w rzeźni, mówię. Będziecie mieli wiadomości z pierwszej ręki. Ja o tym gadać nie będę, bo mnie wstręt ogarnia. Tyle wam jeszcze powiem, że ten

wasz wiceminister został zidentyfikowany bez żadnych wątpliwości, wszystko się zgadza. . .

Naczelny inżynier urwał na chwilę. Zaskoczony zespół w milczeniu przetrwał informacje. Wszystkim zaczęło się wydawać, że coś tu się z czymś kojarzy, nikt jednakże nie umiał na poczekaniu sprecyzować co i z czym. Nad głowami wesoło zaczęli ptaszek.

Ciszę zmaćił nagle warkot motoru, który zabrzmiał na drodze i umilkł przy samochodach na skraju lasu. Naczelny inżynier nie podjął już przemówienia, oderwał plecy od drzewa i udał się w tamtym kierunku.

W chwilę później powrócił, a razem z nim szedł osobnik o prezencji zatykającej dech w piersiach. Hełm i gogle niósł w ręku. Zamiast głowy i twarzy miał nieforemną bułę w brudnożółtym kolorze z otworami na oczy i dziurą w miejscu ust. Wyłącznie sile pogodnej, słonecznej przyrody należało zawdzięczać niejaki złagodzenie wrażenia, które nocą i przy świetle księżyca mogło wykluczyć jakiegokolwiek próby porozumienia.

— Upiór dzienny. . . ! — wyrwało się Lesiowi.

— Usiądźcie gdzieś — powiedział znękany głosem naczelny inżynier. — Nie będziemy tak gadać na stojąco.

Nikt nie wiedział, na czym siada, żadne oczy bowiem nie były w stanie oderwać się od wstrząsającej maski. Upiór znalazł sobie pienieć i ulokował się w miarę możliwości wygodnie.

— Od razu powiem — rzekł bez wstępów, korzystając z powszechnego milczenia. — Nie ma dnia, żeby te skubańce nie przyjeżdżały do nas po mięso, a już w czwartki i piątki to istna karawana. Z Warszawy, nie wymawiając, od dyrektora departamentu w górę. Kierowców nie biorą, żeby się nie dzielić, tylko służbowe wozy, poniekąd to jeszcze delegacje sobie wystawiają, ryje świńskie niedożywione. I nie ma gadania, pełne bagażniki trzeba im ładować, mięso pierwszy gatunek, żadne tam mrożonki, świeżutki, aż łyżki się kręcą. Dużo ich obchodzi zaopatrzenie, żrą jak maszyny. Południcę wołową potrafią wybrać do ostatniego kawałka, purgraby zgręzłe, taka ich mać niewłaściwego prowadzenia.

Umilkł i zamarły w bezruchu zespół też milczał. Ptaszek nad głowami ćwierkał przeraźliwie, beztrąsko i nietaktownie. Naczelny inżynier z pochmurną twarzą gryzł trawkę.

— Nie rozumiem, co on mówi — odezwała się nagle Barbara jakimś dziwnym głosem.

Upiór natychmiast obrócił się ku niej.

— Co tu jest do zrozumienia? — zdziwił się, usiłując poszerzyć sobie nieco otwory na oczy. — Wyraźnie przecież mówię, nie? W rzeźni pracuję.

— Nawet, jeśli w rzeźni. . . — zaczął Karolek. — To też. . . O Boże. . .

Długą jeszcze chwilę głosy natury były jedynym zakłócającym ciszę dźwiękiem. Wpatrzony w upiora zespół zajęty był przyswajaniem sobie informacji i po-

rządkowaniem doznań. Upiór, sądząc z ukierunkowania otworów w masce, przyglądał się Barbarze. Karolek pokonał jakoś lekki niedowład umysłowy.

— To znaczy. . . Chce pan powiedzieć, że to wszystko prawda? Te różne plotki, to gadanie. . . Oni rzeczywiście przyjeżdżają do was po mięso? Do rzeźni, bezpośrednio? I tak biorą i już?

— Tak jest. To właśnie mówię.

— Ale przecież sami nie biorą — zauważyła lodowato Barbara. — Kto im daje?

— Co znaczy, kto im daje, każdy daje. Każą sobie ładować i cześć. Z dyrektorem to mają załatwione. Oko w słupek staje, ale co niby można na to poradzić?

— A dyrektor to co? — zawarczał złym głosem Janusz. — Taka sama swolocz?

— Akurat nie, ale co ma zrobić? Sprzeciwi się, wyleją go na mordę i co dalej? Poprzedni się właśnie sprzeciwił. Chodziliśmy już na milicję i co?

— No właśnie i co. . . ?!

— A nic. Za dużo ich, tych szakali, i za wysoko siedzą. Żeby to jeden, dwóch, żeby chociaż dziesięciu, ale to przecież na kopy przyjeżdża. W ciechanowskiej komendzie milicję żółta febra trzęsie, ale co im zrobią? Nie ma na nich paragrafu.

— Darmo tak biorą, czy za pieniądze? — zainteresował się Stefan.

— A nie, darmo nie. Płacą nawet. Państwowe ceny. Śmierdziale cholerne.

— Człowiek słyszy, słyszy, nie zwraca uwagi, a potem się okazuje, że co najgorsze, to właśnie prawda — powiedział głucho Janusz i nagle rozżłościł się okropnie. — Znaczy co? Ten padalec wiózł mięso z waszej rzeźni? I takiej szopki trzeba było, żeby nam o tym powiedzieć?! Po cholere to przedstawienie?!

— Żebyście zyskali jasny obraz sytuacji i odczepili się od ochrony przyrody — wyjaśnił sucho naczelnny inżynier. — A ja o tym mówić nie będę, bo mnie się coś robi.

— No dobrze, a ta szopka na drodze? — spytał z lekką urazą Włodek. — Co to było?

Naczelnny inżynier machnął trawką w kierunku upióra.

— Podaj im już wszystkie szczegóły.

Upiór kiwnął głową, uchylił nieco maski i otarł sobie pod nią pot i twarzy.

— Cholernie to grzeje — oznajmił. — No więc co pierwsze, to oni sobie nie życzą żadnej reklamy. O zdjęciach mowy nie ma, za nic. I niech wam się nie zdaje przypadkiem, że im na przykład wstyd albo chociaż głupio, skąd, nic z tych rzeczy. Oni nie chcą rozgłaszać, żeby się więcej amatorów nie znalazło, z chytrości wyłącznie i z niczego innego. A po drugie, to ludzie mają ich dosyć. Ten wasz goryl, ja go dobrze znam, niemożliwie leci na wątrobę. No to proszę bardzo, specjalnie mu wkitowali tę wątrobę na sam spód i jeszcze przywalili z wierzchu zadnią pieczenia, żeby lepiej ciekło. W sobotę wielkie żarcie urządził. Ciekawe, kto mu ten samochód potem czyścił, bo że nie sam, to pewne.

Upiór zamilkł, znów odchylił maskę i jał się wachlować rękawicą motocyklową. Zespół patrzył na niego roziskrzonym wzrokiem. Ptaszek ćwierkał głośno i uporczywie.

— A milicję, powiada pan, cholera bierze? — upewnił się nagle Janusz.

— I jaka jeszcze. Ho, ho!

— To dlaczego pozamazywali ślady?

— Jakie ślady? A, te na szosie?

— Te. To, co im z tobołów wyciekło.

— A diabli wiedzą. Ale pewnie dlatego, że mają przykaz z góry, żeby ich jeszcze ochraniać.

— O Boże wielki, jedyny... — wysyczała Barbara cichutko takim głosem, że przez wszystkich członków zespołu przeszedł jakby prąd elektryczny. Naczelnny inżynier poderwał się z trawy.

— Przrzekłaś... !!!

Barbara rzuciła mu tylko jedno spojrzenie. Naczelnny inżynier chwycił się za głowę. Upiór przyglądał się wszystkim z wyraźnym zainteresowaniem. Janusz i Karolek zaczęli coś szeptać do siebie gorączkowo i gwałtownie.

— Na narady produkcyjne miejsce jest w biurze — zauważył surowo Włodek i zwrócił się do upióra. — A właściwie dlaczego pan się zamaskował?

— A właśnie dlatego — odparł spokojnie upiór i wskazał hełmem otaczające go osoby. — Każdy reaguje i diabli wiedzą, co z tego może wyniknąć, a ja chcę zrobić karierę. Nie urzędniczą, chroń mnie Bóg. Ja mam uczciwy zawód, weterynarz jestem. Jeżeli mnie wyleją, zacznę mieć kłopoty, muszę to bagno jakoś przetrzymać. Publicznie nic nie powiem za skarby świata i w ogóle się wyprę, że coś powiedziałem, a jakby co, nikt nie wie jak wyglądam. Czy ja jestem jeszcze potrzebny, bo mnie to grzeje niemożliwie?

Odpowiedzi na swoje pytanie nie usłyszał. Ocenił sytuację i wycofał się chyłkiem, zmierzając ku drodze i zdzierając z głowy przyrząd maskujący. Na jego zniknięcie nikt nie zwrócił uwagi...

— A stonka została — powiedział z goryczą Karolek zaraz nazajutrz, wyciągając odbitkę rzutu piwnic spod pudełka od butów. — I za każdym razem w parady wchodzi mięso. Może zostanę jaroszem.

— Szkoda, swoją drogą, że nie możemy nic zrobić! — westchnął tęsknie Lesio, z zadumą wpatrzony w okno. — Takie by to było piękne! Ręce do góry i mięso albo życie! Czy wy macie pojęcie, co on musi mieć w tym bagażniku?

— Zamknijcie gęby, ostatni raz mówię! — rozwścieczyła się Barbara. — Ani słowa więcej na ten temat!

Stan, jaki prezentowała ozdoba pracowni, nie pozwalał zlekceważyć jej życzenia. Nawet straceńcza odwaga ma jakieś granice, męska część zespołu zamilkła zatem posłusznie. Temat jednakże pchał się tak natrętnie, że myśl nie mogła się

go pozbyć i żaden inny nie był w stanie go zastąpić. Cisza trwała aż do chwili, kiedy do pokoju wszedł Włodek.

— Moje dzieci były w ogrodzie zoologicznym — zakomunikował ociekającym krwawym sarkazmem głosem

Nikt się nie odezwał, ponieważ ogród zoologiczny silnie nasuwał zakazane skojarzenia. Lesio i Karolek łypnęli niespokojnym okiem na Barbarę, siedzący bardziej w przodzie Janusz na wszelki wypadek udawał głuchego.

— Ze szkołą — powiedział Włodek jadowniczo.

Trzej członkowie zespołu dokonali w umysłach błyskawicznego przeglądu niebezpieczeństw. Szkoła, jako taka, wydawała się niegroźna.

— I co? — spytał Lesio ostrożnie. Włodek zwrócił się do Karolka.

— Zdaje się, że szukałeś bażantów dla swojej stonki? Ha, ha! Krwawe ochłapy, afera mięsna na szczeblu ministerialnym, zgnilizna moralna dostojników państwowych...

— Ciiiiii... — zasyczał Lesio ostrzegawczo, bo Barbara zaczęła unosić głowę znad deski.

— Co cicho, jakie cicho, odwal się! Szkoda, że do Australii się nie wybrałeś po tę stonkę...!

— Bażanty — poprawił cichutko Karolek, z niepokojem wpatrzony w Barbarę.

— Co...? A...! Bażanty, mówię przecież! Wiecie, gdzie są bażanty?! Tumany boże, wiecie gdzie?!

Barbara zimnym wzrokiem obrzuciła plecy Włodka i pochyliła się znów nad deską. Karolek odetchnął z ulgą.

— Półgłówki, pół kraju zwiedzili! — kontynuował Włodek, teraz dla odmiany szyderczo i urągliwie. — A bażanty są w środku miasta, w prawobrzeżnej Warszawie! W ogrodzie zoologicznym!

— Sam jeździłeś — wytknął Janusz, zanim Karolek zdążył ocenić wagę informacji.

— No to co? Czy ja mówię, że nie jestem półgłówek? Owszem, też jestem. Ale raczej nie będę!

— Owszem, będziesz — powiedziała lodowato Barbara za jego plecami.

Karolek zerwał się z miejsca.

— O Boże! Słuchaj, czy jesteś pewien? Poważnie? Włodek się prawie obraził.

— Co ty myślisz, że moje dzieci bażanta nie rozpoznają? Jeszcze im kazali wypracowanie o tym napisać. Bażanty jak byki! Zaraz za flamingami, po drodze do małop. Możesz jechać tramwajem. Mnie sobie wybij z głowy, ja niekiedy pracuję.

— Janusz! — zawołał Karolek błagalnie. — O Boże! Zaraz byśmy wrócili.

Janusz już się podnosił.

— Dobra, bierz te ulubione zwierzątka i niech to wreszcie będzie z głowy.

— Ja też pojedę! — wprosił się Lesio. — Lubię patrzeć, jak się karmi drób. Pojadę, co?

— A jedź. . .

— To ja też — powiedziała zniecka Barbara. — Chcę zobaczyć coś sensownego i normalnego. Inaczej szlag mnie trafi.

Wycofujący się już Włodek zawahał się i zatrzymał. Gniewnym wzrokiem obrzucił zespół i gestem pełnym urazy zaczął zdejmować służbowy fartuch. . .

Pięć osób zatrzymało się w ogrodzie zoologicznym przed działką bażantów. Karolek piastował pudełko od butów niczym cenną relikwię. Perspektywa dokonania za chwilę czynu zgodnego z prawami natury podniosła na duchu udręczone obrzydliwościami jestestwa, chciwe spojrzenia przywarły do trawniczka, po którym niemrawo łąziło różnorodne ptactwo.

— Rozejrzyjcie się, czy kto nie idzie, bo karmienie zwierząt wzbronione — polecił Janusz.

— Trzeba je zwabić bliżej — podsunął Lesio. — Zanim zdążą dziobnąć, ta stonka ucieknie. Cip, cip, cip. . .

— One szybko dziobią — pocieszył go Karolek i ze wzruszeniem otworzył pudełko.

— Cip, cip, cip — wabił zachęcająco Lesio. — Taś, taś. . . Kici, kici, kici. . .

Karolek wpatrywał się w otwarte pudełko, a na jego twarzy zaskoczenie przestaczało się w rosnący niepokój.

— Kretyn — powiedział Włodek. — Kici kici do ptaka.

— Rzućcie im wreszcie, na co czekasz? — zniecierpliwiła się Barbara.

Karolek uniósł głowę i popatrzył niepewnie.

— Ale wiecie. . . Im się chyba coś stało. . . Popatrzcie. Ona tego. . .

Wożona od przeszło tygodnia w pudełku od butów stonka, zbierana przez Karolka zapewne już nie w kwiecie młodości, naturalną rzeczą kolejną zakończyła swój żywot. Nikomu z zespołu nie przyszło jakoś do głowy, iż wiek osiągalny przez owada jest daleki od wieku słońca i ze zdumieniem wpatrywano się teraz w pokruszone szczątki naci ziemniaczanej, przemieszane z warstwą nieszkodliwych już chrząszczy. Zaskoczenie przez moment było bezgraniczne.

— Zdechła — stwierdził Janusz jakby z lekką naganą.

— Źle się nią opiekowałeś, czy tak sama z siebie? — zatroskała się Barbara.

— Sama z siebie — zaopiniował Włodek pouczająco. — Stonka żyje najwyżej parę tygodni, a czasem tylko ileś tam dni. Umiera śmiercią naturalną.

— No to przynajmniej nie odfrunie! — ucieszył się Lesio. — Rzuć ją im, niech sobie spokojnie zjedzą.

Karolek się zawahał.

— Ale co ty. . . Nieżywą. . . ?

— Słusznie — poparł go Janusz, nieco stropiony. — Padliną karmić bażanty? Te delikatne stworzenia, jeszcze im zaszkodzi. . .

Pytające spojrzenia skierowały się na Włodka. Włodek wzruszył ramionami.

— O spożywaniu zdechłej stonki przez bażanty nigdzie nie było mowy. Głowy nie dam. . .

Stanowczym gestem Karolek przykrył wiekiem pudełko od butów. Ruszył z powrotem, przyśpieszając kroku i pociągając za sobą resztę zespołu. Na głównej alei wrzucił pudełko do kosza na śmieci. Janusz obejrzał się.

— Między nami mówiąc, śmietniki są pod biurem. . .

— I ja specjalnie przyjechałam, żeby zobaczyć coś sensownego — powiedziała Barbara takim tonem, że Karolek przyśpieszył kroku jeszcze bardziej. . .

* * *

Kierownik pracowni siedział w swoim gabinecie i oglądał pismo od inwestora, bardzo niemile zaskoczony. Od kilkunastu tygodni stwierdził znakomity i ustawicznie podnoszący się poziom wszystkich prac zespołu. Nie dość, że projekty w kolejnych swoich fazach wykańczane były przed terminem, to jeszcze dostrzegał w nich doskonale dopracowanie szczegółów i wyraźną pasję twórczą. Serce mu rosnęło i błogość ogarniała duszę, zawsze bowiem był zdania, że dobre kierownictwo prędzej czy później musi wywrzeć swój wpływ.

O przyczynach zacieklej pracowitości wszystkich zespołów kierownik pracowni, rzecz oczywista, nie miał najmniejszego pojęcia. Nie mógł wiedzieć, iż stanowi ona jedyny czynnik zagłuszający obsesyjne zgrzyoty, których ofiary za wszelką cenę starają się unikać zgubnych przestojów. Rósł w dumę i chodził w prywatnej glorii.

Pismo od inwestora stanowiło nieprzyjemny zgrzyt. Zawarte w nim było pytanie, z jakiej przyczyny na swoje dodatkowe zlecenie inwestor nie otrzymał żadnej odpowiedzi, mimo iż przewidziany przepisami termin dawno już minął. Kierownik pracowni doskonale pamiętał, że takie zlecenie istotnie wpłynęło jakiś czas temu, sam osobiście przekazał je Januszowi i Janusz powinien był na nie zareagować. Powinien przynajmniej zaproponować jakiś aneks do umowy. . .

W gorącej chęci ocalenia świeżo rozkwitłej wiary w doskonałość zespołu kierownik pracowni pomyślał samokrytycznie, że może Janusz załatwił wszystko i przedstawił mu do akceptacji, a on sam w roztargnieniu jakoś to przeoczył. Na wszelki wypadek przeszukał szuflady biurka i półki szafy, niczego przeoczonego nie znalazł, westchnął ciężko i podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu.

Z drugiej strony telefon odebrała Barbara.

— Nie ma Janusza — powiedziała. — Ale w ogóle jest, poszedł do drogowców. A bo co?

— Niech przyjdzie do mnie jak wróci — poprosił kierownik pracowni. — I niech weźmie wszystko, co dotyczy tego pisma ZOZ-u. Trzeba to wreszcie załatwić.

Barbara natychmiast zorientowała się o co chodzi. Sprawa zaginionego pisma roztrząsana była nieprzeliczoną ilość razy.

— A co? — zorientowała się delikatnie. — Przysłali może coś?

— Przysłali ponaglenie. Mają rację, termin dawno minął. Ja nie robię wyrzutów, broń Boże, ale po prostu trzeba to załatwić. Powtórz Januszowi.

— Dobrze. Powiem mu jak wróci.

— Zdaje się, że on nie wróci co najmniej do końca dnia — zawyrokował Karolek, kiedy Barbara z troską wyjawiała problem. — Nic jeszcze nie wymyślił.

— I tak cud, że go akurat nie było. Przecież oddałabym mu słuchawkę bez zastanowienia.

— A może powiedzieć prawdę? — zaproponował niepewnie Lesio.

— Komu? Hipciowi? Oszalałeś? Żeby dostał zawału?!

— Hipcia trzeba postawić wobec faktu dokonanego — poparł Barbarę Karolek. — Zawału może nie dostać, ale zacznij robić coś takiego, że nam wszystkim życie obrzudnie. Załatwiać urzędowo albo co...

— No, owszem. To nie wiem co zrobić.

— Nikt nie wie...

Wracający z wielkim rulonem kalki Janusz został powitany niemiłą wieścią. Rzucił rulon na stół, usiadł na krześle i marszcząc brwi zapatrzył się w okno.

— Być, to mnie jeszcze nie ma — orzekł na wstępie. — Trzeba się zastanowić. Numer tamtego pisma mam, datę i inne takie wzięłem od Matyldy, ale co do treści, pojęcia nie mam. Wiem, że chodziło o wielką płytę i tyle. Zaraz...

Milczał przez chwilę, myśląc intensywnie, po czym zerwał się z krzesła.

— Zdecydowałem się. Wezmę od niego to ponaglenie. Może się z niego coś wydedukuje.

Wykonując z lekkim roztargnieniem własne zajęcia służbowe, zespół z zaciekawieniem czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Janusz wrócił od kierownika pracowni zły i rozgoryczony, gniewnie potrząsając kartką papieru.

— No i proszę, macie. Cholery można dostać. Uprzejmie zawiadamiamy... nasze pismo z dnia, numer, liczba dziennika, tyle to i ja sam wiedziałem, przyjęte przez was dnia i tak dalej... Nie dostaliśmy odpowiedzi. Jak Boga kocham, też wiedziałem, lepiej niż oni. A o treści nic. Nawet nie napisali, czego dotyczy!

— Zapewne byli zdania, że i to powinieneś wiedzieć, skoro dostałeś tamto pismo — zauważył Karolek z życzliwym współczuciem.

— Nie możesz po prostu odpowiedzieć, że w odpowiedzi na wasze pismo z dnia i tak dalej, odmawiamy kategorycznie ze względu na zbrodniczość stosowania wielkiej płyty? — spytał Lesio.

— Przecież miałem im odmówić z hukiem!

— A uważasz, że od takiej odpowiedzi nie będzie huku?

— Który to ośrodek? — spytała nagle Barbara.

— Ten w Wyszkowie. Przy spółdzielni mieszkaniowej.

— I jeszcze ci mało?!

— Rany boskie, ty masz rację! Przy spółdzielni mieszkaniowej! Robią z wielkiej płyty! No, to będzie cała kanonada! Kij w mrowisko!

— Przypominam wam tylko, że pismo musi być podpisane przez kierownika pracowni — ostrzegł Karolek. — Nie wiem, jak go nakłonicie, żeby podpisał nie czytając. Krótkie zawsze czyta.

Zespół zakłopotał się na nowo. Kierownik pracowni niewątpliwie chciałby jeszcze raz przeczytać zaginione pismo. Odpowiedzi na dokument, którego treści nie znał, nie podpisałby za żadne skarby świata. Główny zaś problem polegał na tym, że był pedantem i zagubienie czegokolwiek uważał za rzecz nie do pomyślenia. Z cenionego pracownika Janusz w jednej chwili przeistoczyłby się w monstrum niegodne zaufania i budzące odrazę, po czym, kto wie, kierownik pracowni mógłby kazać mu trzymać wszystkie papiery w swoim gabinecie i codziennie składać sprawozdanie z wykonanych tego dnia czynności. Lub też wymyśliłby coś jeszcze gorszego, przy czym potępienie objęłoby cały zespół. . .

— Nie ma siły, trzeba jechać do Wyszkowa — orzekł Janusz posępnie. — Może mi się uda jakoś po cichu wyrwać im kopię. Ale to jutro pojedę, dzisiaj nie mam serca do walki. . .

Od wyjścia Janusza minęło przeszło pół godziny, a kierownik pracowni wciąż jeszcze czuł się zdenerwowany. Bezczylnie siedział w swoim gabinecie i usiłował coś zrobić z kilkoma słowami, jakie wymknęły się rozdrażnionemu Januszowi. Przeanalizować je albo zapomnieć. Zostawić ich odłogiem nie mógł w żaden sposób. Z ulgą powitał wchodzącego naczelnego inżyniera.

— O, dobrze, że jesteś — zaczął mówić, zanim naczelnny inżynier zamknął za sobą drzwi. — Usłyszałem tu coś takiego, że nie mogę się pozbyć obaw. . . Nie wiem, może przesadzam. Chyba trzeba coś zrobić. . .

Naczelnny inżynier powstrzymał służbowe pytanie, które miał na ustach i przyjrzał się uważniej zwierzchnikowi.

— Zacytuj to dokładnie — zaproponował. — Co usłyszałeś i od kogo?

— Od Janusza. Nie potrafię tego dokładnie zacytować. Coś o radioaktywnym wykańczaniu. . .

Obaj popatrzyli na siebie długim spojrzeniem i kierownikowi pracowni zrobiło się wysoce nieprzyjemnie. Naczelnny inżynier pokiwał głową, westchnął ciężko i przysiadł na parapecie okiennym.

— Wielka płyta, co?

Kierownik pracowni drgnął tak silnie, że krzesło na kółkach odjechało z nim pod samą ścianę.

— Więc jednak! Owszem. Wielka płyta. Myślisz, że oni o tym wiedzą?

— Wszyscy wiedzą. Usiłują nie wierzyć i bagatelizować, ale ta strusia polityka nic nam nie da. Oczywiście, że trzeba coś zrobić.

— Trzeba, tylko co? Do tej pory to było poufne, teraz widzę, że się rozchodzi. Robią badania... Prasa...

— Prasa swoje, badania swoje, a resort budownictwa swoje. Moim zdaniem, oni mają rację.

— Kto ma rację?

— Twój zespół. Powinno się odmówić projektowania z wielkiej płyty, dopóki kwestia bezpieczeństwa nie zostanie definitywnie rozstrzygnięta. To jedyny sposób.

Kierownik pracowni chwycił rękami krawędź biurka i przyciągnął się do niego z powrotem.

— Na wielkiej płycie stoi całe budownictwo mieszkaniowe...! Ale...

— Tak. Właściwie tak, ja też jestem tego zdania... Tylko że to nie od nas zależy, nie od ciebie i nie ode mnie. I nawet nie od ministra budownictwa...

— A co? — zainteresował się naczelny inżynier. — Była jakaś konferencja?

— Była. To jest, oczywiście, informacja poufna. Czwarta z kolei. I czwarty raz to samo, wszystko rozbija się o tych samych ludzi. Ściśle biorąc, o jednego faceta, inni już ulegli, dali się przekonać, został tylko jeden... bwana kubwa... wielki mżimu...

— Rozumiem. Rozdęty bonza.

— Właśnie. Bałwan grzmiący. Przez niego się nie przebijesz, nic do niego nie trafia, utracą w ogóle wszelkie rozmowy na ten temat!

— Coś w tym ma?

— Co on w tym może mieć?! Gdyby chociaż łapówki, ale skąd! Nic takiego nie wchodzi w grę! Nie wiadomo.

— Ale on chyba coś myśli?

— Nie — powiedział stanowczo kierownik pracowni. — Mogę ci zagwarantować, że on nic nie myśli. Jest niezdolny do myślenia.

Naczelny inżynier spojrział na zwierzchnika, a potem zapatrzył się w okno, rozważając kwestię w głębokim skupieniu. Kierownik pracowni nie mógł się już zatrzymać w rozpędzie i coraz obficiej sypał poufnymi informacjami.

— Teoretycznie rozstrzyga się większością głosów... W praktyce ci przekonani pary z gęby nie puszcza, dopóki on na nich patrzy. Nie dopuszcza do prezentacji dokumentów obrazujących prawdziwe wyniki badań, każe fałszować... A ja się nie mogę nawet przyznać, że o tym wiem, bo wkopię informatora. Biore udział w świństwie! I co ja mam zrobić?

Wysiłki naczelnego inżyniera, zmierzające do utemperowania uczuć zwierzchnika, podziały jak napałek oliwy na trąbę morską. Raz przełamawszy w sobie ochronną barierę strusiej polityki, kierownik pracowni poszedł do przodu jak burza. Wpadł do pokoju z impetem, a za nim pojawił się w drzwiach głęboko zaniepokojony naczelny inżynier.

Zaabsorbowany nowym tematem zespół urwał w pół słowa i wpatrzył się w zwierzchnika wzrokiem pełnym bezgranicznego zaskoczenia. Kierownik pracowni z zasady był człowiekiem opanowanym, dbałym o skrywanie gwałtownych uczuć, powściągliwym w słowach i gestach. Bijące zeń teraz żywiołowe pasje były czymś niezwykłym, niepojętym, wręcz niemożliwym i musiały zwiastować coś strasznego.

Kierownik pracowni zdławionym głosem zwrócił się wprost do Janusza.

— Gdzie to...? Gdzie masz...? To, no! Gdzie to...? Janusz przeraził się śmiertelnie.

— Nie wiem, jak Boga Kocham! — zaprzysiął pośpiesznie, nie dociekając, co gdzie ma.

Kierownik pracowni uczynił wysiłek, zmierzający do opanowania przynajmniej ludzkiej mowy.

— Gdzie to...? To, no, to...

— Zlecenie — odpowiedział półgłosem naczelny inżynier.

— Zlecenie! Gdzie to zlecenie?!

Janusz nadal nie baczył na treść, ponieważ zbyt prędko przerażała go forma.

— Słowo honoru, że nie wiem! Ja nic nie mam!

— Musisz mieć! Oddaj mi je natychmiast! Nie będziemy w tym uczestniczyć! Nawet jeśli mnie zdejmą...! Dobrze, pójdę zamykać ulice!

Pozostałym trójce zaczęło coś świtać, Janusz jednakże czuł się osobiście zagrożony, umysł jego zatem wydawał się tknięty paraliżem.

— W porządku, ja też pójdę — zgodził się z pośpiechem. — Od zaraz?

— Natychmiast! — krzyknął z rozpędu kierownik pracowni, rozkazującym gestem wyciągając rękę, po czym zastygł w tym ruchu, niezdolny na razie do niczego więcej.

Wyciągnięta ręka kierownika pracowni do reszty odebrała Januszowi przytomność umysłu. Gapił się na nią w panicznym przerażeniu. Naczelny inżynier zrozumiał, że musi się wtrącić.

— Masz zlecenie od inwestora na wielką płytę w ośrodku zdrowia — powiedział, wciąż półgłosem. — Oddaj mu je.

W mgnieniu oka Janusz zrozumiał i zrobiło mu się niedobrze. Odwrócił się, wysunął szufladę i zaczął w niej gmerać, a wyciągnięta ręka zwierzchnika uparcie trzymała na uwięzi jego władze umysłowe.

— Idiota — powiedziała nagle Barbara z najgłębszym niesmakiem. Janusz zamarł nad szufladą, a kierownik pracowni uczynił w tył zwrot, nareszcie opuszczając rękę.

— Zupełny krety — powtórzyła Barbara wzgardliwie. — Na umysł ci padło, czy co? Powiedzże mu prawdę, przecież cię nie udusi.

Co prawda, kierownik pracowni wyglądał tak, jakby był zdolny udusić na oczekaniu wszystkich pracowników biura, ale z chwilą, kiedy jego wyciągnięta ręką

ka opadła, Janusz odzyskał nagle sprawność umysłową. Znalazł wyjście. Spłynęło na niego natchnienie.

— Dobra — rzekł z determinacją, zasuważąc szufladę. — Powiem ci prawdę. Chała.

Kierownik pracowni tej prostej i wyczerpującej informacji nie zrozumiał. Odwrócił się znów do Janusza i patrzył pytająco, dzikim wzrokiem, bez słowa.

— No chyba wyraźnie mówię? — zdenerwował się Janusz. — Chała. Nie ma tego zlecenia.

— Jak to nie ma? Przecież było!

— Było. Ale nie ma.

— A gdzie jest? Janusz nabrał oddechu.

— Wyrzuciłem! — rzekł mężnie.

— Co...?!

— Wyrzuciłem! Zdenerwowałem się! Niech szlag trafi wielką płytę! Postanowiłem, że nie będę robił i wyrzuciłem! Możesz mnie wylać z roboty!

Na całe dwie sekundy wszystkim zapało dech w piersiach. Potem nagle twarz kierownika pracowni rozjaśniła się promiennie, a błysk szaleństwa znikł z jego oka. Kierownik pracowni posiadał wyobraźnię wcale nie gorszą, niż najbliższy jego sercu zespół. Wyczuł pokrewieństwo dusz i natychmiast ujrzał się na czele zastępów, na ognistym rumaku, z mieczem w dłoni, husarskie skrzydła zaszuwały mu u ramion. Wróg roztrzaskany orężem, skruszony w kawały, legł u jego stóp...

Kierownik pracowni opanował czarowną wizję i prawie odzyskał równowagę.

— Bardzo słusznie — pochwalił niebotycznie zaskoczonego Janusza. — To znaczy, może raczej należało nie wyrzucać tego, tylko przyjść do mnie, ale ja rozumiem. Chcieli, żebyś zastosował w ośrodku wielką płytę, tak?

Janusz przyświadczył.

— Napisali, że mają, tak? I chcą zużyć? Dla oszczędności? Tak?

— Co do oszczędności, to nie jestem pewien, czy takiego słowa użyli, ale zastosować owszem. Zdaje się, że chodziło o jakieś odpady ze spółdzielni.

— Bez znaczenia. Całe, czy uszkodzone, promieniuje jednakowo, powiedzmy to sobie raz wreszcie otwarcie. Numer pisma, datę i liczbę dziennika mamy, wystarczy. Możesz się tym nie zajmować, sam im odpiszę i niech się to nareszcie przewali!

Energicznym krokiem opuścił pokój i poszedł do siebie, a wszystkie oczy podążyły za nim.

— Wiecie, takie mam wrażenie, jakby przeszła trąba powietrzna — wyznał Karolek, przerywając milczenie. Janusz otrząsnął się z okropnych doznań.

— Ho ho ho... Hipcio nam pazur pokazał...

— To było genialne! — zwróciła się do niego Barbara z ożywieniem.

— Wyrzucić, a nie zgubić! Skąd ci się wzięła ta cudowna myśl?

— Nie wiem. Ze strachu.

— Słuchajcie, co to było? Co się tu u was stało? — spytał niespokojnie zaglą-
dający przez drzwi Włodek. — Życie wszyscy?

Kierownik pracowni przeszedł przez urzędowy lokal z taką twarzą, że całe przedsiębiorstwo zamarło. Personel chciał teraz wiedzieć, jakie skutki miał je-
go pobyt w pokoju hipotetycznych winowajców. Doskonały, na oko sądząc, stan
wszystkich członków zespołu budził niejakie zdziwienie.

— Myślałem, że was wszystkich pozabija — powiedział Stefan z lekkim roz-
czarowaniem.

— Myśmy też tak w pierwszej chwili myśleli. . .

Naczelny inżynier, uczuwszy nagle wyraźną potrzebę oddalenia się bodaj na
chwilę od kierownika pracowni, nie towarzyszył zwierzchnikowi. Pozostał w po-
koju. Wyjaśnił całą sprawę reszcie współpracowników i tłok w pomieszczeniu
znacznie się zmniejszył. W końcu grono gości ograniczyło się do trzech osób.

Włodek oparł się o deskę Lesia, przysiadając na niej chwilami i powodując
uniesienie do góry drugiego końca. Lesio chwycił wówczas butelkę z tuszem,
Włodek zaś odruchowo przenosił ciężar ciała na nogi, dzięki czemu deska z lek-
kim stuknięciem wracała do poprzedniego położenia. Lesio próbował zwrócić mu
uwagę, ale Włodek nie słuchał, bez reszty zaprzątnięty problemem, na nowo roz-
pętany przez kierownika pracowni. Roztrząsał go z masochistyczną lubością
i satysfakcją.

Stefan precyzyjnie się obok stołu Barbary i usiadł na jedynym wolnym krześle,
pilnie obserwując wszystkich obecnych, ponieważ wywęszył tu nikłą woń tajem-
nicy i poczuł się zaciekawiony. Naczelny inżynier stał za plecami Barbary oparty
ramieniem o futrynę drzwiową i odpoczywał psychicznie, nie słysząc ani słowa
z gadania Włodka. Barbara, Janusz i Karolek milczeli, doprowadzając do porząd-
ku wzburzone umysły, Lesio pilnował butelki z tuszem. Deska lekko popukiwała.

Włodek zorientował się nagle, że mówi w próżnię. Zamilkł z urazą, zarazem
przysiadając mocniej na desce. Wiedziony instynktem Lesio uniósł wyżej butelkę
z tuszem i z rezygnacją oczekiwał dalszego ciągu. Włodek przyjrzał się współ-
pracownikom, stwierdził całkowity brak reakcji, jego uraza gwałtownie wzrosła
i równie gwałtownie usiadł na skraju deski. Skraj ugiął się pod nim, drugi koniec
skoczył w górę i wyrznął od spodu trzymającą tusz rękę Lesia. Włodek poderwał
się, deska z hukiem wróciła na swoje miejsce, z butelki zaś wychlupnął strumień,
trafiając wprost w czubek głowy. Na dźwięk godny salwy armatniej wszyscy się
jakby ocknęli.

— Dobra, możemy zaczynać! — zarządził Janusz z ożywieniem. — Już chyba
drugiego występu Hircio nie da?

— I akurat są wszyscy — dodał Karolek. — Nie trzeba będzie powtarzać.

— Świnia — powiedział rozgoryczony Włodek. — Nalał mi na głowę.

— Cud, że nie poszło na rysunek! — rzekł Lesio pobożnie. — Mówiłem, żebyś nie siadał! Masz, tym wytrzymaj. . .

Podał mu zgnieciony kłęb papieru toaletowego. Włodek zaniechał wycierania ściekających mu po czole czarnych strumyków chustką do nosa i zaczął trzeć głowę papierem toaletowym, rozmazując po sobie malownicze smugi. Nikt na niego nie zwracał uwagi.

— Hircio nam przerwał na samym początku — przypomniała Barbara. — Zaczynamy! Najpierw w ogólnych zarysach.

— No, nareszcie! — mruknął Stefan. — Czekam tu jak ten pień, żeby was odblokowało, bo widzę, że coś macie. Co to ma być?

— Polowanie na grubego zwierza — odparł dumnie Lesio, opróżniając z różnych drobnych przedmiotów wysoki stołek i podsuwając go Włódkowi. — Masz, siadaj.

Włodek obejrzał się na stołek, z godnością wzruszył ramionami i po namyśle usiadł na nim, wciąż ciężko obrażony.

Janusz, Karolek i Barbara pokrótce wyjaśnili Stefanowi sedno rzeczy. Stefan słuchał z wielkim zainteresowaniem, kiwał głową, pukał się palcem w czoło, ale słów żadnych na razie nie wypowiadał. Naczelnny inżynier przy futrynie również słuchał w milczeniu, nie czyniąc żadnych gestów.

— Sprawa jest zdecydowana, trzeba tylko ułożyć dokładny plan — kontynuował energicznie Janusz. — Dziki to nie świstaki, mnożą się szybko, a jeśli mają być zeżerane przez te hieny, to już lepiej, żeby chociaż jeden został zeżarty przez nas. Komu się nie podoba, może nie brać udziału, tylko niech nam potem nie patrzy w zęby. Karol, ty pierwszy, znasz teren.

— Wszyscy znacie teren — wytknął Karolek. — Byliśmy tam sto razy. To jest tam, gdzie płynie ta czysta rzeczka.

— Ale tylko tobie ten facet pokazywał! Karolek poprawił się na krześle.

— No więc łąka jest za rzeczka i przed rzeczka, nie? W ogóle jedna łąka, a rzeczka ją przegradza w połowie. Las dookoła. . .

— Z jednej strony droga, a z drugiej nawet wieś — przerwał spod drzwi naczelnny inżynier.

— Wielka mi wieś, trzy chałupy na krzyż!

— Toteż właśnie, wieś nie przeszkadza. Powtórzę wam dokładnie, co on mówił, utkwilo mi w pamięci. Otóż dziki wychodzą z lasu, z jednej strony, z tej prawej. . .

— Z lewej — skorygowała Barbara. — Porządny las jest z lewej.

— A gdzie masz twarz?

— Na potylicy. . . — mruknął kąśliwie Włodek na swoim stołku.

— A nie, masz rację, jak tam jadę, to twarz mam z przodu, a jak wracam, to z tyłu. . .

— Wszyscy wiemy, gdzie jest porządny las! Wal dalej! — pogonił Janusz niecierpliwie.

— No więc dziki wychodzą z tego lasu i rozłazą się po całej łące, ale głównie lecą tam, gdzie stoją stogi siana. To są stogi tego faceta, sam je ustawiał i już stoją, chwalić Boga, dwa miesiące. Myszy się pod nimi zagnieździły, dziki przychodzą i ryją pod stogami i dookoła noc w noc. Ściśle biorąc, on mówił, że wychodzą o zmierzchu. Wedle tego co wyliczył po śladach, jest ich co najmniej osiem sztuk, z czego dwa stare i wielkie, a reszta młode, ale też dorosłe. . .

— Widział je?

— Dwa razy widział, jak później wracał, ale głównie rozpoznał po śladach. On się na tym zna.

— I wszystkie osiem mamy złapać? — zaniepokoił się Lesio.

— Zgłupiałeś? Ogród zoologiczny będziesz zakładał, czy hodowlę? Wystarczy nam jeden.

— I nie złapać, tylko upolować!

— Polował ktoś z was kiedykolwiek na dziki? — spytał cichym głosem naczelnny inżynier.

Na krótki moment zapadło milczenie. Przerwał je Janusz.

— Dziki się strzela breneką. To wiem na pewno.

— Z procy? — wtrącił jadowicie Stefan.

— A gdyby nawet! — wyrwał się Lesio zuchwale. — Z procy Dawid zabił Goliata!

— Nie wiem, czy Goliat miał twarde życie, bo co do dzika, to zdaje się, że owszem. . .

— Ale był większy!

— No to co? A w ogóle co ty, chory jesteś?! Breneką z procy. . .?! Kota masz?!

— Uspokójcie się w tej chwili! — zażądała z gniewem Barbara. — Zabraniam wygadywać te bzdety, bo nigdy do niczego nie dojdziemy, a sprawa jest poważna. Broń palna odpada, chyba że ktoś z was ma zezwolenie. Ma ktoś?

Wszystkie głowy zgodnie wykonały gest przeczenia.

— W porządku, zatem o broni palnej nie ma mowy. To jest karalne.

— Kłusownictwo też jest karalne. . . — zaszemrał Włodek.

— Jakie kłusownictwo, co bredzisz?! — oburzył się Lesio. — Nie żadne kłusownictwo, tylko zwyczajne, sporadyczne, przymusowe zaopatrzenie się w dzikie mięso! I nie na handel, tylko do własnego użytku!

— W każdym razie jest mniej karalne, niż nielegalne posiadanie broni — ucięła ostro Barbara. — Róbcie sobie co chcecie, macie wykombinować sposób polowania bez broni palnej i koniec! Prawdziwi mężczyźni potrafią!

Zakłęcie miało nadprzyrodzoną moc. Grono prawdziwych mężczyzn zareagoowało jak należy, nawet Włodek wyprostował się na stołku, a naczelnny inżynier

oderwał się od futryny i energicznym krokiem podszedł do stołu Lesia. Lesio chwycił butelkę z tuszem i wypiął pierś.

— Tylko mi tu nie siadaj...! Upolować zwierzę bez broni, wielkie mi rzeczy! Chociażby złapać na łąso!

Stefan jęknął okropnie, ale nie zdążył się odezwać, bo uprzedził go Janusz.

— Z procy, to nie jest takie głupie, mało to człowiek z procy szyb nawybijał... Albo z łuku! Ostatecznie, nasi przodkowie z łuku potrafili trzasnąć mamuta!

— Rzucali także dzidą, względnie oszczepem — przypomniał uprzejmie naczelny inżynier. — Zaczynamy ćwiczenia...?

— Jeżeli już, to tylko toporem! — ogłosił Stefan z przekonaniem. Karolek od dłuższej chwili usiłował się wtrącić.

— Ależ czekajcie, dajcie mi dojść do słowa! On powiedział więcej! Mówiliśmy o polowaniu bez broni!

— To czegoż nic nie gadasz?

— Przerwaliście mi! Zaraz, chciałem po kolei... Otóż on mówił, że kłusownicy... No nie, niekoniecznie kłusownicy, w ogóle ludzie... Znaczy ci, co polują bez broni. Robią tak, że wykopują dół. Dół się maskuje, musi być dość duży, jakaś przynęta i dzik w to wpada... .

— I zabija się na miejscu?

— Coś ty, dopiero tam go trzeba zabić!

— Tylko proszę humanitarnie! — przerwała ostrzegawczo Barbara. — Żadnych jatek, bez znęcania się! Jednym ciosem i od razu!

— Toporem można ogłuszyć — podsunął zachęcająco Stefan.

— Już cię widzę, jak włazisz do tego dołu i walisz dzika toporem! A gołymi rękami udusić, nie łaska?

— Muszę włązić, ty głupi cepie? Mogę mieć na długim trzonku!

— Cicho bądźcie i niech on mówi dalej! — zawołał naczelny inżynier.

Karolek znów doszedł do głosu.

— On mówił o bagnecie — oznajmił. — Z rozmowy wynikało, że ma bagnet i umie się nim posługiwać... .

— Nie tylko on — mruknął Stefan. — Bagnet, niezła myśl... .

— Ja też mam bagnet — zakomunikował naczelny inżynier. — Jazda, dalej!

Poganiany Karolek zaczął się śpieszyć.

— Ale niekoniecznie bagnet, można siekierą, ona ma rację, humanitarnie, jednym ciosem, albo odpowiednim nożem, zabija się dzika w mgnieniu oka i już. A niektórzy polują siatką, cicho bądźcie, niech ja powiem, otóż jeśli jest parę osób, bo na przykład tylko dwie mogą nie dać rady, otóż parę osób podkrada się tam, gdzie one żerują i otacza stado siatką. Siatka musi być przygotowana... .

— Jaka siatka?

— Zwyczajna, chyba ogrodzeniowa. Zrozumiałem tak, że trzeba szybko ściąć, dziki się stłoczą, zanim przerwą tę siatkę, wybiera się jednego, też się go

szlachtuje jakimś narzędziem, on ciągle mówił o bagnecie, ale może być toporek albo nóż, jednego się ma, a reszta ucieka. Mówił jeszcze o innych sposobach, ale wydały mi się trochę skomplikowane i tylko te dobrze zapamiętałem. . .

— No tak, bo te są przecież zupełnie proste. . . — zamamrotał Włodek jadawicie.

— O łapaniu na łąso nie mówił? — spytał szybko Lesio.

— Owszem, coś wspominał, ale używał raczej określenia pętla. Taki rodzaj zasadzki, dzik w to wtyka łeb albo nogę. . .

— Pętla czy łąso, żadna różnica!

— To na łąso ty będziesz łapał! — warknął Stefan.

— A jeszcze można się zwyczajnie zacząć, obłożyć chlebem albo czymś innym co dziki lubią i jeśli podejdzie, dźgnąć. Ale to musi być ktoś odważny i sprawny. . .

— Och. . . ! — wyrwało się Barbarze.

Jakby eksplozja nastąpiła w atmosferze. Ani jeden z obecnych w pokoju prawdziwych mężczyzn nie zawahałby się w tym momencie przed stawieniem czoła stadu rozjuszonych odyńców ze scyzorykiem, widelcem albo zgoła nawet wykałaczką. Lesiowi zabrakło tchu, oto raz wreszcie mógłby pokazać, co potrafi. . .

Wybuch wewnętrznych mocy po chwili nieco przygasł, ale jakiś ślad po nim pozostał.

— Najlepiej zastosować wszystkie sposoby razem — zawyrokował Janusz. — Osób wystarczy, a to będzie najpewniejsze.

— A właściwie, tak między nami, to o co chodzi? — spytał nagle Stefan. — Co was napadło, żeby polować na dziki?

— Biało — wyjaśnił krótko Karolek.

— Co biało?

— Dzikie biało — rozszerzył wyjaśnienie Janusz. — W obliczu całkowicie zatrutego pożywienia, powietrza, głodu, ognia i wojny. . .

— Zachowaj nas Panie — podsumował życzliwie Lesio.

— Nie, nie tak. Nie to chciałem powiedzieć. W obliczu zatrutego pożywienia, powietrza, no, czego tam jeszcze. . . Wody, ziemi, wielkiej płyty. . .

— Oraz ogólnej mierzwy, jaka nas otacza. . . — dołożyła zimno Barbara.

— Potrzebne jest przynajmniej raz na jakiś czas coś, co ma sens — włączył się Karolek. — Na przykład mięso. Wszystko jest sztucznie karmione i tak dalej i nie przebijesz się przez to. I jedyne wartościowe mięso, to dzikie, rozumiesz. Więc chcemy zdobyć dzikie mięso!

— Chociaż raz do roku! — podjęła z zaciętością Barbara.

— W ogóle chociaż raz osiągnijmy coś, wbrew temu wszystkiemu dookoła. Bez łapówek, umizgów, żebraniny i wieców masowych ratujmy się we własnym zakresie!

— Sto razy to słyszałeś — wytknął Janusz z naganą. — Dzik to jest zwierzę duże i wystarczy dla wszystkich. Przypomnij sobie, co mówił doktor, tylko dziczyzna...!

Niesmak i politowanie znikły z twarzy Stefana całkowicie.

— Dobra, nie agituj. Wyleciało mi z głowy. Może i rzeczywiście to jest niezły pomysł... Ale to nie ma co teraz wszystkiego rozstrzygać, trzeba sprawdzić na miejscu. Ja tego terenu tak dobrze nie pamiętam, byłem tam wszystkiego dwa razy, bez rozeznania nie poluję!

— No to o co chodzi, pojutrze wolna sobota... .

— W sobotę nie mogę — zawiadomił Włodek głuchym, posępnym głosem. — Jedźmy jutro.

— A co, ty też? — zdziwił się Lesio, bo dotychczas Włodek w rozważaniach nie brał udziału.

— A niby dlaczego nie?

— Dobra, może być jutro — zgodził się Janusz. — Od razu po pracy.

— A obiad?

— Obiad zjemy tam — zdecydowała Barbara. — Rozpalimy ognisko i upieczemy kiełbasę na patyku. Nad rzeczką jest doskonałe miejsce.

— Mogę kupić kiełbasę — zaoferował się Karolek. — Koło mnie jest taki sklep, gdzie czasem bywa. I tam sobie uzgodnimy dokładnie całą resztę!...

W jesiennym plenerze, pod błękitnym niebem, nad kryształowo czystą rzeczką, Barbara z wielką łatwością rozpałała nieduży ogienek z suchych, olchowych patyków, wygrzebała z torby dwadzieścia cztery bułki, wyciągnęła dwa termosy z kawą i zaczęła wzywać współpracowników na posiłek. Współpracownicy rozleźli się po łące, wnikliwie badając teren, co głównie polegało na wielokrotnym obchodzeniu w koło trzech wielkich stogów siana. Wokół wszystkich stogów wyraźnie były widoczne ślady rycia, na kretowiskach odcisnęły się gdzieś tam nawet racice i Karolek triumfował.

— Proszę, wszystko się zgadza! Tu przychodzą i żrą myszy. Proszę, te ślady zupełnie świeże. I widać, że ich dużo.

— Faktycznie, zorane jak pługiem — przyświadczył Janusz z uznaniem. — W życiu bym nie zgadł, że jest ich tylko osiem!

— Hej, słuchajcie, tu jest najlepsze miejsce! — zawołał Lesio spod sąsiedniego stogu. — Strasznie zryte, tu bywają najwięcej!

Od strony lasu nadszedł naczelny inżynier.

— Przychodzą stamtąd — oznajmił, wskazując skraj łąki. — Tam jest bagnisty las, podmokły, dziki to lubią. Widziałem ślady dookoła ścieżki.

— Trzeba wybrać miejsce na dół... .

Znad rzeczki dobiegł zew Barbary i wszyscy przypomnieli sobie nagle o obiedzie. Ruszyli ku ognisku. Karolek, ociągając się, siedł ostatni.

— Wolałbym jeść tutaj, na tej górcie — mówił z żalem. — Jest widok na wszystko i można by się równocześnie zastanawiać, a tam krzaki zasłaniają. . .

Barbara, zniecierpliwiona, czekała na niego, dysponował bowiem głównym daniem obiadowym.

— Karolek, chodźże wreszcie! Gdzie ta kiełbasa? Stefan już zrobił patyki!

Do Karolka nagle dotarło, oderwał się od problemów łowieckich i nieco zmieształ. Przykląkł nad swoją torbą.

— O rany, zapomniałem wam powiedzieć, wyleciało mi z głowy. . . Nie ma kiełbasy. Nie było w sklepie, ale za to był pasztet. Kupiłem pasztet w puszkach, myśliwski, nawet pasuje, nie? A do bułek bardzo dobry. No co wam poradzę, kiełbasy nie było i już!

— Żeby cię piorun strzelił! — warknął Stefan i wrzucił zastrugane patyki do wody.

— Pólgłówek — oceniła krótko Barbara.

— Co robisz, frajerze! — zawołał Janusz do Stefana, nie zdążywszy go powstrzymać. — Można było bułki przypiec, przypiekane na ognisku są lepsze!

— O, cholera. . . No trudno, przepadło, drugich strugał nie będę.

Oburzenie na Karolka zgasło szybko, bo wszyscy mieli ważniejsze sprawy na głowie. Janusz i naczelnny inżynier zaczęli otwierać puszki, posługując się jeden scyzorykiem, a drugi śrubokrętem.

— To właściwie na plaster nam to ognisko? — przecknął się nagle Stefan. — Napoje w termosach, możemy się przenieść z wiktem nawet i na środek łąki.

— No właśnie, na ten pagórek! — poparł go żywo Karolek. — Stamtąd widać całą okolicę, wybierzemy miejsce pałapki!

— Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszystkie razem na łączkę, na ten pagórek! — zadeklamował Lesio uroczyście. — Tam zjemy pasztet, tam zjemy bułki, tam sobie zjemy ogórek!

— Masz ogórek? — zainteresował się Janusz.

— Ja mam — rzekł dumnie Włodek. — Nawet dwa. I nie ze sklepu. Moja kuzynka przywiozła, wyrosły jej na gruntach.

Na zupełnie płaskiej łące w jednym miejscu wznosił się niziutki pagóreczek, wyglądający jak płaski kurhan, względnie rozległy grób. Po większej części zajęty był przez potężny stóg, obok stogu jednakże znalazło się dość wolnej przestrzeni dla całego zespołu. Ponadto ślady dzików były tu nader obfite, co czyniło teren szczególnie pociągającym.

— Ja bym wykopał tu — zaproponował Janusz, wygrzebując pasztet z połowicznie otwartej puszki. — Z byle której strony tego grobowca. Widać, że łążą dookoła.

— Tam jest jeszcze więcej śladów — zauważył Lesio i wskazał nożem sąsiedni stóg, wznoszący się w odległości nie większej niż czterdzieści metrów. — Poorane jak traktorem, mówię wam. . .

— Przy tamtym to samo — mruknął naczelny inżynier, czyniąc ruch głową w kierunku trzeciego stogu, usytuowanego również w pobliżu, za niewielką kępą zarośli.

Stefan z uwagą przyjrzał się wszystkim stogom po kolei.

— Tu w ogóle odpada! — zawyrokował bezapelacyjnie. — Przeleciałem się po tej łące, zdaje się, że tutaj jest akurat najtwardsze miejsce. Gdzie indziej jest bardziej miękko. Wykopałbym tam, albo tam. . .

— No właśnie, tam! — ucieszył się Lesio. — I ślady i miękko. . .

— A co nam szkodzi właściwie wykopać dwa doły?

— Puknij się, co to ma być? Wykopki, czy polowanie?

— Możemy nie zdążyć — ostrzegł naczelny inżynier. — Zacząć trzeba przez samym zachodem słońca, nie wcześniej, żeby nikt nie zwrócił uwagi. Będzie mało czasu.

— I tak wszyscy razem jednego dołu kopać nie będziemy!

— Ale są inne przygotowania. Chociażby te machinacje z siatką. Też trzeba coś z tym zrobić i też w ostatniej chwili.

— Podzielimy się na grupy! — zdecydował z energią Janusz. — Teraz, w pierwszej kolejności, narzędzia. . .

— Mam kawałek siatki — zawiadomił Stefan. — Ściśle biorąc, ma mój brat, działkę ogradał i trochę mu zostało. Wąska, będzie w sam raz.

— Potrzebne łopaty.

— Wystarczą saperki. Mam jedną w samochodzie. Włodek, ty też masz?

Włodek brał dotychczas najniklejszy udział w myśliwskich rozważaniach, ograniczając się do melancholijnej kontemplacji pejzażu. Pokiwał kilkakrotnie głową, wciąż nic nie mówiąc. Janusz, Stefan i naczelny inżynier zaczęli się przymerzać do napaści na dzika z siatką ogrodzeniową. Sposoby ułożenia i zamocowania przyrządu, jako broń myśliwska dość nietypowego, wzbudziły liczne wątpliwości i wywołały żywe kontrowersje. Janusz proponował uzupełnienie siatki ogrodzeniowej siecią rybacką wielkiej mocy, kawałek takiej sieci bowiem posiadał i dotychczas nie miał okazji jej użyć.

— Poszarpać poszarpie, ale przecież nic w mgnieniu oka — przekonywał. — Grube to jak cholera, nożem trzeba długo dydolić, a dziki chyba nie gryzą, nie? One coś tam tymi kłami. . . I tyle mam tego, że całą flotyllę można obsłużyć.

— Na diabła ci taka sieć? Wybierałeś się na wieloryby?

— Nie, miałem w planach hamak. Nawet dwa hamaki, ale dostałem jej tyle, że wystarczyłoby na dwadzieścia.

— Wziąć ze sobą nie zaszkodzi, możliwe, że damy ją po brzegach. Łatwiej tym operować, niż stalową. . .

Włodek, któremu niechęć do ludzkiej mowy nagle przeszła, kłócił się z Lesiem i Karolkiem o miejsce wykopania dołu. Karolek przychylił się do zdania

Lesia, Włodek obstawał przy trzecim stogu, bliższym środka łąki. Spór rozstrzygnęła Barbara.

— Ty się nie mądrzyj — rzekła do Lesia. — Co cię obchodzi dół, będziesz łapał na łące. A ty głupi jesteś — zwróciła się do Włodka. — Nie możemy się tam na łące za dużo barłoczyć, bo zostawimy smród i dziki nas wywęszą.

— Możemy się wytarzać w rozmrożonych dorszach — podsunął Włodek zgryźliwie.

— W śmietniku! — zawołał żarliwie Karolek. — Chociaż posiedzieć trochę i już się przejdzie!

— I w ogóle tu nie przyjdą — kontynuowała Barbara. — A tutaj oni zaczają się z łąką. Więc dół musi być tam!

Lesio ze zmarszczoną brwią mierzył wzrokiem przestrzeń ku lasowi. Zaczynał rozkwitać wewnętrznie i wyraźnie czuł, jak rośnie w nim skrzyżowanie torreadora z kowbojem. Z białą bronią na dzikiego zwierza, to jest coś...!

— Trzeba się rozstawić — orzekł stanowczo. — W razie gdyby żaden nie wpadł w dół i z łąki by im uciekły, ktoś musi czatować tam, i tam je zatrzymać.

— Chwycić na łące, tak...?

— Powiedzmy. Bodaj na chwilę przyhamować, taki dzik się zapłaczę, jeden go zatrzyma, a drugi podskoczy z czymś. No, z nożem, czy z siekierą... .

— Naprawdę dobre byłoby coś na długim trzonku — zaproponował Karolek. — Co myślicie o kosie na sztorc?

— Narzędzie historyczne... Masz kosę?

— Nie, ale chyba można kupić?

— Diabli wiedzą. Już po żniwach, więc może. Spróbuj... .

Najrozmaitsze przyrzędy pomocnicze zaplanowano na zapas, nikt bowiem nie ośmielił się twierdzić, że cokolwiek może być z całą pewnością zbędne. Wszystkie jednostki płci męskiej, nie wyłączając Włodka, po dokładnym rozważeniu sprawy zaoferowały się zaszlachtować zwierzynę humanitarnie, jednym sprawnym ciosem. Jednostka płci żeńskiej poleciła posprzątać ślady posiłku.

— Zakopać! — zakomenderowała. — Żadnego paskudzenia! Szczególnie te cholerne puszkę po pasztecach, dzika upolować możemy, ale nie będziemy zaśmiecać środowiska! Niech który wykopie dołek.

Saperki znajdowały się w samochodach pozostawionych dość daleko, na drodze. Nikomu nie chciało się lecieć po nie taki kawał, Janusz wykopał zatem nieduży dołek śrubokrętem, wybrałszy w tym celu możliwie miękkie miejsce. Upchnął weń puszkę, niedbale zgarnął na wierzch trochę ziemi i przysypał to trawą, patykami i liśćmi. Środowisko, na oko biorąc, pozbyło się wszelkich śladów obecności ludzkiej.

— Kiedy? — spytał krótko Stefan, opuszczając łąkę.

— Aby nie jutro! — zastrzegł się Włodek. — I nie w niedzielę!

— W poniedziałek — zdecydowała kategorycznie Barbara. — Do poniedziałku pogoda się jeszcze utrzyma, a jak dalej, nie wiadomo. Karolek kupi kosę w godzinach pracy. Ma ktoś obiekcje? Nikt nie ma. W porządku, wobec tego w poniedziałek.

W poniedziałek, z ośmiu godzin pracy, Karolek sześć spędził na mieście i wrócił z czymś cienkim, prostym i długim, co w najmniejszej mierze nie przypominało kosy. Owinięte było starannie Trybuną Ludu i okręcone sznureczkiem. Karolek nie wypuszczał tego z ręki, padł na swoje krzesło i ułożył sobie przedmiot na kolanach.

— No więc, kosa to mrzonka! — oznajmił tonem pełnym urazy.

Obleciałem wszystko, byłem nawet w sklepie geesu pod Tarczynem, bo akurat mi się trafił autobus. Powiedzieli mi tam, że od półtora roku kosy nie widzieli na oczy i jak chcą kupić, jadą do Warszawy. W Warszawie rzeczywiście często bywają, ale na ogół w zimie. Teraz nie ma. Koniec.

— Trudno, obejdziemy się bez kosy — rzekła Barbara.

— Dobrze, że w ogóle wróciłeś — pocieszył go Janusz. — Już myślałem, że cię samochód przejechał.

— A to coś, to co to jest? — spytał ciekawie Lesio, wskazując cienki przedmiot.

— No więc właśnie! — podjął żywo Karolek. — Przypomniało mi się, że u nas w domu była stara szpada, sam na niej piekłem szaszłyki dawno temu, no i znalazłem ją w piwnicy, bo moja matka, na szczęście, nigdy niczego nie wyrzuca. Może się przydać.

To mówiąc, jął pieczołowicie zdejmować sznureczek i odwijać warstwy Trybuny Ludu. Wszyscy przyglądali mu się z wielkim zainteresowaniem.

— Po cholere tak to porządnie zapakowałeś? — zaciekawiał się Janusz.

— Bo ona jest trochę zużyta. Głupio mi było nieść luzem. Chyba przydałoby się ją naostrzyć...

Szpada istotnie nie błyszczała nowością. Zardzewiała była kompletnie, lekko zgięta w połowie, ponadto miała odłamany czubek i brakowało jej rękojeści. Karolek jednakże był pełen wielkich nadziei.

— Da się chyba naostrzyć, nie? A że nie ma za co trzymać, to nawet lepiej, zamocuje się na drągu i będzie broń długa. Do dźgania doskonała!

— To by trzeba wklinować. Pokaż no...

— Jeżeli macie naostrzyć, pospieszcie się — powiedziała Barbara. — Zostało nam mało czasu. Na Grzybowskiej jest remont, niech tam który skoczy, niech zapyta, gdzie ostrzą mesle.

— Dobra myśl! — ucieszył się Janusz. — Dawaj, ja to załatwię! Wyrwał Karolkowi szpadę i wybiegł z pokoju. Z korytarza zawrócił, chwycił Trybunę Ludu i wybiegł ponownie.

Barbara, Lesio i Karolek nie nadawali się już do pracy. Karolek przyniósł sobie ze służbowej kuchenki herbatę i popijał ją, odpoczywając po wysiłkach. Lesio wlaź na czworakach pod swój stół i z trudem zaczął wywlekać wielki kłęb grubej, solidnej, plecionej liny, niezupełnie nowej, ale robiącej bardzo dobre wrażenie.

— Wiecie, mam problem. . . — wystękał.

Barbara i Karolek przyglądali mu się, Barbara krytycznie, Karolek z życzliwym zaciekawieniem. Lesio wyprostował się unosząc zwój w rękach.

— W kupie to ciężkie jak cholera — zakomunikował. — Próbowałem tym rzucać i nawet leci jak trzeba, chociaż trochę mniej daleko, niżbym chciał. Mam wrażenie, że kowboje na preriach rzucają troszeczkę dalej. Ale jednak leci, odwija się i niby wszystko dobrze, tylko ta pętla nie chce łapać. Wali w to coś, co powinna złapać, jakby jej wcale nie było, a próbowałem i na większych rzeczach i na mniejszych. I nic.

— Deformuje się? — zgađł Karolek.

— Właśnie. Może miałem trochę mało rozmachu. . .

— Ale i bez rozmachu powinna działać siła odśrodkowa?

— Działa, całość leci jako kółko, dopiero na końcu ta pętla robi z siebie sznur. Więc mam myśl. . .

— Ja też! — zawołał Karolek. — Już wiem!

— Zaraz, ja pierwszy. Pomyślałem, żeby to może usztywnić. Wpleść kawałek drutu, albo co. . .

— A coś ty, jakie tam usztywnić! Ja już wiem, ten facet mówił. Otóż nie można rzucać tak jak kowboje, dzik to koń i podobno łeb ma inny. . .

— Możesz w to śmiało uwierzyć — zapewniła go Barbara. — Że łeb ma inny, ja ci osobiście gwarantuję.

— Toteż dlatego pętla ma nie być rzucana, tylko ma wisieć!

— Jak to wisieć? — oburzył się Lesio. — Gdzie ma wisieć? Na szubienicy?

— Nie, na czymkolwiek. Tak zrozumiałem, że ona wisi tam, gdzie dzik ma łeb. Wkłada w to łeb i jest złapany.

— Dobrowolnie tak wkłada? Ten facet powiedział także, jak go do tego namówić? Zna jakieś specjalne rodzaje perswazji?

— Tak! — potwierdził Karolek z zapałem. — To znaczy, nie! Ona ma wisieć na drodze dzika. Tam, gdzie dzik ma swoją ścieżkę, albo tam, gdzie wiadomo, że będzie uciekał. Dzik ucieka na oślep i wtedy wpada.

— Nie zapomnij uzgodnić z nimi przedtem, gdzie będą uciekać — poradziła Barbara.

— Mam myśl! — krzyknął Lesio, nagle olśniony. — Pętla musi być ruchoma! Rozumiecie, niech sobie wisi, ale trzeba nią operować! Więc na czymś do trzymania. . .

— Na wędce!

— Nie, to za ciężkie, wędka nie utrzyma. Trzeba coś solidniejszego, jakiś drąg. Zaraz spróbuję skombinować, może przy tym remoncie coś mają.

— Ale on musi być długi, czy się zmieści w samochodzie? — zatroskał się Karolek.

— Czyście obaj zgłupieli ostatecznie? — spytała cierpko Barbara.

— Naprawdę chcecie jechać z drągiem do lasu...?

Wrócił Janusz z zaostrzoną i nawet nieco oczyszczoną z rdzy szpadą. Do pokoju zajrzał Włodek z wyrazem twarzy tajemniczo triumfującym, a potem wyraźnie zniecierpliwiony Stefan. Kiedy pojawił się także naczelny inżynier, wszelką myśl o pracy porzucono bez żalu i zdecydowano się jechać już.

Samochód Stefana wypchany był dokładnie kłębem siatki ogrodzeniowej. Drugi, grubszy kłęb znajdował się na dachu. Januszowi surowiec na hamaki nie zmieścił się w bagażniku i zajmował całe tylne siedzenie. Miejsca dla pasażerów pozostały tylko w samochodzie Włodka, ale przed zajęciem ich cofnęli się wszyscy.

— Na litość boską, co ci tutaj tak śmierdzi?! — spytała Barbara ze wstrętem. — Słuchajcie, ja z nim nie jadę! Co ty tu masz?!

— Przynęte — odparł Włodek dumnie. — Było gadanie o przynęcie, czy nie? Coś ty myślała, że to będą perfumy?

— A co to jest...?!

— Ryby. Specjalnie szukałem zaśmiardłych. Nie macie pojęcia, z jaką radością sprzedali mi w sklepie. Od rana leżą w samochodzie i widzę, że trochę doszły. Dziki to lubią.

— Dziki może... Janusz, oddaj mu te toboły, pojedziemy z tobą. I zabierzcie od niego jedzenie dla nas, bo to przejdzie!

— To niech weźmie jeszcze i łąso — zaproponował Lesio.

— I niech jedzie pierwszy, żebyśmy mogli udzielić mu pomocy, jakby co...

W trzy kwadranse później na cichej, rozległej łące wśród lasów zawrzała gorączkowa praca. Pierwotne ustalenia przydały się bardzo i teraz z miejsca można było przystąpić do działań praktycznych.

— Prędej, słońce zachodzi za półtorej godziny! — popędzał naczelny inżynier, w konkursowym tempie kopiąc dół w towarzystwie zemocjonowanego Karolka.

— Ciekawa rzecz... że tu tak pusto... — dyszał Janusz, uginając się pod ciężarem przenoszonej wspólnie ze Stefanem siatki. — Żywego ducha... już któryś raz... nie ma... A chałupy stoją...

— Co cię obchodzi, nie ładuj się w te doły! Omijaj! Ciesz się, że leśniczego nie ma...!

Lesio i Włodek truchtem donosili z lasu odpowiednie żerdzie i drągi, wciąż pełni wątpliwości, czy nie ujawnią się w nich jakieś ukryte wady. Barbara usiłowała rozplatać i rozciągnąć hamakowatą sieć, linę Lesia oraz inne różnorodne

linki i sznurki, zabrane na wszelki wypadek. Po następnych trzech kwadransach przygotowania z grubsza zostały ukończone i przystąpiono do sprawy zasadniczej, a mianowicie do montowania siatkowej pułapki.

Trzeba trafu, iż wachlarz pozaprofesjonalnych umiejętności zespołu, zaczynając od Barbary, a kończąc na naczelnym inżynierze, był dość szeroki. W ich skład, między innymi, wchodziły takie rzeczy, jak łapanie ryb i raków, żeglarstwo, pilotowanie co lżejszych samolotów, strzelanie z broni długiej i krótkiej, ręczne koszenie zbóż i traw, naprawa różnych urządzeń mechanicznych, jazda konna, kolekcjonowanie motyli, dzierganie włóczką, ściąganie skóry z zająca i wiele innych, polowaniem jednakże jakoś się nie zajmowano i z dzikim zwierzem nikt nigdy nie miał do czynienia. Wiedza na ten temat była najzupełniej przypadkowa i niekoniecznie ścisła. Wszyscy orientowali się, że łoś ma szerokie kopyta i dlatego chodzi po bagnach, niedźwiedź nie ruszy padliny, kły dzika nazywają się szable, a pokąsanie przez lwa powoduje gangrenę. Pokąsania przez lwa nikt zresztą nie umiał sobie wyobrazić i wszystkim znacznie bliższe było pokąsanie przez pekińczyka. Najlepiej znano lisy, o których wiadomo było, że czynią spustoszenie w kurniku i w Wiedniu kosztują straszne pieniądze. Co do całej reszty pewne wydawało się tylko, iż łowy na nieoswojoną zwierzynę przedstawiają sobą, zależnie od jej rodzaju, jakieś większe lub mniejsze niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo należy przewidzieć i uchronić się przed nim.

Rozciągana i rozwijana siatka ogrodzeniowa stawiała zdecydowany opór i wszystkie czternaście rąk było przy niej zajętych. Na szczęście z tym materiałem większość osób miała już w życiu do czynienia, zdołano sobie zatem poradzić. Cienkie żerdki, drutem przyłączone do oczek siatki, usztywniły ją nieco i nie pozwoliły zwiijać się w drugą stronę.

— Czy one nie są za cienkie? — zatroskała się Barbara. — Jak się szarpie, pękają od razu.

— Nie szkodzi, to przecież tylko chwila — uspokoił ją Karolek. — Trzeba te dziki zatrzymać na króciutki moment, żeby wybrać jednego i ciach! Potem niech ją diabli biorą.

— No, no! — zaprotestował Stefan energicznie. — Bez głupich żartów! Obiecałem mojemu bratu, że ją zwrócę w nienaruszonym stanie!

— Tu wbijamy słupki! — zdecydował Janusz. — Nie, nie będę wbijał, lepiej wkopać. Dajcie saperkę!

— Wiecie, cały czas mam obawy, że to chyba coś nie tak — wyznał naczelnym inżynierem tonem, w którym spod niepewności przebijał jakby akcent rozpaczy. — Akurat się na tym nie znam, ale jak wy to właściwie chcecie zrobić? Złapać je w siatkę, rozumiem, ale konkretnie, jak?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparł beztrąsko Janusz. — Karolek wie. Hej, niech mi tu ktoś przytrzyma!

Karolek zaczął wyjaśniać.

— Tu siatka. Przy samym stogu. Zamaskujemy ją trochę sianem. Teraz wyobraźcie sobie, one tu żerują, ryją, węszą. . . Widzimy, że się zgromadziły, niekoniernie wszystkie, powiedzmy trzy, czy cztery. Wtedy szybko! Dwie osoby łapia tamte końce, one muszą być dosyć daleko. . .

— Ta siatka od hamaka już jest przyczepiona? — przerwał Stefan.

— Nie, zaraz ją przyczepię — odparła szybko Barbara.

— No! — pogonił naczelną inżynier. — Mów dalej! Łapia i co?

— I lecą jak dzikie, żeby się połączyć. Dzikie zauważają, startują, ale zanim się przedrą, jest ta chwila. . .

Na moment zapadło milczenie. Oczyma duszy wszyscy nagle ujrzeli szarżę rozjuszonych dzików na zamykającą się pułapkę. Ma się to odbyć w ciemnościach. W ciemnościach zwierzę na ogół lepiej widzi, niż człowiek.

— A te dwie osoby, to kto? — spytał zimno Stefan.

— Ci co nie mają broni. Włodek i Janusz.

— Ja mam broń! — zawołał Janusz z pośpiechem. — Zapomniałem wam powiedzieć. Ekstra klasa!

Włodek obrzucił go nieżyczliwym spojrzeniem. Barbara popatrzyła ze wzgardą i wrzuciła ramionami.

— Ja nie mam broni — oznajmiła sucho. — I nie będę dźgać, żeby nie wiem co. Człowieka mogę, zwierzątka nie będę. Mogę łapać i latać.

Protest wybuchł tyleż zgodny, co gwałtowny, wręcz żywiołowy. O bezpośrednim udziale gwiazdy zespołu nie mogło być mowy, bezwzględnie musiała być odsunięta poza zasięg wszelkiego niebezpieczeństwa, działać mieli prawo wyłącznie prawdziwi mężczyźni. Jak jeden mąż, wszyscy zgłosili się na ochotnika, ale Karolek okazał największą siłę przebicia. Przeworsował własną kandydaturę.

Sprawdzono wymiary. Siatka ogrodzeniowa w dwóch kawałkach mierzyła razem dwadzieścia dwa metry. Sieć na hamaki składała się nawet z trzech kawałków, z których jeden miał długości dwadzieścia metrów, a dwa po jedenaście. Sześćdziesiąt cztery metry stwarzały pewne możliwości manewru.

— Bo tak myślę, czy nie zacząć najpierw się skradać, a dopiero potem lecieć — rozważał z zapałem Karolek. — Rozumiecie, tu przyczepimy więcej i może nawet przedłużymy linkami, aż dosięgnie się tych krzaków i ten od tej strony we właściwym momencie zacznie się skradać, delikatnie zacieśniając ogrodzenie. Jak już będzie blisko, no, powiedzmy, za tymi krzakami. . .

— Tylko żebyś nie złapał w siatkę krzaków!

— Nie, będę się skradał z tej strony. I jak już będę tu, wtedy razem ruszymy, w galopie, ile tu mamy. . . ? Dwadzieścia metrów. Dziesięć metrów każdy przeleci w sekundę, niemożliwe, żeby te dziki zdążyły, muszą się przecież zastanowić! I od razu lecimy dalej, ściskamy siatkę, aż się schodzi ta ogrodzeniowa. Dzikie nie mają rozpędu, rzucają się, ale zanim co, któryś z was zdąży. . .

— Ale jeden z nas zostanie w środku — zauważył sucho Włodek.

— Ciągniemy zapalki?
— Zostaniesz na tyłach dzików! One się będą pchały do przodu! Zresztą, ja mogę zostać, mam szpadę.
— Czy rzeczywiście jesteś pewien, że to tak się powinno odbywać? — spytał naczelny inżynier z powątpiewaniem coraz bardziej rozpaczliwym.
Rozpłomieniony zapałem Karolek zakłopotał się nieco.
— Tak to rozumiałem. Jak ten facet mówił, wyobrażałem to sobie i tak mi wyszło. Chyba najlogiczniej, nie?
— A ten facet jest w ogóle normalny? — spytała podejrzliwie Barbara.
— I tak ci zdążył wyklarować to wszystko za jednym przysiadem? — dodał niedowierzająco Stefan.
— Za jakim jednym?! Za tysiącem! No pewnie, że jest normalny, ja się z nim w ogóle zaprzyjaźniłem! Byłem tu miliony razy, przyjeżdżałem autobusem, nawet mu pomagałem trochę przy tym sianie!
— Fakt — przyświadczył Janusz. — Ja też go znam, robi wrażenie, jakby wiedział, co mówi. Jeżeli twierdził, że polował na dziki, ja mu wierzę.
— No właśnie! Ja go tak rozumiałem, a na rozum inaczej nie można! I w końcu nie chodzi nam o to, żeby one w tej pułapce spędziły całe życie, tylko o to, żeby jednego dopaść! A poza tym, to w ogóle może nie być potrzebne, to tylko rezerwa na wypadek, gdyby żaden nie wpadł do dołu!
— Nie wiem, czy nie prościej byłoby łapać je za zadnie nogi — mruknął pod nosem Stefan.
— Zróbmy próbę — zaproponował naczelny inżynier, zachwiany nieco w swych obawach. — Mamy jeszcze chwilę czasu. . .
Propozycję przyjęto z zapałem. Janusz z Karolkiem obsypali ziemią i udeptali cztery słupki, metalowa siatka przeszła za nimi i została do nich przywiązana drutem. Żerdzie i patyki usztywniły także siatkę sznurową, zapasowe linki przedłużyły ją o następne kilka metrów. Włodek z jednym końcem ulokował się obok bliższego stogu, Karolek odciągnął swoją część daleko w kierunku środka łąki, aż do rosnących tam zarośli. Metalowa siatka stała wsparta o słupki, sznurowa kładła się na ziemi.
— Bardzo dobrze, niech się kładzie, podniesiecie ją w ostatniej chwili — zdecydował Stefan.
— Moja strona stoi! — zawołał Włodek spod stogu. — Mogę ją tu przyczepić patykami, wyrywa się jednym ruchem!
— Dobra, to teraz spróbuj się skradać. . .
Uchwyciwszy linki, zgięty w pół Karolek jął się skradać delikatnymi ruchami, wymacując przed sobą nogami dołki i górki. Siatka popęzła za nim.
— Jak krzyknę, ruszajcie obaj! — zakomenderował Stefan.
Włodek mocniej ścisnął wplecioną w skraj siatki żerdkę i przybrał pozycję do startu. Karolek skradał się dalej, trochę nerwowo pociągając za sobą brzemień,

wlokące się bez większych przeszkód po skoszonej trawie. Zatrzymał się, wybrał linki, uchwycił swój skraj z żerdką. Znów ruszył dalej, z wolna podnosząc ku górze jeden brzeg siatki. Wszyscy obserwowali go w straszliwym napięciu.

— Teraz!!! — wrzasnął zniecierpliwiony Stefan.

Karolek runął do przodu. Włodek wyrwał ze stogu wielki kłęb siana i skoczył mu naprzeciw, odruchowo wybierając prawą stronę. Karolek znalazł się we wnętrzu pułapki.

— Ścieśniać, ścieśniać! — wrzeszczał Stefan. — Do środka!!!

Włodek popędził w dal, jego siatka podcięła nogi Karolkowi.

Z chrzęstem i trzaskiem łamanych żerdzi siatka ogrodzeniowa ruszyła kawałek i przewróciła się na Karolka. Obie strony siatki hamakowej splątały się ze sobą i legły na ziemi, ścięty z nóg Karolek pozostał tam, gdzie padł. Próba wypadła nie najlepiej.

— Widzę błąd i wiem co zmienić — stwierdził Janusz, zabierając się do naprawy połamanego usztywnienia. — Tej ogrodzeniowej trzeba zostawić tylko mały kawałek, a reszta nich stoi. Latać się będzie z hamakową.

— I ja chyba muszę mieć krótszy odcinek — zauważył Karolek, wyplątując się ze zwojów i oczek. — Chociaż taka plątanina też chyba niezła, co? Któryś może w to wpaść i zaczepić nogą. . .

— Krótszy kawałek i od razu masz się pchać do środka — zarządził Stefan. — A ty nie leć do lasu, tylko tu bliżej i ciągnij ostro. Tej ogrodzeniowej metr z każdej strony wystarczy, więcej się nie ruszy, a do zaplątania hamakowa może być. Żebyście tylko przez parę sekund utrzymali, to już damy sobie radę. Jazda, zamieniać to, ty wkopuj słupki, a my przygotowujemy narzędzia. Karolek, dawaj szpadę!

— Ustawmy to trochę inaczej — wtrącił się Włodek. — Zróbmy tu taki dziób, żeby on miał się gdzie podziać. A w razie, gdyby na ciebie szarżowały, po prostu przeskoczysz górą.

— Niech ktoś zamaskuje dół — polecił naczelny inżynier.

Wprowadzono korektę pułapki, zgromadzono i uporządkowano broń myśliwską. Ze zwalonej na uboczu kupy sprzętu Janusz wyciągnął i dumnie zaprezentował pozostałym prawdziwą, góralską ciupagę. Trzonek miała bardzo długi, ponadto nie była żadną cepeliowską atrapą, tylko rzetelną, staroświecką ciupagą, ze stalową siekierką z jednej strony i również stalowym bolcem z drugiej. Świeżo naostrzona siekierka błyskała złowieszczo w promieniach zachodzącego słońca. Janusz machnął nią, aż powietrze furknęło.

— Prósze! Łeb tym można rozdziabać jak nic!

— Tylko nie próbuj walić w łeb — ostrzegł Stefan. — Dzik ma łeb jak kamień, pociski rykoszetują. Wał gdzie indziej.

— Gdzie na przykład?

— Nie wiem. Dźgać, to wiem, że należy pod łopatkę, ale co do walenia, nie mam zdania. Może ci się uda przedziabnąć mu kręgosłup. Chociaż z drugiej strony, dzik to jest gatunek świni, nie? A świnię się ogłusza.

— No to o co chodzi? Dzika też chyba można ogłuszyć?

— Toteż myślę, że trzeba walić w tył łba. Rozumiesz, on ma twarde front, a świnię też się wali jakby z tyłu. Byłem parę razy przy szlachtowaniu i zamierzam spróbować obuchem. Ale moje cięższe, a twoja siekierka za lekka.

Janusz zważył ciupagę w rękę i z niechętnym szacunkiem popatrzył na straszliwy topór Stefana. Sam widok topora wystarczył, żeby człowiek poczuł się z lekka ogłuszony. Dzik, mimo niewątpliwie mniejszej wrażliwości psychicznej, również powinny jakoś to odczuć. . .

Włodek znalazł dołu niecierpliwie wzywał Karolka, żądając pomocy przy maskowaniu. Woń przynęty mieszała się z woniami łąk i pól, zwyciężając w tej konkurencji bezapelacyjnie. Lesio motał swoją linę na długiej, sękatej żerdzi, tworząc na jej końcu pętlę w postaci wiszącego półkola. Czynił to w niejakim oddaleniu, żerdź bowiem wymagała przestrzeni. Na skutek długości zaczepiała o wszystko, na skutek ciężaru zaś nie pozwalała sobą swobodnie manewrować. Jedyne, co Lesio był zdolny z nią uczynić, to unieść z dołu i z wielkim wysiłkiem przez chwilę potrzymać. Był zdania jednakże, iż ta chwila powinna wystarczyć.

Naczelnym inżynierem opracował szpadę Karolka w coś, co wydawało się stosowną rękojeścią. Było długie, twarde i solidne, i naczelnym inżynierem wybrał to starannie z całego stosu przywleczonych z lasu drewna. Janusz i Stefan przy pomocy Barbary kończyli mocowanie wszystkich siatek.

Włodek z Karolkiem marudzili nad dołem. Zamaskowali go, wetknęli znak ostrzegawczy w postaci dwóch patyków, po czym Włodek dał ujście wątpliwościom.

— Bez sensu — rzekł, nieco rozdrażniony. — Ten jeden dół, to za mało. Najlepiej byłoby, gdyby wpadły do dołu, bo te inne rodzaje łapania są niebezpieczne. To znaczy, chciałem powiedzieć, niepewne, mimo wszystko mogą nam uciec. I ja ci mówię, że będą uciekały tamtędy, o! I tam powinien być drugi dół.

Karolek zgodził się z nim chętnie i bez namysłu.

— No oczywiście, co nam właściwie szkodzi wykopać i ten drugi? Zanim oni skończą, zdążymy pięć razy. Mnie też się wydaje, że będą uciekały tamtędy.

Zachodzące słońce znikło za lasem, kiedy przygotowania zostały zakończone ostatecznie. Drugi dół był gotów. Znajdował się dokładnie na prostej pomiędzy dwoma dalszymi stogami, miał rozmiary jakby pękatego grobu i oznakowany był czterema patykami. Rozgorączkowany zespół pospieszenie spożył posiłek, podejmując zarazem decyzję w kwestii bezpiecznego miejsca dla Barbary. Wielkiego wyboru nie było i rozstrzygnięcie przyszło łatwo.

— Wejdiesz na stóg! — zarządził naczelnym inżynierem. — Pomożemy ci.

— Oszalałeś! — oburzyła się Barbara.

— Przeciwnie. To jest, z pewnością oszalałem, skoro biorę udział w tej obłąkanej imprezie i coraz bardziej mi się wydaje, że to się źle skończy. Ale zostały mi jeszcze jakieś resztki oleju w głowie i w końcu mniej się boję o siebie z bagnetem, czy nawet o Karola ze szpadą, niż o ciebie bez niczego. Wejdiesz na stóg albo nie będzie polowania!

Zespół poparł jego zdanie z wyjątkową jednomyślnością i Barbara musiała ulec. Z trzech stogów w grę wchodził tylko jeden, posiadający płaski wierzch, na którym można się było ulokować i nie zjechać od razu.

— Będziesz stamtąd miała najlepszy widok na całość — zauważył Janusz, przełamując tym argumentem resztki jej oporu. — I włącz zaraz, bo już czas się rozstawiać.

Tłumione dotychczas emocje wystrzeliły niczym fajerwerk. Prezentując najdoskonalszy spokój i opanowanie, grono myśliwców pod stogiem zdołało poprzewracać wszystkie termosy, pogubić zakrętki od nich i wleźć butami w szczątki kanapek. Ktoś z trzaskiem rozdeptał plastikowy kubeczek. Propozycje i decyzje nabrały charakteru pewnej nerwowości.

— Tylko nie wszyscy w kupie, bo nas poczują! — syczał Stefan ostrzegawczym szeptem. — Rozdzielamy się! Każdy gdzie indziej!

— Ja tam! — zastrzegł się Lesio wskazując stóg, przeznaczony dla Barbary.

— Głupiś, tam ja! — zaprotestował Włodek. — Tam mam siatkę!

— No to co? Ja im tam muszę zastawić drogę! To jest miejsce na pętlę!

— Nie kłócić się, jeden po jednej stronie stogu, a drugi po drugiej! Karolek tam, a ja tu...

— Ależ coś ty, kretyństwo! One stąd ruszą i nie zdążysz! Trzeba im przeciąć drogę jak zacząć uciekać!

— Toteż muszę być blisko, nie? Będę na ich tyłach, jeden skok!

— My tam! — zawiadomił Stefan, wskazując trzeci stóg. — Też po dwóch stronach. W razie gdyby on którego złapał na łąso, będziemy mieli najbliżej...

— Sprzątnąć tu! Zabierzcie te łopaty, tu nic nie może zostać!

— Spokój! — uciął naczelny inżynier. — Jazda, wszyscy na stanowiska! Ty pierwsza, już!

Wspólnym wysiłkiem kilku osób zirytowana Barbara została wepchnięta na ogromny stóg siana, gdzie, wbrew swoim obawom prawie wcale się nie zapadła. Stóg był solidnie ubity. Nawet w pozycji siedzącej widziała wokół siebie wielki krąg terenu, ponadto, znalazłszy się o prawie cztery metry wyżej, dokonała natychmiast cennego spostrzeżenia.

— Hej, słuchajcie! Zaczyna wschodzić księżyc! Będzie wszystko widać! Zaraz wylezie zza lasu...!

— Koniec gadania! — zarządził Stefan. — Siedz, jak ci dobrze, a reszta na miejsca! A niech który spróbuje kichnąć...!

Sześć cieni wniknęło w półmrok, głosy i szelesty ucichły i łowy na dzikie mięso, dokonywane przy pomocy siatki ogrodzeniowej, lassa, ciupagi i szpady, wkroczyły w fazę zasadniczą.

Przyległszy w krzakach, do nieprzytomności przejęty Karolek od razu poczuł, jak na wylot przenika go wilgoć łąki. Pożałował, że nie podesłał sobie nieprzemakalnej płachty wchodzącej w skład zapasowego wyposażenia, ostatecznie płachta dzikom w niczym nie powinna przeszkadzać. Zaczął się zastanawiać, gdzie ta płachta w tej chwili leży. Chyba razem z innymi rzeczami, ukryta w krzakach nad rzeczką...

Przytulony do stogu tuż za siatką ogrodzeniową Janusz szybko nabral wątpliwości co do wybranego miejsca. Czy aby rzeczywiście zdąży za tymi dzikami...? W zapadającej ciemności i kryjącej ziemię mgiełce usiłował dojrzeć zaplanowany punkt połączenia siatek, rozważając sens przesunięcia się gdzieś tam bliżej i ukrycia za kretowiskiem. Niepewność, czy kretowisko skryje go dostatecznie, powstrzymała go od działań.

Pod trzecim stogiem naczelnym inżynier opływał zimnym potem, teraz dopiero uświadomiwszy sobie dokładnie w czym uczestniczy. Doznał okropnego wrażenia, iż tak daleko doprowadzona impreza siłą rzeczy stała się już nieuchronna i musi się odbyć. On sam nie może się już wycofać ani załamać, trudno, przepaść, musi stanąć na wysokości zadania...

Oddalony od niego o trzy metry Stefan nie przeżywał żadnych dusznych rozterek, trochę niespokojny tylko, czy nikt nie nawali. Ścisnął w garści rękojeść topora i trwał w przekonaniu, że w końcu dzik, to tylko nieoswojona świnia...

Pod uświęconym obecnością Barbary stogiem tkwili Włodek i Lesio. Włodek miał potworny kłopot. Przymocował siatkę do stogu wetkniętymi w siano patykami i usiłował znaleźć sobie obok niej takie miejsce, z którego łatwo mógłby wystartować do biegu i w którym zarazem byłby niewidoczny dla zbliżającego się dzika. Najlepiej byłoby wleźć pomiędzy stóg i siatkę. Brzeg siatki kładł się na ziemi. Nastroszyć trochę siana, bardzo dobrze, tylko jak spod tego wyskoczyć...? A tak jak teraz, dzik może go zobaczyć z daleka...

Po drugiej stronie stogu klęczał spotniały z przejścia Lesio, wokół niego zaś słały się zwoje liny. Wiedział, że tej liny ma za dużo. Był zupełnie pewien, iż złapany na łąso dzik szarpnie, dość się o tym naczytał, żeby nie mieć w tej kwestii żadnych złudzeń. Każde złapane zwierzę szarpnie. Im mniej rozpędu ma do tego szarpania, tym lepiej, linę należy skrócić...

Z wysiłkiem rozwarł dłoń, kurczowo zaciśniętą na żerdzi i przez chwilę gimnastykował zdrętwiałe palce. Następnie znalazł koniec liny i zwinął w pętlę niepotrzebne metry. Po głowie skakały mu niejasne wiadomości z dziedziny taternictwa oraz jakieś gadanie o człowieku, którego przecięło w połowie. Na wszelki wypadek zrezygnował z okręcenia się dookoła w pasie, rozwinął zwój, przewłócił linę przez pasek od spodni, przywiązał porządnie i zwinął ponownie, okręcając kłęb

końcem. Ułożył sobie zwój u stóp, zdjął z ręki zegarek, schował go do kieszeni i uznawszy, że zrobił wszystko co trzeba, znów chwycił swoją żerdź.

Srebrna tarcza księżycy wylazła nad las i oświetliła łąkę, pokrytą warstwą mlecznej mgły. Mgła słała się nisko i nierównomiernie, najgrubsze jej pasmo ciągnęło się nad rzeczką i wzdłuż ściany lasu. Najmniej było w okolicy stogów, co wskazywało, że teren jest tu najsuchszy. Wszelki ruch zamarł, ciszę natury zakłócały jedynie żaby i jakieś dalekie, leśne szelesty.

Przemoknięty na wylot Karolek doszedł do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma. Dobre pięć minut poświęcił planowaniu, jak i którądy odpełźnie ze swojego miejsca, podkradnie się do rzeczki, chwyci płachtę i wróci, również pełznąc. Ścielała się przy ziemi mgła powinna go ukryć całkowicie. Ułożył równo linki, troskliwie ulokował obok nich szpadę i poczołgał się w stronę majaczącego niewyraźnie wierzchołka stogu.

Równocześnie Janusz podjął decyzję. Mgła stanowiła doskonałą osłonę, mógł zacząć się tak, żeby we właściwym momencie znaleźć się na tyłach dzików w połowie pułapki, co z pewnością było słuszniejsze. Oderwał się od stogu i powolutku, na czworakach, podążył wzdłuż siatki ogrodzeniowej, o dwa metry mijając pełznącego w przeciwnym kierunku Karolka.

Naczelny inżynier i Stefan trwali w bezruchu, świadomi, iż, wbrew pozorom, czatują nie dłużej, niż pół godziny. Lesio zmienił pozycję dwadzieścia dwa razy, wciąż niepewny, jaka będzie najwłaściwsza. Na próbę kilkakrotnie podniósł i opuścił żerdź z pętlą, po czym znów zamarł, wpatrując się w zamgloną ciemność, aż oczy zachodziły mu łzami.

Chwilę wcześniej Włodek uznał, że nie rozstrzygnie swojego problemu bez korekty miejsca. Musi zacząć się nieco bardziej za stogiem, w pewnej odległości od krawędzi siatki. Jeżeli dziki przyjdą, nie zauważą go. Zaczną żerować i będą tym zajęte. Zdaży zatem precyzyjnie się między siatką a sianem, chwycić tę krawędź i wyskoczyć we właściwej chwili. Nie może cofnąć się zwyczajnie, bo jego siatka częściowo stoi i nie przelezie przez nią, musi obejść stóg dookoła.

Wpatrzony w straszliwym napięciu w majaczące niewyraźnie pasma mgły Lesio nie zwrócił najmniejszej uwagi na przełazącego tuż za jego plecami Włodka. Włodek lał na czworakach, bardzo powolnymi, płynnymi ruchami, najświęciej przekonany, iż każdy inny sposób poruszania się spłoszy wszelką zwierzynę w promieniu co najmniej kilometra. Dziesięciu minut potrzebował, żeby zniknąć za stogiem po jego drugiej stronie.

W ten sposób w momencie, kiedy w omglonej czerni pojawił się najpierw jeden, a potem drugi czarny kształt, na swoich miejscach znajdowali się tylko trzej uczestnicy polowania. Janusz mościł się w połowie drogi między pierwszym stogiem, a stanowiskiem Karolka, Karolek z płachtą dopełzał właśnie do stogu Janusza, Włodek zaś, odgradzony od swojej siatki ogromną ilością siana, usiłował

zębami wydłubać igielki suchego ostu, o który oparł się ręką. Czarne kształty ujrzeni tylko Lesio i Barbara.

Barbara na stogu, a Lesio pod stogiem skamienieli całkowicie. Dwie pierwsze, niewyraźnie majaczące we mgle czarne bryły przetoczyły się obok nich w odległości zaledwie kilku metrów, za nimi zaś po chwili ukazały się następne. Zdrętwiały ze straszliwej emocji Lesio usiłował je policzyć, ale już przy czwartej stracił rachubę. Wszystkie kolejno znikwały mu z oczu gdzieś tam, w stronie pułapki. . .

Dziki dążyły przed siebie zgodnie, bez pośpiechu, ale i bez wahania, wiodła je bowiem cudownie piękna woń. Przed trzema zaledwie dniami płyciutko, pod samą trawą, zakopane zostały puszki z resztkami niedokładnie wygrzebanego pasztetu, który w ciągu tych trzech dni nabrał wyrafinowanego smaku i zapachu. Czarowny odór, bijący na głowę wszystkie ryby i myszy, bez trudu zwabił zwierzynę, rzadko kosztującą podobnego przysmaku. Pierwsze swoje kroki całe stado skierowało tam, gdzie czekał delikatesowy rarytas, szczególnie, że dostarczona przez Włodka przynęta, acz też nęcąca, skondensowała swój aromat pod szczelnym przykryciem gałęzi i liści i przestała tłumić inne wonie. Miała stanowić dopiero drugie danie.

Naczelny inżynier i Stefan najpierw coś usłyszeli, a dopiero potem zobaczyli. Czarne, ruchome bryły niewyraźnie jawiły się w mroku, rozjaśnionym blaskiem księżyca i zamazanym mgiełką. Obaj drgnęli wewnętrznie, ścisnęli mocniej myśliwską broń, napięli mięśnie. Janusz za kretowiskiem znieruchomiał w połowie zmiany pozycji. Karolek z płachtą zastygł przy stogu. Nagle zrobiło mu się gorąco jak nigdy w życiu, uprzytomnił sobie, że powinien być tam, a jest tu, tam zaś gdzie powinien być i gdzie została jego szpada, kotłują się właśnie dziki. . .

Czarne bryły zgrupowały się w jednym miejscu, tuż przy kępie zarośli. Zaczęły stamtąd dobiegać nagle wyraźniejsze dźwięki. Coś zabrzęczało. Do brzęku przyłączyły się pochrząkiwania. Rozległy się jakieś metaliczne trzaski. . .

Myśliwski zespół zmartwiał ze zgrozy. Wszyscy, z wyjątkiem odgradzonego stogiem i nieświadomego sytuacji Włodka, bezbłędnie zlokalizowali miejsce osobliwych hałasów. Nikt nie miał wątpliwości, iż jest to stanowisko Karolka. Jeden Karolek wiedział, że go tam nie ma i on jeden tylko pomyślał w panice, iż z niepojętych przyczyn dziki przegryzają szpadę. Reszta nie skoczyła mu na pomoc tylko dlatego, że przerażone osłupienie spętało im ręce i nogi.

Działo się coś, czego nie można było zrozumieć. Wydawało się niemożliwe, żeby ten rodzaj odgłosów mógł znamionować pożeranie Karolka, który w dodatku znosił to w absolutnym milczeniu, niemniej jednak dziki zlekceważyły wszelkie przynęty, zgromadziły się najwyraźniej w świetle nad jego głową i czymś tam potrzaskiwały i brzęczały. Nikt nie był w stanie pojąć zjawiska i nikt nie był zdolny do najmniejszego ruchu.

Po niesłychanie długich minutach, miesiącach, czy może latach, dziki dokonały przegrupowania. Kilka pozostało nad Karolkiem i pobrzękiwało nadal, cztery natomiast rozlały się po terenie. Dwa udały się w kierunku naczelnego inżyniera

i Stefana, jeden rył przed nosem Janusza, a jeden zbliżył się do stogu, na którym tkwiła oniemiała od wstrząsu Barbara. Konsumowanie przez czarne potwory brzęczącego metalicznie Karolka, zarazem absolutnie pewne i całkowicie niewiarogodne, ścięło lodem jej umysł i ciało.

Dzik, węsząc i ryjąc, wlaźł prawie na stóg, tam gdzie zwisała przyczepiona do siana siatka. W tym właśnie momencie Włodek, który już dawno zrezygnował z beznadziejnej walki z suchym ostem, nie mając pojęcia o niczym, na czworakach wylazł od drugiej strony. Dzik zwęszył go o ułamek sekundy wcześniej.

Woń ludzka, płynąca z pewnej odległości, nie przeszkadzała mu wcale, stanowiła trwałą cechę tej łąki i był do niej przyzwyczajony, ale woń ludzka, bijąca nagle w nozdrza tuż obok, to było coś zupełnie innego. Wbrew mniemaniu Karolka nie musiał się zastanawiać ani przez mgnienie oka. Kwiknął krótko, odbił się lewymi nogami i zawrócił w miejscu, rzucając się do błyskawicznej ucieczki.

Wszystkie dalsze wydarzenia nastąpiły prawie równocześnie i noc w piorunującym tempie odmieniła swoje oblicze. Z kwikiem, tętentem i łomotem całe stado dzików runęło w kierunku lasu. Ten pierwszy, który wzniecił alarm, wlaźł racią w oczko zawieszanej na stogu siatki i startując do biegu porwał ją za sobą. Doskonale przygotowana do łatwego wyrwania jednym ruchem siatka opadła mu na kark i bardzo porządnie owinęła się wokół tułowia, czyniąc z siebie coś w rodzaju płaszcza z trenem. Z trzaskiem pękły żerdzie, z brzękiem runęła siatka ogrodzeniowa, siatka hamakowa oderwała się od niej jakby niczym nie była przymocowana. Pękły linki i sznurki, prysnęły stalowe oczka.

Na widok umykającej wraz z dzikiem pieczołowicie pilnowanej krawędzi Włodek wykonał potężny skok, przy czym jadąca po ziemi siatka podcięła mu nogi. Równocześnie poderwał się Lesio. Nastawiony na jakieś błyskawiczne akcje, napięty do granic wytrzymałości, sam nie wiedząc co czyni, jednym sprężeniem mięśni miotnął ku górze swoją żerdź z pętlą. Wypryskujący spod stogu dzik trafił w nią bezbłędnie. Lesio poczuł straszliwe szarpnięcie, gruba żerdź pękła z odgłosem salwy z mózdzierza i wyskoczyła mu z ręki. Zarazem coś złapało go za spodnie i z potworną siłą pociągnęło do przodu. Przez kolejny ułamek sekundy kadłub Lesia pędził gdzieś w przestrzeń, a nogi bezskutecznie usiłowały za nim nadążyć, po czym całość runęła na coś, co z szaleńczą szybkością jęło unosić ją w dal. Lesio poczuł, że jedzie po ziemi, chwycił się czegoś, tajemnicza siła okręciła go wokół osi pionowej, coś go spętało, znów wrócił do pozycji na brzuchu i tracąc dech, bliski utraty zmysłów, mknął dalej po kretowiskach, krzaczkach, dziurach, zdrewniałych badyłach i zaschniętych krowich łajnach.

Barbara wydała z siebie straszny krzyk i zjechała ze stogu głową w dół wprost na podnoszącego się Włodka. Potwornie zdenerwowany Włodek usiłował wepchnąć ją z powrotem na stóg do góry nogami, jękliwym szeptem wzywając przy tym pomocy. Siano wsypało mu się za kołnierz i wlaźło do ust.

Na krzyk Barbary naczelnny inżynier i Stefan wystrzelili spod swojego stogu, nie bacząc na nic i nie zważając na dwie sztuki zwierzyny, które przemknęły im przed nosem. Zdażyli przebiec dziesięć kroków, kiedy ziemia rozwarła się nagle pod ich stopami i pochłonęła ich przepaść.

Janusz i Karolek byli w najkorzystniejszej sytuacji, znajdowali się bowiem niejako na skraju przedstawienia i mieli widok na całość. Poderwali się w momencie ucieczki dzików i skoczyli za nimi, Janusz płonący żądzą odwetu za pożartego Karolka, Karolek wiedziony niepokojem o szpadę. Obaj dojrżeli niewyraźnie ostatnie dwie sztuki, pędzące blisko stogu naczelnego inżyniera i Stefana, i obaj usłyszeli łomot wskazujący, iż spłoszone bestie trafiły na wilczy dół. Janusz dopadł dołu pierwszy, w ciemnościach dojrzał kotłującą się w nim zwierzynę, wziął potężny zamach, ciupaga furknęła mu w rękę. . .

W połowie ciosu zdażył jeszcze zmienić nieco jego kierunek, ponieważ jeden z upolowanych dzików bluznął okropnym przekleństwem. Ze straszliwą siłą ciupaga wyrznięła w brzeg dołu, wyrrywając zeń wielką pecynę ziemi i trawy. Dzik poniechał klątw i przystąpił do plucia i charkania, a osłabły nagle Janusz na krótki moment stracił wszelką możliwość działania.

Naczelnny inżynier wydostał się z dołu pierwszy.

— Pędzej!!! — krzyknął zdławionym głosem. — Tam się coś stało, pędzej. . . !!!

Spod sąsiedniego stogu wyskoczyła im na spotkanie Barbara, a za nią roztrzęsiony Włodek.

— Zlazła sama! — jęczał rozdzierająco. — Nie mogłem jej dać rady! Zlazła sama. . . !

— Lesio. . . ! — krzyknęła rozpaczliwie Barbara. — Poleciał za nimi!

— Karolek. . . ! — krzyknął Janusz. — Rany Boga żywego. . . !!!

Przez kilka chwil nocny plener wypełniały wyłącznie chaotyczne okrzyki. Okropnie zdenerwowany Karolek macał gorączkowo teren pod swoimi krzakami w poszukiwaniu szpady. Natrafił na jakieś pogniecione blachy, chciał się odezwać, ale coś go dławilo, zerwał się, potknął, podparł rękami i trafił na upragniony przedmiot.

— Jestem, jestem! — zawołał z ulgą i podbiegł do grupy pod stogiem.

Widok pierwszej ofiary żarłocznych potworów, żywej, zdrowej i nieuszkodzonej, zarazem ukoił rozpacz i wzmógł oszołomienie. Nikt już nie mógł niczego zrozumieć. Los drugiej ofiary zaciążył zwiększonym brzemieniem.

— A mówiłem, cholera, żeby nie łapał za zadnie nogi! — warczał z furją Stefan.

— Przeciwnie, mówiłeś, że to lepszy sposób!. — zdenerwował się naczelnny inżynier. — I po co mu było podpowiadać. . . !

— Co teraz. . . ?! Boże drogi. . . !

Odjazd Lesia w czarną dal na trzydziestu jeden metrach siatki hamakowej ogłuszył wszystkich do tego stopnia, że nikt nie był w stanie zebrać myśli. Nerwowe przypuszczenia i wzajemne wyrzuty rozdzierały nocną ciszę, poszarpana siatka ogrodzeniowa brzęczała pod nogami.

— Szukać go! — krzyknął naczelny inżynier. — Kto ma światło...?

— Już macie dzikie biało! — awanturował się Stefan, wyszarpując płaską latarkę z tylnej kieszeni spodni. — Żeby to piorun strzelił! Zleźcie z tej siatki!!! Całą mordę mi zasypał... .

— Ty się ciesz, że ja mam refleks!...

— Mnie tam nie było! — powtarzał w kółko zdenerwowany Karolek. — No mówię wam przecież, że mnie tam nie było...!

— Jazda! Za nim!

Z oddali dobiegał jeszcze niespieszny tętent uciekającego stada, które, zaledwie średnio spłoszone, nie rozwinęło swojej pełnej szybkości i dopiero teraz dopadało lasu. Błysnęły latarki. Światło odbiło się od mgiełki, pod którą niewyraźnie ukazały się ślady drogi, przebytej przez Lesia. Stłamszona trawa, wyrwane z korzeniami badyle, połamane małe krzaczki, i rozwłózione krowie łajna wiodły, jak strzelił, ku lasowi. Ekspedycja ratunkowa ruszyła nerwowym truchtem.

— Zegarek! — jęknął Janusz, dążący na czele. — Jezus kochany, zerwało mu z ręki...!

— Portmonetka... — zawiadomił głucho naczelny inżynier.

— Szalik...! Matko jedyna...

— Zaraz będzie ręka albo noga... — wyszeptał Włodek ze zgrozą i proroczo.

Ręki albo nogi jednakże nie udawało się dostrzec. Odnajdywane kolejno szczątki Lesia były niejako zewnętrzne i słabiej do niego przymocowane. W połowie trasy natrafiono na poszarpane dziesięć metrów siatki hamakowej, następnie na klucze od mieszkania, następnie pojawił się portfel i chustka do nosa. Bliżej lasu mgła zgęstniała i bliski szaleństwa zespół rozpoczął poszukiwania na czworakach.

W tym właśnie momencie Lesio otworzył ściśle dotąd zamknięte oczy. W jego kontaktach z dziką zwierzyną już co najmniej przed minutą nastąpiła odmiana, szczęśliwa dla obu stron. Trudno stwierdzić, w jakim stopniu uciekającemu dzikowi przeszkadzał wleczony ciężar, niemniej z całą pewnością wolał się go pozbyć. Racicę z oczka siatki wyplątał bez większych starań, płaszcz z obciążonym trenem zsunął mu się z karku, wpadając do lasu zaś, na pierwszym pieńku prze-rwał pętlę liny, przyłożywszy się do tego zaledwie odrobinę. Po czym swobodnie uszedł w knieje, oderwany od przeciwnika na zawsze.

Przez cały czas swej podróży Lesio nie myślał nic i nadal jeszcze umysł jego nie nadawał się do żadnego działania. Mimo to, coś w nim zdołało stwierdzić fakt, że już nie jedzie. Przedtem jechał, bardzo długo jechał, ale już nie jedzie i to od

dłuższej chwili. Ponadto zdaje się, że jest żywy. Możliwe nawet, że ciągle jeszcze w całości. . .

W całym jego ciele tkwiły wszystkie metry przebytej trasy, a szczególnie ostatni jej odcinek, odznaczający się wyjątkową uciążliwością. Jakieś góry i doły, jakieś wygarbienia w poprzek drogi, jakieś chlupnięcia mokre i zimne, w ogóle jakieś nieopisane okropności. Leżał zatem nadal w bezruchu, tępo wpatrzony w niewyraźnie majaczące mu przed nosem zielsko, aż do momentu, kiedy coś obok niego szurnęło nagle z szelestem. Wówczas wybuch paniki przemógł bezwład i Lesio jednym ruchem przybrał pozycję siedzącą, a śmiertelnie wystraszona żaba w rekordowym skoku chlupnęła do wody.

Nadludzki wysiłek wyczerpał cały zapas jego energii. Znow zamarł, wytrzeszczonymi oczami gapiąc się prosto przed siebie, dzięki czemu dojrzał we mgle jakieś czarne stwory, poruszające się i z wolna zbliżające się ku niemu. Okrążało go stado. . .

Poszukujący szczątków Lesia zespół zdenerwowany był tak straszliwie, że przestał dostrzegać cokolwiek, poza jego śladami. Znaleziono właśnie przed chwilą długopis i grzebień. Trawa przeistoczyła się w rodzaj sitowia i rosła w wodzie, rów przegradzał drogę, ale nikt na to nie zwracał uwagi.

Janusz natrafił nagle na kolejny, budzący zgrozę przedmiot.

— But! — krzyknął zdławionym szeptem i z całej siły szarpnął obuwie Lesia ku sobie.

Pociągnięty zniecka Lesio stracił równowagę, pojechał mały kawałek i padł na plecy. Pod nim było miętko. Jeszcze przez moment Janusz usiłował zderzyć mu but z nogi, ale perspektywa nowej podróży w nieznane była dla Lesia tak bardzo nie do przyjęcia, że już wolał być pożarty na miejscu. Poderwał się gwałtownie znow do pozycji siedzącej i Janusz uświadomił sobie wreszcie co widzi i co czyni.

— Ludzie. . . !!! — ryknął głosem syreny okrętowej. — Niech ja skonam. . . !!!

Czarne stwory we mgle zerwały się i gubiąc wyposażenie myśliwskie runęły ku niemu. Wpadły mu na plecy. Skamieniały bez głosu i bez tchu.

Dopiero po nieskończeniu długiej chwili osłupiały zespół uwierzył własnym oczom. Utracony Lesio, którego spodziewano się znaleźć w charakterze nie dojeżdżonych szczątków, ukazał się cały i nie uszkodzony. Podrapany nieco wprawdzie, z poobrywanymi kieszeniami, z rozprutym jednym rękawem i dziurą na kolanie, mokry i przeraźliwie ubłocony, ale bez większych obrażeń. Grono łowców ożyło z gwałtownością wulkanu.

— Rany boskie, myślałem, że strzępy z ciebie zostały! — wykrzykiwał uszczęśliwiony Janusz. — Słowo honoru, już się bałem, że paru kawałków w życiu się nie znajdzie. . . !

— Że też ci ręk nie oberwało! — dziwił się Włodek. — Albo nóg, albo wszystkiego. . .

— Nie do pojęcia, że ci nie zdarło spodni! — mówił naczelny inżynier, tak tym faktem zdumiony, że nie mógł się powstrzymać od pociągania Lesia za nogawki. — Jakim sposobem. . . ?

— Wyrwał ci się, nic nie szkodzi, ja rozumiem — pocieszała Barbara wspaniałomyślnie. — Najważniejsze, że żyjesz. . .

— Po cholereś za nimi leciał! — dopytywał się zirytowany Stefan. — Na mózg ci padło? Kto ci kazał się do niego przyczepiać?!

Z całej mieszaniny okrzyków do Lesia dotarł tylko dźwięk głosu Barbary. Odrobinę go otrzeźwił. Lesio jakby się ocknął, odzyskał zdolność mowy i poczuł, że w ustach ma mnóstwo czegoś, co mu przeszkadza i co z pewnością nie nadaje się do jedzenia.

— Tfu! — powiedział nieco ochryple. — O co chodzi, tfu! . . . Nic takiego. . . Tfu!

Zespół zareagował zgodnie.

— Idiota, nic takiego. . . ! Życie, ty cepie, mogłeś stracić. . . !

— Zgłupiał, jak Boga Kocham. . .

— Ty tumanie, nie czułeś, jaka to siła? Zerwało ci z ręki zegarek! Lesio odebrał Januszowi zegarek i dość niemrawo zaczął go zakładać.

— Wcale go nie miałem na ręku — oznajmił z urazą, przestając wreszcie pluć. — Włożyłem go do kieszeni. Nic się w ogóle nie działo, dopiero on chciał mi nogę wyrwać. . .

Obejrzał swoje oberwane kieszenie, smętnie zwisające przy kurtce. Barbara okręciła mu szyję jego własnym, odnalezionym szalikiem, co przywróciło mu kolejną odrobinę animuszu. Naczelny inżynier i Stefan domacali się liny przy jego pasku i obejrżeli resztki siatki i lassa.

— To mu uratowało życie — zawyrokował Stefan. — Jechał na siatce.

— I na tym zwoju liny — dodał naczelny inżynier. — Jedyna rozumna rzecz jaką zrobił, to to, że ją zwinął. Zamortyzowało uderzenia.

Lesio ożywił się już znacznie i poczuł przyływ dumy. Proszę, więc jednak przygotowania poczynił słuszne i właściwe. . .

— No właśnie! — rzekł z ogniem. — Gdyby on się nie urwał i gdyby ta łąka była większa, no, dużo większa i gdyby on tak leciał i leciał i leciał, w końcu by się zmęczył, dopadłbym go. . .

— I ugryzłbyś go w tyłek — podsunął życzliwie Włodek. Naczelny inżynier odwrócił się do Karolka.

— A swoją drogą, ja bym chciał zobaczyć tego twojego faceta, co poluje na dziki z siatką. Powiedziałbym mu parę słów. . .

— No nie wiem, może ja go trochę źle zrozumiałem — wyznał zakłopotany Karolek. — A możliwe, że nam to wszystko wyszło trochę nie tak. . .

Pozbierano rozrzuconą wokół Lesia broń myśliwską i wypłatano go ostatecznie ze skłębionych zwojów. Stwierdzono, iż siatka ogrodzeniowa pękła zaledwie

w trzech miejscach, zaś hamakowa ocalała w połowie. W celu wyjęcia szpady Karolek musiał porąbać rękojeść z drągą ciupagą Janusza. Wytarzani w przygnęcie Stefan i naczelny inżynier oraz przewleczony przez całą łąkę Lesio umyli się trochę w rzece. Zasypano dół i upchnięto bagaże w samochodzie.

Wszystkie wstrząsy, emocje i przeżycia sprawiły jednakże, iż popełniono jedno drobne niedopatrzenie. O drugim dole, nie używanym i bardzo starannie zamaskowanym, zapomniano na amen, na mur i na śmierć. . .

* * *

W gabinecie kierownika pracowni, do którego naczelny inżynier wszedł w celach służbowych, siedział wiecznie spieszący się orzecznik Orzechowski i podrygiwał na krześle. Nałogowy pośpiech podrywał go z miejsca, omawiany problem zaś trzymał na uwierzy. Kierownik pracowni wydawał się jakiś dziwny, zarazem rozpromieniony i mroczny, zacięty i trochę nieswój, rozmawiał w sposób niezdecydowany, to zapalając się gwałtownie, to okazując osobliwe roztargnienie. Naczelny inżynier zorientował się od razu, iż tematem konwersacji jest wielka płyta i zaskakująca zmienność zwierzchnika napełniła go żywym niepokojem. Porzucił swój pierwotny, służbowy cel i z zajęciem jął się przysłuchiwać rozmowie, niepewny, czy nie będzie musiał się wtrącić.

Niepokój zgaśł w nim rychło, stało się bowiem wyraźnie widoczne, iż w kwestii wielkiej płyty kierownik pracowni przejawia nieodmienny zapał, zaciętość i upór, roztargnienie zaś pojawia się w nim tylko w chwilach, kiedy wzrok jego pada przypadkiem na leżące przed nim pismo. Chwile te są rzadkie, kierownik pracowni bowiem z całej siły stara się na pismo nie patrzeć.

Orzecznik Orzechowski mówił niezmiernie interesująco. Naczelny inżynier nie słyszał początku, ale odgadł, iż nastąpiła jakaś gwałtowna zmiana i już po kilku zdaniach zrozumiał jej przyczyny. Spełniło się pobożne życzenie kierownika pracowni i osobnik, określanej przezeń wdzięcznymi mianami w afrykańskich narzeczach, na ostatniej konferencji był nieobecny. Sprawa upiornej wielkiej płyty delikatnie i nieśmiało zaczęła ruszać z miejsca. Teraz zaś okazało się, iż wspomniany osobnik będzie nieobecny także i na dalszych konferencjach, co stwarza kolosalne nadzieje.

— I nie zgadniesz, dlaczego — mówił z nie skrywaną uciechą orzecznik Orzechowski, wierząc się na krześle i przytupując. — Sam nie mogłem tego zrozumieć, bo taka czarna ospa, że nie popuści. Boi się, żeby mu się trochę władzy z pazurów nie wysnęło. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się poufnie. . .

Naczelny inżynier pomyślał, że więcej sekretów orzecznik Orzechowski zdradzi kierownikowi pracowni w cztery oczy, należy ich zatem zostawić sam na sam. Ruszył ku drzwiom.

— Gdybyś zobaczył gdzieś Janusza, bądź tak uprzejmy... — zaczął pospiesznie kierownik pracowni i urwał, bo spojrzął na pismo.

Naczelny inżynier zatrzymał się, oczekując dalszego ciągu.

— Z samej miłości do niego zrobią mu na przekór — mówił orzecznik Orzechowski. — Więc właściwie uchwałę o badaniu pyłów mamy jakby w kieszeni. Albo co najmniej zarządzenie. Nie będzie go ładnych parę tygodni...

Kierownik pracowni usiłował równocześnie nie uronić ani jednego z zachwycających słów orzecznika Orzechowskiego i powiedzieć coś do naczelnego inżyniera. Pismo na stole wyraźnie przeszkadzało mu we wszystkim.

— Gdybyś zobaczył Janusza, poproś go do mnie — wymamrotał szybko i półgębkiem.

Naczelny inżynier kiwnął głową i znów ruszył ku drzwiom.

— I nie zgadniesz, co mu się stało! — kontynuował orzecznik Orzechowski, zaczynając szatańsko chichotać. — Słuchaj, złamał nogę! Polowania teraz w modzie, pojechał na polowanie, wielki myśliwiec preriowy, Sokole Oko, Czarna Stopa, dziczyny mu się zachciało...

Naczelny inżynier ujął klamkę i zatrzymał się, tknięty jakimś dziwnym przeżuciem.

— I zaraz na początku złamał kopyto, szlag im trafił całe polowanie. Wpadł do jakiejś dziury, pułapki, czy coś takiego, nie dosyć, że złamał nogę, to jeszcze stłukł sobie kość ogonową! Pod Puszczą Kampinowską to było, zaraz, jak się ta wieś nazywa...

Kierownik pracowni spojrzął właśnie na pismo, miał chwilę roztargnienia i radosnym uczuciom dał ujście z opóźnieniem. Orzecznik Orzechowski bez przeszkód mówił dalej. Naczelny inżynier stał z ręką na klamce i słuchał, wyraźnie czując, jak obok wielkich, służbowych nadziei rośnie w nim prywatna odrętwiałość wewnętrzna.

Opuściwszy wreszcie po paru minutach gabinet kierownika pracowni, udał się wprost do pokoju architektów.

— Nie — odpowiedział Karolek na jego krótkie pytanie. — Zasypywałem tylko jeden dół, drugiego nie. Ale może ktoś inny...?

— Zasypywałem razem z tobą — przypomniał Janusz. — Ale faktycznie, tylko jeden. Cholera, zapomnieliśmy o drugim! I Włodek był z nami...

— Może Stefan...?

Wezwany natychmiast Stefan zaprotestował przeciwko posądzaniu go, jakoby zasypywał jakikolwiek dół. Także nie kopał żadnego. Jego kontakt z dołami ograniczył się do krótkiego pobytu na dzień. Lesio również nie zasypywał żadnego, mył się w rzeczce. Przybyły po chwili Włodek przyznał się do jednego, tego z Januszem i Karolkiem. Nikt nie zasypywał drugiego dołu.

— Z tego wynika, że drugi dół został? — przeraziła się Barbara.

— I w dodatku zamaskowany?! Boże jedyny...!

— Czy coś się stało? — spytał niespokojnie Karolek. — Jakaś krowa...?

— Nie — powiedział naczelnym inżynier. — Dostojnik państwowy. Ten, który trzymał w zębach wielką płytę...

Urwał, przypomniał sobie, że informacja jest poufna. Pięć par oczu patrzyło na niego z wyrazem, któremu nie oparłby się zmurszały głaz. Naczelnym inżynier nie wytrzymał.

Mniej więcej po kwadransie wszystkim powróciła już zdolność posługiwania się ludzką mową. Euforia nieco przycichła i zamieniła się w zwyczajną, niebiańską błogość.

— Popatrzcie, to jednak udało nam się załatwić wielką płytę! — zauważył śmiertelnie zdumiony Janusz. — W życiu bym nie przypuszczał! Żeby się człowiek rok starał, tak by nie wycelował!

— Oto dowód, że istnieje wyższa sprawiedliwość — orzekł Lesio uroczyście.

— Słuchajcie, a jakby tak jeszcze raz...? — zaczął żywo Karolek.

— Na dziki więcej nie poluję! — krzyknął gwałtownie naczelnym inżynier.

— Dlaczego? — zdziwiła się Barbara. — Taki doskonały rezultat!

— Nie rozumiem, co ci szkodzi...

— Służba leśna — wtrącił się Włodek. — Głównie szkodzi służba leśna...

Naczelnym inżynier przyświadczył.

— Oni tego bardzo nie lubią. Przyjmijcie do wiadomości, że mieliśmy ślepy fart. Leśniczy z tamtego terenu akurat wtedy był przez tydzień nieobecny, bo go wysłali na jakieś szkolenie, wrócił dopiero na dwa dni przed polowaniem. Poza tym, chcę wam powiedzieć, że dowiedziałem się, o co chodzi z tą siatką. Specjalnie postarałem się zebrać różne wiadomości na ten temat. Nie wiem, kto tu stracił rozum, ten twój facet od siana, czy ty...

Wskazany palcem Karolek spłoszył się nieco.

— Nie wiem. Może ja. Bo co?

— Bo taką siatkę albo cokolwiek, w ogóle ogrodzenie, ustawiają wtedy, kiedy chcą złapać jakieś zwierzę żywe. Robią taki jakby dziób i stoi to długo, aż się zwierzyna przyzwyczai. Potem płoszą, wpędzają w ten dziób, a tam ustawiają klatkę i łapią do klatki.

— Po co?

— Różnie. Do ogrodu zoologicznego. Albo chcą zaszczepić. Albo gdzieś zawięzić, albo jeszcze coś tam innego. Nikt w ten sposób nie poluje.

— No to ja nie wiem — powiedział żałośnie Karolek. — On mówił równocześnie o wilczym dole, o dżganiu bagnietem i o siatce. Wcale tego nie rozgraniczał...

— Może nie przyszło mu do głowy, że będziesz chciał to wykorzystać praktycznie — podsunął Włodek.

— A może przeciwnie, specjalnie chciał cię zmacić — powiedziała Barbara, marszcząc brwi. — Tego to ja nie lubię. Nie będę się więcej opierać na jego gadaniu!

— Zatruta żywność się zgadza. . .

— Ale wykańcza głównie chorych na wątrobę — powiedział naczelny inżynier z rozgoryczeniem. — Więc też przesadził. Zdrowi wytrzymują. . .

— Trochę dłużej — wpadł mu w słowa Janusz z nie mniejszym rozgoryczeniem. — Do emerytury na tych paskudztwach jakoś dociągniemy. . .

Wsparty o szafę z rysunkami Włodek poruszył się nagle i zwycięskim krokiem przemaszerował przez cały pokój. Obok stołu Janusza zatrzymał się i odwrócił.

— Otóż nie! — oznajmił dumnie. — Żadnych emerytur! Właśnie przyszedłem wam powiedzieć. Jest zwierzyzna, która się szybko rozmnaża!

Nie tyle słowa, ile ton zaintrygował cały zespół. W głosie Włodka brzmiało coś, co przypomniało triumfalne fanfary.

— I wcale nie trzeba na nią polować — ciągnął energicznie. — Trzeba najwyżej trochę pomóc, od czasu do czasu nabierać parę garści trawy i nie wyrzucać starego chleba. I tyle. I mam odkupić tę siatkę od twojego brata — zwrócił się nagle do Stefana.

Stefan wzdrygnął się lekko.

— A proszę cię bardzo, mojemu bratu ta siatka przestała się podobać. . .

— O czym ty mówisz? — spytała podejrzliwie Barbara. — Co to ma być?

— Ha! — rzekł Włodek. — Bezmyślne głąby. Cała Francja tym się żywi!

— Ślimaki. . . ? — zaniepokoił się Karolek.

— Żaby! — krzyknął Lesio.

— Głupie barany — powiedział Włodek wzgardliwie. — Ślimaki w klatkach i na suchym chlebie. . . Króliki! Moja kuzynka już zaczęła hodować króliki, rozmnażają się jak wściekłe, pożywne, lekkostrawne, bardzo smaczne mięso. Zdzierać nie będzie, powiedziała, ale musimy jej czasem pomagać w karmieniu. Wyłącznie produkty naturalne, żadnych hormonów ani nic takiego.

— To jest najpiękniejszy dzień naszej egzystencji nie pamiętam odkąd! — zawyrokował Janusz, kiedy już wszyscy oddali hołd przecudownej kuzynce Włodka. — Że też nam taki prosty pomysł od razu nie przyszedł do głowy! Zaraz jadę zbierać trawę. . . !

W tym momencie naczelny inżynier przypomniał sobie o prośbie kierownika pracowni. Z wielką niechęcią Janusz opuścił pokój, reszta zespołu zaś oddała się żywo planowaniu rozkładu zajęć. W chwili powrotu Janusza harmonogram pobytów u kuzynki, zbioru traw, ziół i pieczywa był prawie ustalony.

Janusz trzymał w ręku dwie strony maszynopisu.

— Cholerna twarz! — powiedział już w progu. Zatrzymał się, nogą zatrzasnął za sobą drzwi i popatrzył na współpracowników, wyraźnie stropiony. Oderwany od radosnych perspektyw zespół wzajemnie popatrzył na niego.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Barbara.

Janusz podszedł do swojego stołu i opadł na krzesło, nie wypuszczając maszynopisu z ręki.

— Nic. Kurza morda. . .

— Kura ma dziób — pouczył Lesio. — Zapamiętaj to sobie na zawsze, wiedza o faunie jest użyteczna.

— Odwal się. Dostałem pismo od inwestora. . .

Kwestia królików uległa natychmiastowemu zawieszeniu, co przyszło tym łatwiej, że właściwie była już rozstrzygnięta pozytywnie.

— I co? — spytał zachłannie Karolek.

— I pytają się tu, dlaczego, na miłość boską, nie chcemy użyć odpadów wielkiej płyty do ogrodzenia terenów gospodarczych, to znaczy szamba, kotłowni i śmietnika. Jest tam także skład opału. Piszą, że badania zrobili już dawno, bo zażądała tego spółdzielnia mieszkaniowa i mają wielką płytę, która wcale nie promieniuje, a nawet gdyby promieniowała jak wściekła, śmietnikowi to nie zaszkodzi. Ośrodek zdrowia dostaje te odpady za darmo i chce się nimi ogrodzić od tyłu, bo są mało estetyczne, a koło szamba i tak ich nie będzie widać. Od frontu ogradzają siatką i sadzą żywopłot z akacji, zgodnie z projektem naszych zielniarzy. Protestują przeciwko inwektywom i pytają po jaką cholere usiłujemy ich narazić na niepotrzebne koszty, zarazem obrzucając obelgami. Nie czują w sobie zbrodniczych skłonności. Kropka. Proszą o odpowiedź w umiarkowanym tonie.

— Poniekąd słusznie proszą — mruknęła Barbara po bardzo długiej chwili milczenia.

— Hircio musiał wziąć niezły rozpęd — zauważył niepewnie Karolek.

— To jest to pismo, które zginęło? — zainteresował się Lesio.

— Rozszerzone. Wyjaśniające uzupełnienie do zlecenia. Ale piszą, że tam też to było.

— Ładnie wam to wyszło — powiedział Stefan. — Znaczą, cała polka o rakotwórcze działanie wielkiej płyty na szambo. . . ?

— Ewentualnie to tam drugie. Co to było? To o potworach. . .

— Teratogenne — powiedział Lesio. — Spotworzony śmietnik. Ciekawe, jak by wyglądał. . .

— Chyba jednak należało tamto pierwsze pismo odzyskać.

— Chyba — potwierdził Janusz z goryczą. — Wygłupiliśmy się. . .

— My?! — oburzył się Karolek. — Odezwałeś się do nich chociaż jednym słowem?!

— Słusznie mówisz, że jak się Hircio wtrąci, to będzie duże tango — przypomniał z uznaniem Lesio.

— Cholera. Odkręcać jakoś. . . ?

— A po co? Rozróżba na tle wielkiej płyty już się przecież zaczęła i tylko patrzeć jak będą rezultaty!

— A jakże, całe budownictwo się zatrzyma. . .

— Naprawdę uważasz, że pyły z elektrociepłowni to jest podstawowy materiał budowlany? — spytał gniewnie naczelny inżynier.

— No coś ty...

— Nonsens — powiedziała spokojnie Barbara. — Zamieszanie będzie, to pewne, ale ważne jest, że wreszcie coś zrobią. Zaczynam mieć nadzieję, że żywe prawniki.

— A jakby tak jeszcze filtry — powiedział marząco Karolek.

— I oczyszczalnie...

— I ucho od śledzia... — podsunął jadowicie siedzący w kącie Stefan.

— Nie truj! — rozzłościł się Janusz. — Coś nam się przecież udało, nie?

— Cicho bądźcie! — zażądała nagle Barbara. — Mnie coś przychodzi do głowy...

— O Boże jedyny...! — jęknął naczelny inżynier w panice.

Barbara błysnęła błękitnym okiem i zmarszczyła brwi.

— Wnioski mi przychodzą do głowy — rzekła dobitnie.

— A, wnioski... To już lepiej...

— No więc zauważcie, co nam wyszło najlepiej. To, co było ściśle związane z pracą zawodową. Ogrodzenie. Truteń stanowił produkt uboczny. Mięso będziemy mieli, wielka płyta też z głowy... Otóż uważam, że powinniśmy się skoncentrować na elementach naszej pracy zawodowej, no więc te filtry i oczyszczalnie...

Barbara zamilkła i zapatrzyła się w okno znieruchomiałym, niewidzącym spojrzeniem. Reszta czekała przez chwilę na dalszy ciąg.

Barbarę najwyraźniej zamurowało, pozwolono sobie zatem na komentarze. Ogólnie biorąc, sytuacja wydawała się pocieszająca.

— Ona ma rację — przyznał Stefan. — Jakby tak każdy przyłożył się rzetelnie do własnej roboty, to ho ho! A żeby jeszcze miał pojęcie o tym, co robi...

— Szczególnie decydenci — wtrącił kąśliwie Włodek. — Pamiętacie, kto skreślał z inwestycji filtry piętnaście lat temu...?

— Co mnie pociesza, to to, że oni też muszą oddychać — powiedział mściwie Karolek.

— Ale mięso i te różne marchewki będziemy mieli — przypomniał pocieszająco Janusz. — On mówi, że ta jego kuzynka robi kompost na czystym łąjnie.

— I studiuje ogrodnictwo — dodał Lesio, rozrabiając pędzlem farbę i sprawdzając jej odcień na marginesie rysunku. — Jest jedna osoba, która będzie miała pojęcie o tym, co robi, to już coś! A w ogóle te substancje działają powoli i zanim nam wyrośnie trzecie oko na plecach...

Barbara oderwała nagle wzrok od przestrzeni za oknem i poruszyła się.

— Zanim nam wyrośnie trzecie oko na plecach, obejdziemy się dwojgiem oczu na gębie — przerwała nieżyczliwie. — A teraz proponuję... Co ja mówię, jakie proponuję! Domagam się! Żądam!!! Zrobić listę...

Zamilkły zespół spojrział na nią z żywym zainteresowaniem.

— No...? — popędził niecierpliwie Karolek.

— Zrobić listę wszystkich zakładów przemysłowych, osób, przedmiotów i działań, które zanieczyszczają środowisko, szczególnie wodę i powietrze. I spis decydentów. Wszędzie. Także w finansach, tam gdzie robią oszczędności i skreślają filtry i oczyszczalnie, obojętne jakiego rodzaju. Imienny spis!

— Po co? — spytał ostrożnie naczelny inżynier.

— Żeby ich znać — odparła Barbara z wielkim naciskiem. — Imię, nazwisko i adres. Życzę sobie mieć listę zbrodniarzy.

Lesio zatrzymał pędzel w górze.

— I co? — spytał z nadzwyczajnym zainteresowaniem. — Każdemu kęsim? Nyziu, nyziu...?

Barbara nie odpowiedziała. Karolek poczuł w sobie rosnący nagle niepokój. Głos, którym się odezwał, był nieco zdławiony.

— Naprawdę myślisz, że to jest jedyne wyjście? Inaczej nie da rady? Wszystkich z tej listy, tak po kolei...?

Barbara milczała nadal, ale jej wyraz twarzy mówił sam za siebie. Stefan i naczelny inżynier przyjrzeni się jej w skupieniu, wymienili spojrzenia, po czym zgodnym krokiem opuścili pokój. Włodek wyszedł za nimi na palcach. Janusz z przeciągłym piskiem odwrócił krzesło, energicznym gestem przesunął przykładnicę i sięgnął po ołówek. Za jego plecami panowała cisza. Na chwilę wstrzymał dłoń z ołówkiem i obejrzał się.

Barbara z kamienną twarzą znów patrzyła w okno, a Lesio i Karolek gapili się na nią z wyrazem podziwu, uwielbienia i niebotycznej zgrozy.

— Wy tak nie siedźcie, tylko złapcie trochę cugu! — powiedział ostrzegawczo. — Żywo, żywo! Ta lista będzie cholernie długa i musimy sobie wyrobić trochę luzu. To już nie żadne śmichy, chichy, dopiero teraz będziemy mieli pełne ręce roboty...

KONIEC

Post scriptum

Osoby czytające niniejszy utwór uprzejmie zawiadamiam, iż:

- 1. Pawia na szosie za Sochaczewem spotkałam osobiście.*
- 2. Gospodarstwo z kogutami widziałam na własne oczy.*
- 3. Skóry cielęce wachałam bezpośrednio.*
- 4. Polowanie w Puszczy Kampinowskiej słyszałam na własne uszy Przez przypadek byłam obok.*

Wszystkie poruszone tu problemy zostały już oczywiście załatwione pozytywnie. Oddychamy kryształowo czystym powietrzem, nad głowami mamy lazurowe niebo, a woda z każdej rzeczki i każdego jeziora doskonale nadaje się dopicia.

Z poważaniem